POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT
SIÓDMY ODCINEK

IMIGRANCI W POLSCE: CZY DZIEJE SIĘ COŚ ZŁEGO

SZEF MSZ WĘGIER DLA „SIECI": NIE JESTEŚMY PROROSYJSCY

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 38 (303) 2018
17–23 września
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO MÓWI NAM W MOCNYM WYWIADZIE O GROŹBACH, JAKIE OTRZYMUJE, O TYM, KTO NAPRAWDĘ ŁAMIE KONSTYTUCJĘ I KTO CHCE WYWOŁAĆ ANARCHIĘ W KRAJU

JULIA PRZYŁĘBSKA

NIE DAM SIĘ ZASTRASZYĆ!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 38

eprasa.pl 7c2c025ac3

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **OBÓZ DULAG 121**
  Gdzie trafili cywile po powstaniu warszawskim?
- **NASZ PAPIEŻ**
  Mija 40 lat od wyboru Karola Wojtyły na papieża
- **DRAMAT MURU**
  Berlin 1961 r. podzielony murem przez dwa systemy

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Wrześniowy list Polaków do Węgrów

Z zaniepokojeniem i smutkiem przyjmujemy kolejną próbę nadużycia przez organy Unii Europejskiej uprawnień wspólnotowych w stosunku do Węgier. Suwerenny i demokratyczny kraj jest atakowany, bo demokratycznie i samodzielnie wybiera rządy niezgodnie z podszeptami ludzi czujących się właścicielami Europy, bo broni swojej wolności i tradycji, bo strzeże granic, bo chce do końca zerwać z totalitarnym, komunistycznym dziedzictwem.

Co ważne, wiemy z własnego doświadczenia, jak niesprawiedliwe, powierzchowne i skrajnie upolitycznione bywają osądy europejskich instytucji.

Dlatego w tych dniach przesyłamy bratniemu narodowi węgierskiemu wyrazy wsparcia i sympatii. Węgrzy, Polacy i każdy inny naród europejski mają prawo demokratycznie organizować swoją Ojczyznę, samodzielnie kształtować te obszary polityki, których organizację unijne traktaty pozostawiają państwom narodowym. Wszyscy mamy też prawo przeciwstawić się próbom narzucenia skrajnie lewicowej interpretacji wartości europejskich, oderwania ich od korzenia chrześcijańskiego.

Wstydzimy się, że w nagonce na Węgry biorą udział niektórzy postkomunistyczni, liberalni i lewicowi polscy politycy, w tym posłowie do Parlamentu Europejskiego. Niestety nawiązują tym do najgorszych wzorów, do nurtu wysługującego się zewnętrznym dworom i imperiom. Łamią też świętą tradycję przyjaźni polsko-węgierskiej. Za ich zachowanie przepraszamy.

Wolna Europa to Europa zjednoczonych, ale suwerennych narodów i państw.

Podpisy w kolejności alfabetycznej.
Jan Bogatko, Artur Bojarski, dr Włodzimierz M. Borkowski, Fr. Paweł Cebula OFM Conv., Artur Ceyrowski, Piotr Cywiński, Krystyna Grzybowska, Piotr Gursztyn, Grzegorz Górny, dr Hanna Karp, Jacek Karnowski, Michał Karnowski, Lech Makowiecki, dr med. Grzegorz Musiał, Marzena Nykiel, Paweł Nowacki, Jolanta Hajdasz, Jerzy Jachowicz, o. Jan Kaczmarek CR, prof. dr hab. Tomasz Kłys, Elżbieta Królikowska-Avis, Michał Luty, Tomasz Łysiak, Ryszard Makowski, prof. Andrzej Nowak, Stanisław Obertaniec, Józef Orzeł, Marzena Paczuska, Maciej Pawlicki, Jan Pietrzak, Rafał Porzeziński, Jan Pospieszalski, Andrzej Potocki, Paweł Raczyński, Tomasz Rakowski, Wojciech Reszczyński, Piotr Semka, Marek Pyza, Ewa Różycka, Sławomir Sieradzki, Andrzej Skwarczyński, Krzysztof Skowroński, Jacek Sobala, Adrian Stankowski, Maciej Świrski, Maciej Walaszczyk, Marcin Wikło, Bronisław Wildstein, prof. Zdzisław J. Winnicki, Marcin Wolski, Dominik Zdort, ks. Henryk Zieliński, Waldemar Żyszkiewicz

Oraz kilkaset innych podpisów. Pełna lista na portalu wPolityce.pl. Jeśli ktoś z Państwa chce dołączyć, prosimy o nadesłanie listu na adres: michal.karnowski@fratria.pl, z tytułem „Wrześniowy list Polaków do Węgrów" oraz swoim imieniem i nazwiskiem w treści listu.

Autopromocja

eprasa.pl/7626025ac3

SIECI spis treści

38 *Z Péterem Szijjártó rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy*

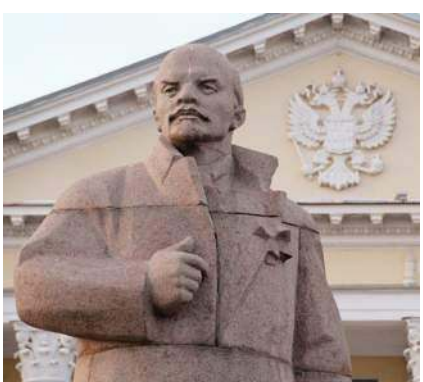

52 Zderzenie z Rosją *Marek Pyza, Marcin Wikło*

59-66 Polacy, którzy zmienili świat *odc. VII*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CHORA JANDA**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **DWIE NIEPODLEGŁOŚCI**
Jan Pietrzak

15 **DWA LISTY, CZYLI CZYJ JEST TEATR**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **PRESTIŻOWY POMNIK HISTORII**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

30 **CENTROLEW 2018**
Stanisław Janecki

33 **BIEDROŃ, CZYLI CZYHANIE NA KLĘSKĘ PO**
Piotr Skwieciński

36 **OPŁACALNY JAK GEJ?**
Dorota Łosiewicz

38 **Z PÉTEREM SZIJJÁRTÓ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

42 **ATAK NA WĘGRY**
Grzegorz Górny

44 **IMIGRANCI W POLSCE. PRAWDA CZY FAŁSZ?**
Konrad Kołodziejski

48 **Z ANNĄ JAKI**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

52 **ZDERZENIE Z ROSJĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

SIECI KULTURY

67 **GOTOWA NA NAJLEPSZE**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **Z WOJCIECHEM TOMCZYKIEM**
rozmawia Piotr Zaremba

74 **POPIEŁUSZKO – IKONA „SOLIDARNOŚCI"**
Grzegorz Górny

76 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

78 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

80 **MORALNOŚĆ PANA DURCZOKA**
Ryszard Makowski

ŚWIAT

82 **COŚ SIĘ ZEPSUŁO W BULLERBYN**
Aleksandra Rybińska

85 **SEZON POLOWAŃ NA TRUMPA**
Jan Rokita

HISTORIA

88 **UCIECZKA Z WTC**
rozmowa Jaromira Kwiatkowskiego

GOSPODARKA

94 **CHORE EGO CZŁEKA ZŁEGO**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: PASCAL BRODNICKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **ERA TERRORU**
Piotr Skwieciński

105 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

106 **SPRAWCY WOJNY**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **TAMTA OKUPACJA**
Aleksander Nalaskowski

109 **LUDMIŁA PRZYJAŹNI**
Wiktor Świetlik

110 **HOMOPROPAGANDA I SAMORZĄD**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **WYKŁAD Z BUNTU**
Ryszard Makowski

113 **WRZEŚNIOWE DATY**
Leszek Długosz

114 **ZASADA PODCZEPIENIA**
Andrzej Zybertowicz

36/0218/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.

www.grupacedrob.pl

eprasa.pl 7c2c025ac3

Sygnalista nadaje

Jeszcze o Krynicy. Otóż po trzech latach dobrej zmiany widać, że dawny, platformerski świat biznesu państwowego nie zniknął. Te same twarze, które przed zmianą brylowały w świetle kamer, teraz dyskretnie spacerują, wciąż z uśmiechem. Przetrwali i mają się całkiem nieźle, choć (chwilowo?) nie w rolach głównych, ale gdzieś na zapleczu, w prywatnym biznesie, często zagranicznym, lub w szeroko pojętej obsłudze (PR i inne cwaniactwo). I to jest ta różnica: jeśli prawica przegra, wszyscy dostaną wilczy bilet na dekady. Dzieci zresztą też.

Podobnie z mediami. Santander zrobił wielką kampanię z okazji zmiany nazwy, ale wyłącznie w mediach lewicowo-liberalnych. Żadne konserwatywne medium nie dostało nawet najmniejszego zlecenia. Ich prawo, ale naszym prawem jest mówić, jak jest. A tak to wygląda wszędzie. Prywatny biznes ma poglądy polityczne i coraz mniej to ukrywa. Więcej, znaczna część reklam kierowanych do zaprzyjaźnionych mediów to faktycznie wsparcie dla swoich, bez wielkiego sensu rynkowego. Na tym tle spółki skarbu państwa to dość skąpi gracze, którzy w dodatku często wspierają wszystkich. I to też było widać w Krynicy.

W Krynicy była także liczna delegacja węgierska. Ekipa Orbána to prawdziwi zawodowcy: mały kraj, a ministrowie noszą się, jakby reprezentowali Niemcy czy Francję. Wszyscy ciągle zmobilizowani, widać, że ostro tyrają i wiele wymagają zarówno od siebie, jak i od otoczenia. Nie ma mowy o bylejakości, samozadowoleniu, spoczywaniu na laurach. Profesjonalna, zabójcza maszyna polityczna, która wie, czego chce, i ma jasno rozpisane cele. Jeśli Węgrzy będą mieli szczęście, naprawdę mogą odbudować ojczyznę, brutalnie rozerwaną 100 lat temu. Szkoda, że ich szczęście zazwyczaj oznacza nasze nieszczęście.

W kontaktach z mediami prezydenta prezentuje już nowy rzecznik – Błażej Spychalski. Tygodnik „Polityka" twierdzi jednak, że propozycję rzecznikowania głowie państwa dostał dziennikarz niemiecko-szwajcarskiego Onetu Andrzej Gajcy, którego miał popierać minister Krzysztof Szczerski. Prezydent postawił ostatecznie na Spychalskiego, czyli człowieka Mastalerka i Łapińskiego. Może szkoda, że jednak nie Gajcy. W ten sposób prezydent osłabiłby przecież, może nie fundamentalnie, ale jednak, medialny mainstream. I nie byłby to jedyny plus całej sytuacji.

Sprzedaż prasy leci na łeb, na szyję. Skłoniło to kluby „Gazety Polskiej" do wydania apelu, w którym pada dramatyczne, a jednocześnie groźnie brzmiące wezwanie: „Należy bezwzględnie egzekwować prenumeratę i kolportaż polskiej prasy w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych". Nie podano jednak kar, które miałyby grozić za niewykonanie polecenia, choć z tonu komunikatu można podejrzewać, że byłyby to kary godne epoki rewolucyjnej. Nie wiadomo też, kto miałby ustalać listę gazet godnych prenumeraty, choć jest mniej więcej jasne, kto byłby z listy wykluczony.

Powyższy apel uchwalił IV Nadzwyczajny Zjazd Klubów „Gazety Polskiej" w Sulejowie. W mediach społecznościowych zaprezentowano jednak zdjęcia, na których widać zaledwie 40–50 osób, co sugerowałoby raczej zjazd jednego lub kilku klubów. Bo skoro klubów jest kilkaset, to gdyby przyjechali choć prezesi, albo nawet co drugi, to byłaby to już spora gromadka. Cóż, każda porządna partia wie, że zjazdów nie powinno się organizować zbyt często. A uchwały? Podpowiadamy: można je przyjmować w formie obiegowej.

Jedno trzeba prezydentowi przyznać: dzielnie wspiera reformę

eprasa.pl 7c2c025ac3

wymiaru sprawiedliwości, za co jest niemiłosiernie łajany. W tej sprawie pękł nawet Paweł Kukiz. Tyle mówił o rozwalaniu systemu, o sitwach, które trzeba pogonić, a jak przyszło do boju, to ogłosił, że „prezes Gersdorf powinna dalej pełnić funkcję I prezes Sądu Najwyższego", ponieważ „tak wynika z konstytucji", a „cała obecna klasa władzy narusza konstytucję". Z konstytucji to nie wynika, ale PiS musi zrobić absolutnie wszystko, co możliwe, by nie być zmuszone współrządzić z Kukizem. To byłby kosztowny dla Polski koszmar.

Niemcy zaprosili do Berlina, na debatę w Bundestagu, Ludmiłę Kozłowską, którą Polska wpisała na czarną listę Schengen. Debata dotyczyła oczywiście „praworządności" w Polsce, a strona niemiecka uzasadniła zignorowanie polskiej decyzji „interesem narodowym Niemiec". Chodziło oczywiście o upokorzenie Polski. Ciekawe, że nikt nie wrzeszczy o łamaniu ducha europejskiej solidarności, a przecież także taki jest sens tej zagrywki. Nadwiślańscy totalsi klaszczą z uciechy, ale to akurat nie świadczy o niczym, bo pod względem dojrzałości politycznej są to istoty na poziomie neandertalczyków.

Gotowość Niemców do dokuczania Polsce stale rośnie i ma to bezpośredni związek z podtrzymywaniem przez Warszawę sprawy reparacji. Ale w tej sprawie i w kraju nie jest łatwo. Np. prof. Stanisław Żerko stwierdził na konferencji zorganizowanej przez Instytut Zachodni, że Polska reparacji się zrzekła za Bieruta, choć główną linią Warszawy jest kwestionowanie tego faktu. Później jeszcze przyłożył zespołowi posła Mularczyka. Cóż, każdy ma prawo mówić, co chce, ale jeśli już wchodzi się w proces polityczny, to warto rozumieć przynajmniej jego podstawowy sens. Jeśli się nie rozumie, można tylko zaszkodzić. I procesowi, i sobie.

Z kolei ***Adam Michnik*** poleciał do Nowego Jorku, gdzie debatował w jednej z instytucji żydowskich o „antysemityzmie w Polsce XX w.". Co mówił o tej sprawie, niestety nie wiadomo. Ale wiadomo, że zdołał spotkanie upolityczniić, stwierdzając: „My bierzemy na siebie poradzenie sobie z Kaczyńskim, a wam zostawiamy poradzenie sobie z Trumpem". Jak dotąd Trump jest na dobrej drodze do reelekcji, a radzenie sobie z Kaczyńskim idzie Michnikowi więcej niż kiepsko. Szczerze mówiąc, opozycji szłoby znacznie lepiej, gdyby nie Michnik i jego klony, pracowicie utrwalające podział na samolubne elity kontra normalsi z PiS.

Jeśli PiS może się na czymś teraz wywrócić, to na imigrantach, i to nie na Ukraińcach, ale Azjatach. W Warszawie realnie zaczyna być coraz bardziej kolorowo i właściwie nie wiadomo, skąd ci ludzie przyjeżdżają i po co, bo wielu nie sprawia wrażenia, że ściągnęli nad Wisłę do pracy. Zaklinanie rzeczywistości hasłami typu „nic się nie zmienia, nie ma mowy o masowej imigracji", wcześniej czy później obróci się przeciwko rządowi. Trzeba jasno mówić Polakom, jaka jest polityka imigracyjna, jakie są reguły gry. Sprawa już dziś żyje na dole i staje się mocno łatwopalna. Ostatni dzwonek.

Ale może i imigracja niczego nie zmieni, skoro po drugiej stronie stoi ***Katarzyna Lubnauer***. Na konwencji Koalicji Obywatelskiej błysnęła tezą, że „PiS zbliża się do naszych domów, już puka do naszych drzwi, zagląda za firanki". Kiedyś Kukiz na długo załatwił ZChN obrazoburczą (bo na melodię „Pan Jezus już się zbliża") piosenką „ZChN zbliża się", z wersem o księdzu, który „już puka do mych drzwi". Być może pani Katarzyna chciała powtórzyć ten numer, ale to jednak nie lata 90. To w sumie niemożliwe, by PiS przegrało z tak odtwórczą, tak zablokowaną intelektualnie, tak jałową opozycją.

Parlament Europejski poparł w środę projekt dyrektywy o prawie autorskim dotyczącym internetu. PiS było przeciw, Platforma za. I była to jedna z najbardziej efektownych pułapek politycznych w ostatnich latach. Panicznie bojąca się etykietki „ugrupowania zakazów i nakazów" partia rządząca obsadziła w tej roli partię opozycyjną. Platforma długo będzie lizała rany. Swoją drogą, ten, kto nazwał unijny dokument „ACTA 2", zasługuje na wielkie uznanie i dużą nagrodę. Myśl potrafi zmienić wiele; tak wiele, że nawet sojusz wielkich wydawnictw i niektórych urzędników rządowych średniego szczebla okazał się (u nas) nieskuteczny.

W sprawie ACTA 2 kwestia jest prosta: tak, skorzystałyby media tradycyjne. Tak, dałoby to, być może, jakąś szansę umierającej prasie. Ale jednocześnie byłoby to ogromne wzmocnienie największych koncernów medialnych, czyli konkretnie: Niemców, Agory i TVN. Kto wie, czy w takich warunkach nie zdołałyby odbudować swojego monopolu na informacje i poważną opinię. Polska prawica nie ma żadnego interesu, by im to ułatwiać. Bo Polska prawica wygrała również dlatego, że stary świat mediów się zachwiał, a gdzieniegdzie wręcz runął.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 7c2c025ac3

Chora Janda

Krystyna Janda twierdzi, że choruje i że jej choroba nazywa się Polska. I że ta Polska się wali. Czyli – przekładając z artystycznego na nasze: choroba zwaliła jej się na głowę. Ale przecież wcześniej czuła, że na głowę leci jej coś innego.

Doprawdy trudno nadążyć za spadającą gwiazdą. Gdzie te czasy, gdy człowiek zachwycał się tym, jak śpiewa, że „wariatka nie patrzy do lustra", i wiedział, że to tylko na niby. Coś pękło, gdy pojawiły się problemy z dotacjami na jej teatr prywatny. A w zasadzie – ciut wcześniej, gdy wybitna artystka postanowiła zaangażować własną twarz na rzecz wzmacniania poprzedniej ekipy rządowej. Było to o tyle dziwne, że akurat za pisowskiej władzy otrzymała, jak się zdaje, największe wsparcie finansowe dla własnego teatru ogromnie dochodowego, tudzież – spółki córki, zupełnie dosłownie, bo w uznaniu zasług mamy córka aktorki też otrzymała lokal na teatr. Kiedy jednak Krystyna Janda wpadła na pomysł, że wesprze PO-PSL, prawica dała jej prztyczka w to, co zadarte od dekad, i z formacji, która wcześniej sypała groszem niemal na każde Jandy zawołanie, zmieniła się w oschłą, wyrachowaną platformę niewspierania aktorki.

KRZYSZTOF FEUSETTE

To dlatego po serii zamachów terrorystycznych przeprowadzonych przez wyznawców Allaha tylko jedno słowo „zaczęło jej się kojarzyć z kimś, kto wykonuje wyroki" i „jest fanatykiem w imię państwa". Brzmiało ono: „katolik".

W końcu przyznała, że „właściwie to się boi" i że „jak ktoś powie, że jest katolikiem", to ona „mówi: oj". Potem na kabaretonie zagrała turystkę z zagranicy, która rechocze, że „dwa lata oglądała polską telewizję i dwa lata co dzień o samolocie! He, he...". Tak się zaczęło to smutne widowisko, najtrafniej opisane przez samą zainteresowaną: „Czy tylko mną, egzaltowaną aktorką, nie mogącą spać nocami, targa rozpacz i bezsilność?". Jakby w jednym człowieku spotkały się zbyt wielkie ego z jeszcze większym kompleksem, pomieszanie zmysłów z pomieszaniem pojęć, wrażliwość Ofelii z empatią lady Makbet. Janda też to widzi, skoro przyznaje, że „czuje się przez ostatnie dwa lata jak chora".

I pomyśleć, że w czasach, gdy była „tylko" wybitną aktorką, mawiała, iż „trzeba umieć wąchać swój czas". W zestawieniu z wyznaniem, że ostatnio czuje, jakby ktoś jej na głowę wiadomo, co robił „po prostu cały czas", nie brzmi to już dziś zachęcająco. Każdy wywiad przynosi dawnym fanom porcję upokorzeń. Czy to zemsta artystki na tych, którym swoje złe samopoczucie zawdzięcza, czyli na elektoracie PiS? I teraz to on ma się czuć, jakby ktoś mu robił to samo, co ona czuje, że jej robią? Może celowo odsłania swoje najbardziej przykre oblicze, bo wie, że kodziarze i tak wszystko jej wybaczą, byle się darła jak Stalińska, za to „pisowski ciemnogród" jęknie z żalu?

Bo przecież już nie Jarosław Kaczyński, nie PiS, ale zwyczajni Polacy najzwyczajniej w świecie głosujący zgodnie z własnym, ale obcym aktorce, światopoglądem są dziś dla niej wrogiem numer jeden. To im wylewa na głowy pomyje pełne własnych „przemyśleń". Na przykład takie: „Co to znaczy: wygrani transformacji? Każdy mógł sobie z tą wolnością zrobić, co chciał. Nawet ludzie z PGR-owskich wsi. To był raptownie kraj wielkich, oszałamiających możliwości! W Polsce nie ma pozytywnego snobizmu na pracę, wiedzę, lepsze życie, przesuwanie się wyżej w hierarchii społecznej!" – zagrzmiała niedawno artystka. Cóż, jeśli chodzi o snobizm, lepsze życie i przesuwanie się wyżej, rzeczywiście może być ekspertem. Ale jeśli o wiedzę, nawet tak banalną jak dotyczącą przemian ustrojowych w Polsce, widać jak na dłoni, że znacznie lepiej byłoby dla polskiej kultury, gdyby Janda mówiła cudzym tekstem. Przykre to, ale przecież nie szokujące.

Wygląda na to, że tak jak kiedyś wybitna piosenkarka Edyta Górniak, tak dziś wybitna aktorka Krystyna Janda cierpi na brak repertuaru, w którym mogłaby odreagować codzienną „rozpacz" i „bezsilność". Wcześniej myślałem, że to powinna być sztuka o krótkiej historii powstania i upadku Komitetu Obrony D. i że to Janda właśnie powinna zagrać Kijowskiego (już widziałem tę scenę, gdy drżącymi dłońmi przelicza pieniądze z puszki). A on – marzyłem – mógłby potem zagrać ją na proteście, oczywiście w peruce. Dziś widzę, że to nie może być o nikim innym: to Janda musi wystąpić w roli Jandy, w teatrze Jandy i w reżyserii Jandy córki, z Jandy przyjaciółmi na widowni.

Proponuję zatem monodram o wielkiej aktorce, która nie potrafiła zagrać tylko jednego: że jest mądrzejsza, niż była w istocie. Mała próbka: scena, na środku Ona w huśtawce nastrojów. Szepcze, krzyczy i mówi do siebie. „Ależ ja się trzęsę... Co ja miałam zrobić?! Dobra, uspokój się, Krycha, bo ci żyłka pęknie, a ten ciemnogród zafajdany bez ambicji tylko na to czeka. Minęły czasy, gdy wszyscy cię lubili. Lepiej sobie nałóż krem z własnym nazwiskiem, zanim ono przestanie cokolwiek znaczyć... Och! Wiem już, co to było! Miałam napluć! Ale na kogo? Na sąsiadkę? A może na PiS? Oczywiście, że na PiS! To przez nich tak się czuję, że nie myślę, co mówię, a potem się okazuje, że już to napisałam. Znowu roztrzęsiona jestem! Jak cholera! Nie, nie cholera, inaczej ta choroba się nazywa... Gdzieś miałam receptę... A po co mi recepta, skoro to nie jest rwa kulszowa?! Ja jestem chora na Polskę! Poland! Pologne! Teatr Polonia! Ech, gdzie ja nie grałam... Właśnie – gdzie ja nie grałam? Za granicą bywałam, a na ulicy mogę być sobą przez cały czas. Kons-ty-tu-cja! Fa-szyś-ci! Pe-gie-e-ry..." i tak dalej.

Nie trzeba dodawać, że dla dobra widzów spektakl powinien trwać aż do momentu, gdy aktorka do końca się rozładuje.

57/0818/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

ALIOR BANK

USŁUGA WIELOWALUTOWA

OBIERZ KURS I NIE MARTW SIĘ PRZEWALUTOWANIEM

Z Usługą Wielowalutową nie płacisz za przewalutowanie. W zależności od tego, gdzie jesteś, pieniądze są pobierane automatycznie i rozliczane w USD, EUR lub GBP.
I to bez konieczności zamawiania nowej karty.

www.aliorbank.pl

Usługa Wielowalutowa jest dostępna dla klientów posiadających Konto Jakże Osobiste lub Konto Elitarne. Włączenie i używanie usługi jest bezpłatne.

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dwie niepodległości w 100 lat

Jan Pietrzak

Występuję ostatnio wraz z kolegami z koncertem „Niepodległość 100+". Ktoś mnie zapytał, czy to żart te 100+? Otóż nie. Odzyskanie niepodległości po zaborach nie jest żartem, jest epokowym polskim zwycięstwem. Pokonaliśmy wtedy trzy zaborcze imperia, lecz słowa „zwycięstwo" nie ma w podręcznikach. Nasze podręczniki piszą okupanci. Ci sami, którzy już po 20 latach II Rzeczypospolitej urządzili nam czwarty rozbiór, pod kryptonimem „Pakt Ribbentrop-Mołotow", za którym kryli się dwaj najwięksi zbrodniarze XX w. – Hitler i Stalin.

Znaczący przedstawiciele władzy dywagujący nad niepodległością z 1918 r., a także prominentni redaktorzy i historycy nie wspominają, że tamta niepodległość trwała tylko 20 lat. W 1939 r. opętani nienawiścią sąsiedzi postanowili nam niepodległość odebrać, ponownie rozerwać „pokracznego bękarta traktatu wersalskiego" na kawałki. Tak im przeszkadzał nieagresywny, pokojowy naród. Napaść na Polskę faszystowskich Niemiec i sowieckiej Rosji nazwano II wojną światową. Było sukcesem polskiej dyplomacji wciągnięcie do wojny po naszej stronie wystraszonych, leniwych państw: Francji i Anglii. Wojna dzięki temu stała się światową. Wcale nie musiało tak być. Przywołajmy przypadek Czechów, za których nikt nie chciał się bić.

Po wielu kampaniach i bataliach antyniemiecka koalicja rozkręciła się do tego stopnia, że przewerbowała na swoją stronę sojusznika Niemiec – Sowietów. Naszego wroga z początku wojny. Sytuacja skomplikowała się niesamowicie, ale Polska kończyła wojnę w gronie zwycięskich aliantów. Nie dane jednak było nam cieszyć się wolnością za sprawą jałtańskiej zdrady. Dopiero dzięki Solidarności Polska zakończyła II wojnę światową. Sowieckie wojska okupacyjne opuściły nasz kraj.

Dokonaliśmy tego samodzielnie. Choć nie samotnie. Mieliśmy wsparcie Ducha Świętego, którego wzywał nasz święty papież, by odmienił oblicze tej ziemi. To się stało. Odzyskaliśmy niepodległość po raz drugi w ciągu 100 lat. Dlatego w tytule koncertu „100 +". Śpiewamy o tym pieśni... Od „I Brygady" po „Żeby Polska była Polską". Nawiasem mówiąc, cytowało te słowa dwóch amerykańskich prezydentów, ale żaden polski się nie odważył.

W pułapce przeszłości

Z aktorką Agatą Kuleszą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Aktorka z takim doświadczeniem wpadła w „Pułapkę"?

Agata Kulesza: Na własne życzenie. I nic więcej nie mogę powiedzieć.

Historia jest współczesna, ale połączenie mrocznego klimatu oraz używek, którymi wspomaga się pani bohaterka (alkohol i papierosy), przywołują wspomnienia kina noir.

Dla mnie to raczej najkrótszy znak, że Olga ma problemy i nie radzi sobie z samą sobą; sygnał, że coś w przeszłości się zdarzyło, co z odcinka na odcinek będzie się odsłaniać.

Pisarka Olga Sawicka nie zawsze działa zgodnie z prawem. Czy poza tym coś łączy ją z pani wcześniejszą rolą, Carmen?

Serial „Krew z krwi" też miał kryminalne wątki. I w obu mamy do czynienia z silnymi kobietami, które w pewnym momencie stają przed ścianą. Z tym że Olgę trudniej chyba będzie polubić. Jest bardziej „chropowata". To mi się w niej spodobało.

W „Zabawie, zabawie" Kingi Dębskiej – filmie, w którym obok „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego pokaże się pani na tegorocznym festiwalu w Gdyni – też pojawia się alkohol...

...i kobiety, które piją, a jednocześnie zajmują wysoką pozycję. To problem do tej pory omijany, a poważny.

Dlaczego pani bohaterki wpadają w pułapki?

Często dostaję takie propozycje: „silnych ofiar", doświadczanych przez los, które jednak wciąż walczą.

Serial o Boskich to wyjątek?

Tak [szeroki uśmiech]. Bardzo lubię Marysię i zżyłam się z „Rodzinką.pl", ale cieszę się, że reżyserzy widzą mnie też w innych rolach.

Fot. Tomasz Urbanek/DDTVN/East News

BRONISŁAW WILDSTEIN

Dwa listy, czyli czyj teatr

Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego okazał się wyjątkowo popularną instytucją. List w obronie jej dyrektor podpisało sporo ponad pół tysiąca osób. Najbardziej ujął mnie podpis Reny Rolskiej, której piosenki pamiętam ze swojego wczesnego dzieciństwa, tak, tak, mojego dzieciństwa. Wpadały w ucho, ale dotąd ani ja, ani nikt kogo znam, nie wiedział o teatralnych pasjach piosenkarki.

List powstał wraz z pojawieniem się informacji o przygotowaniu konkursu na stanowisko dyrektora Instytutu Teatralnego, a jego autorzy domagają się, aby Dorota Buchwald, która pełni tę funkcję od 2014 r., pozostała nim nadal. Ciekawe, że zwykle są to ci sami, którzy protestują przeciw obsadzaniu wyższych etatów bez konkursu. W tym wypadku uznają go jednak za niewskazany i domagają się, aby „było, jak było". Ciekawsze, że ponad cztery lata temu, przed konkursem, w którego wyniku Buchwald została dyrektorem, ogłoszony został list otwarty wzywający, aby żadnych zmian nie robić i pozostawić na tym stanowisku Macieja Nowaka. Sygnatariusze tamtego listu gremialnie podpisali nowy list. Wynika z tego, że ci, którzy nie wyobrażali sobie Instytutu zarządzanego przez kogoś innego niż Nowak, po wyborze Buchwald nie wyobrażają sobie nikogo innego na jej miejsce. Może cierpią na niedowład wyobraźni? Uznać można, zgodnie z tradycją, że to mankament w wypadku ludzi, którzy chcą decydować o sztuce. Ale może dla tych, którzy lansują „sztukę krytyczną", to zaleta?

Między listami dostrzec można pewne różnice. O ile list w obronie Nowaka ukazał się w „Krytyce Politycznej", o tyle obecny, w obronie Buchwald, ukazał się na portalu e-teatr, organie instytucji, którą obecna dyrektor kieruje. Swoją personalną kampanię organizuje więc ona w podległej sobie państwowej instytucji. Czy przy zdrowo funkcjonującym państwie nie powinno to wystarczyć do jej usunięcia?

I jeszcze. Rzecznik dyscypliny finansowej ukarał w minionym roku panią dyrektor. W normalnych warunkach...

Przyjrzyjmy się jednak argumentom, które dziwnie podobnie brzmią w obu listach. „Rozwijany tu [w Instytucie] dialog wokół teatru i jego spraw jest przy tym otwarty na różne środowiska, głosy i poglądy – i otwarcie to, podobnie jak wyjątkowe połączenie profesjonalizmu i przyjaznej bliskości, są niewątpliwymi zasługami Doroty Buchwald. [...] wielokrotnie dowiodła, że potrafi łączyć różne środowiska, postawy i poglądy; jest nie tylko merytorycznie, ale także osobowościowo uosobieniem autorskiej idei Instytutu jako miejsca otwartego, stanowiącego platformę współpracy całego środowiska".

Oglądam więc, jak przedstawiane są w e-teatrze najbardziej kontrowersyjne sprawy dotyczące polskiej sceny. Oto ponaddwugodzinny program zatytułowany „Widz teatralny – emancypacja. Debata". Uczestniczy w nim dwoje aktorów, którzy po zmianie Krzysztofa Mieszkowskiego na Cezarego Morawskiego zrezygnowali z pracy w Teatrze Polskim we Wrocławiu; troje przedstawicieli stowarzyszenia widzów – jeden z nich prowadzi rozmowę – które powołane zostało przeciw nowemu dyrektorowi; szef Teatru Powszechnego w Warszawie Paweł Łysak, znany z tego, że przekształcił swoją instytucję w narzędzie lewicowej agitacji; i publicysta Edwin Bendyk, przedstawiciel bezstronnej do bólu „Polityki".

Przy takim dobrze rozmówców nie należy się dziwić, że odejście dyrektora Mieszkowskiego i wybór Morawskiego bezdyskusyjne uznane zostaną przez nich za zamach na sztukę polską (o żadnych tego przyczynach odbiorca się nie dowie), protesty przeciwko wystawieniu „Klątwy" Frljicia – za cenzurę polityczną, a domaganie się ze strony lewicowo zorientowanych aktorów tytułu własności do teatrów, w których występują – za elementarną postawę obywatelską. Różnice zdań dotyczą środków, jakich winni użyć jej uczestnicy, aby zwyciężyć, a ich działanie ma być elementem wielkiej akcji społeczeństwa polskiego w obronie wolności zagrożonej, jak się domyślamy, przez pisowski reżim.

Tak wygląda debata w e-teatrze. Przeglądam kolejne jego numery i nie znajduję żadnego argumentu w obronie Morawskiego czy choćby cienia krytyki Frljicia, a przecież w polskiej przestrzeni publicznej pojawiło się takich głosów sporo. Tak dyrektor Buchwald i jej obrońcy wyobrażają sobie „otwartość".

Czy trzeba coś dodać? Może tylko to, że każdy, kto ma zielone pojęcie o postawie i poglądach patrona Instytutu, dziwi się, że nie wstał on z grobu, aby przepędzić całe to podszywające się pod niego towarzystwo. Co na to Rena Rolska?

Fot. Andrzej Wiktor

Mocny cios w wolność słowa w internecie

Jeszcze w lipcu 2018 r. Platforma Obywatelska wołała: „Nie dla ACTA 2, nie dla ograniczenia wolności w internecie". A już 12 września 2018 r. posłowie tej formacji zagłosowali w Parlamencie Europejskim właśnie za ACTA 2.

Oficjalnie: bo projekt się zmienił. Ale to słabe wytłumaczenie. Istota unijnej dyrektywy pozostaje taka sama: obrót teraz powszechnie dostępnymi treściami w internecie (linkami z choćby jednym zdaniem opisu) będzie reglamentowany, pod groźbą kar związany z opłatami i cenzurą – dla niepoznaki zwaną „filtrami". Wprowadzone mechanizmy prawne otworzą ścieżki do kolejnych ograniczeń. Uderzy to w swobodę indywidualnych użytkowników, zyskają wielkie koncerny medialne, głównie niemieckie, które od wielu miesięcy prowadziły w tej sprawie ogromną kampanię.

Ważne zastrzeżenie: to nie jest walka o prawa autorskie, które dziś w pełni obowiązują, to jest walka o prawa pokrewne. A to zasadnicza różnica. Dziś prawa pokrewne mają do swoich dzieł artyści, teraz dostaną je wytwórcy wszystkich innych treści, w tym koncerny medialne. Oznacza to objęcie restrykcyjnymi ograniczeniami wszelkich odwołań, cytatów, nawiązań, przeróbek, także do artykułów, nagrań, programów, audycji. A więc i komentarzy na Facebooku i Twitterze, memów, utworów yotube'owych, treści w wyszukiwarkach. To będzie rewolucja, której skali zwykli użytkownicy nawet nie przeczuwają, a która sprawi, że internet, jaki znamy – wolny, rozdyskutowany, bezkompromisowy – przejdzie do historii.

Ludzie Platformy Obywatelskiej doskonale to rozumieją, ale najwyraźniej niemieckie potęgi medialne i europejski establishment, zainteresowane cofnięciem czasu, powrotem kontroli nad tym, co ludzie czytają i myślą, wpłynęły na ich postawę. Przycisnęli więc guziki, pocieszając swoich oszukanych wyborców, jak to zrobił Michał Boni, że jak komuś coś zablokują wskutek nowego prawa, to będzie się mógł odwołać. Nie sądzę, by sam w skuteczność takiego pocieszenia wierzył.

Wniosek z tego smutny: jak Niemiec każe, to niektórzy ludzie z Platformy zdradzą każdego. Teraz sprzedali wolny internet.

Co się konkretnie zmieni? Linkowanie nie będzie zabronione, ale istotnie się zmieni. Linki już nie będą zawierać nagłówka z tytułem linkowanego tekstu, czasem z jednym zdaniem opisu i zdjęciem, staną się tylko zbiorem bezsensownych znaków.

Platformy internetowe będą zmuszone do zawarcia umowy z wydawcami i uzyskania licencji do linkowania do ich publikacji. Będzie można podzielić się linkiem tylko ze swoimi znajomymi, prywatnie. By zostać youtuberem, trzeba będzie wykupić licencję umożliwiającą tworzenie materiałów do sieci i licencję umożliwiającą linkowanie. Podobnie będzie z tworzeniem żartobliwych memów.

A na dodatek – cenzura. Wszystko, co opublikujemy, będzie skanowane.

W efekcie w internecie zostaną tylko duże serwisy, które stać na takie urządzenia. I chyba o to chodziło.

Michał Karnowski

eprasa.pl 7[illegible]025ac9[illegible]

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7c2c025ac3

Chiny

GPS-em w muzułmanów

Położona przy granicy z Kazachstanem chińska prowincja Xinjiang przypomina nieco Tybet. Nie w sensie geograficznym, lecz z przyczyn historycznych i politycznych. Terytorium Xinjiangu będące pierwotnie częścią Turkiestanu zostało – podobnie jak Tybet – siłą wcielone do państwa chińskiego, co wywołało trwające od kilkudziesięciu lat konflikty na tle etnicznym i religijnym.

Najbardziej buntowniczy są Ujgurzy – muzułmański naród pochodzenia tureckiego. Ponad 10 mln Ujgurów – mimo że jak na Chiny to niewielka mniejszość – sprawia władzom w Pekinie coraz poważniejsze problemy. Nasiliły się one po krwawych rozruchach w stolicy prowincji Urumczi w 2009 r., podczas których Ujgurzy starli się z ludnością chińską. Późniejsze represje pchnęły część separatystów w stronę dżihadyzmu.

Xinjiang przekształcono w – jak to określili amerykańscy kongresmeni – „najeżone zaawansowanymi technologiami państwo policyjne". Muzułmanie muszą mieć zainstalowaną w swoich telefonach komórkowych specjalną aplikację, która monitoruje ich pocztę oraz rozmowy. Są pozbawieni paszportów, a warunkiem ich wydania jest posiadanie specjalnego nadajnika GPS ujawniającego miejsce pobytu. W związku z powtarzającymi się zamachami terrorystycznymi wprowadzono również rejestrację noży kuchennych.

Inwigilacja wspomagana jest przez walkę ideologiczną w maoistowskim stylu. Na cenzurowanym znalazł się Koran, a ludność ujgurska poddawana jest reedukacji. Wedle obliczeń obrońców praw człowieka ok. 660 tys. Ujgurów, głównie mężczyzn, trafiło już do obozów (Chiny oficjalnie temu zaprzeczają). Kolejne 1,3 mln poddawanych jest reedukacji w miejscu zamieszkania. Są wsie, z których wywieziono większość mieszkańców.

Jak oświadczyli przedstawiciele komunistycznej młodzieżówki Xinjiangu, reedukacja jest konieczna, ponieważ inaczej nie uda się zwalczyć „ideologicznej choroby" nękającej muzułmanów. „Religijny ekstremizm jest rodzajem trucizny niszczącej umysły ludzi" – głosi oświadczenie. „Niektórzy spośród zainfekowanych tą trucizną zamieniają się w ekstremistów, dla których nawet ich własne życie jest nic niewarte. Jeżeli nie wyrwiemy ekstremizmu wraz z korzeniami, brutalny terroryzm będzie narastał i rozprzestrzeniał się jak nieuleczalny nowotwór". Czy różnorodne represje, jakim poddano Ujgurów, zmuszą ich do uległości? I czy zdołają wygasić islamski radykalizm? Na razie jest zbyt wcześnie na odpowiedź, niemniej rezultat starcia islamizmu z chińskim despotyzmem może być bardzo ciekawy.

Konrad Kołodziejski

Ukraina

Prawosławne trzęsienie ziemi

Na wschód od naszych granic dokonuje się wielki zwrot geopolityczny. Jesteśmy świadkami odwracania się trendu dziejowego, którego symbolem pozostaje umowa perejesławska podpisana w 1654 r. przez Kozaków Chmielnickiego z Moskwą.

Obecnie obserwujemy kolejny etap tej emancypacji, mający znacznie głębszy wymiar. Chodzi o uniezależnienie się ukraińskiej Cerkwi prawosławnej od patriarchatu moskiewskiego. Zdaniem kijowskiego politologa Ołeha Medwediewa krok taki będzie miał wielkie znaczenie geopolityczne, ponieważ oznacza „zerwanie ostatniej pępowiny, jaka łączy nas z imperium rosyjskim". Dla nikogo nad Dnieprem nie ulega bowiem wątpliwości, że patriarchat moskiewski jest narzędziem politycznym w rękach Kremla.

Obecnie 45-milionowa Ukraina nie ma swojej niezależnej Cerkwi prawosławnej, tak jak mają ją inne państwa, np. Grecja, Serbia, Bułgaria, Finlandia, a nawet Polska. Kijów pozostaje bowiem zależny od Moskwy. Teraz zapoczątkowany został proces uniezależniania się od Rosji, w którym kluczową rolę odgrywa patriarcha Konstantynopola Bartłomiej. Szykuje się on właśnie do nadania ukraińskiej Cerkwi prawosławnej „tomosu", czyli uznania jej autokefalii. Znamienne są jego słowa, że „już od początku XIV stulecia, kiedy tron metropolii kijowskiej został przeniesiony bez kanonicznej zgody Matki Kościoła do Moskwy, nasi kijowscy bracia podejmowali nieustanne wysiłki, by oswobodzić się od cerkiewnej kontroli moskiewskiego centrum". Bartłomiej postanowił więc wyjść im naprzeciw i pomóc w zrzuceniu zależności od Rosji. Dodał, że podporządkowanie metropolii kijowskiej przez moskiewską przed wiekami dokonało się bezprawnie, dlatego trzeba przywrócić poprzedni stan.

7 września Konstantynopol mianował swoich oficjalnych egzarchów w Kijowie (ukraińskich biskupów z USA i Kanady), którzy mają przybyć wkrótce nad Dniepr, by prowadzić tam rozmowy na temat oficjalnego przywrócenia autokefalii. Ich zadaniem ma być m.in. zjednoczenie ukraińskiego prawosławia, które jest w tej chwili podzielone między trzy niezależne od siebie i wrogo nastawione Cerkwie. Ponieważ Rosja – jak stwierdził Bartłomiej – nie jest w stanie rozwiązać tego problemu, on bierze na siebie tę odpowiedzialność. Nie trzeba dodawać, że w Moskwie zostało to odebrane jako akt wypowiedzenia „zimnej wojny religijnej". Choć wojna ma być zimna, wszystko wskazuje na to, że będzie raczej gorąco.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 7c2c025ac3

Wiktor Zołotow

Fot. Screen: https://youtu.be/iZd1yUZD30g

Rosja

Nerwowo na Kremlu?

Na słynnym zdjęciu z czasów moskiewskiego puczu 1991 r., na którym Borys Jelcyn przemawia, stojąc na czołgu, za plecami prezydenta Rosji widać szczupłego, czujnie rozglądającego się wokół mężczyznę. To Wiktor Zołotow, przedtem kagebista, a wtedy jego ochroniarz. Widać, że to człowiek bardzo opanowany.

I właśnie ten bardzo opanowany człowiek, dziś od lat bardzo blisko związany z Putinem dowódca Rosgwardii, czyli podporządkowanego bezpośrednio prezydentowi potężnego rodzaju sił zbrojnych przeznaczonego do zwalczania zamieszek i terroryzmu, umieścił na oficjalnej stronie internetowej tej struktury filmik kojarzący się ze wszystkim, tylko nie z opanowaniem.

Obrzucił w nim może nie mięsem, ale najgorszymi oskarżeniami opozycyjnego przywódcę i działacza antykorupcyjnego Aleksieja Nawalnego, który przedtem poinformował o finansowych nadużyciach w Gwardii. I... wyzwał go na pojedynek – na ringu, obiecując zrobić z opozycjonisty „krwawą siekaninę".

Tego rodzaju wystąpienie bardzo poważnego generała wywołało falę spekulacji. Dlaczego Zołotow tak zrobił? Zwariował? Ale dlaczego mu na to pozwolono? Przecież chyba nie uczyniłby czegoś tak ekstrawaganckiego bez zapytania o zgodę swojego szefa, czyli samego Putina?

Wydaje się, że dziwaczne wystąpienie Zołotowa może być celowym sygnałem, wysłanym nie tyle przez niego, ile szerzej – przez rosyjską władzę. Sygnałem mówiącym: w razie czego nie będziemy się cackać. Skąd jednak potrzeba wysłania takiego sygnału? Przecież opozycja jest słaba, a Kreml potężny?

Putinowska władza zawsze wolała jednak dmuchać na zimne. Tak, opozycja jest słaba, ale wciąż trwają demonstracje związane z podwyższeniem wieku emerytalnego. A ten temat, inaczej niż kwestie demokracji czy praw człowieka, bulwersuje zwykłych Rosjan, czyli społeczną bazę reżimu. W dodatku w zeszłotygodniowych wyborach uzupełniających – do Dumy, a także niektórych gubernatorów – kandydaci partii rządzącej wypadli nieoczekiwanie słabo.

To może wywołać nerwowe reakcje. Nawet ze strony ludzi tak opanowanych jak gen. Zołotow i jego szef.

Piotr Skwieciński

RYSZARDOWI TERLECKIEMU

Wicemarszałkowi Sejmu
Przewodniczącemu Klubu Parlamentarnego
Prawo i Sprawiedliwość

wyrazy głębokiego żalu i słowa otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

MAMY

składa

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

19/0918/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

OGNIEM NA WPROST

Kabaret morderczego duetu

Jak wiadomo, Anglicy namierzyli agentów, którzy w Salisbury otruli nowiczokiem rodzinę Skripalów (ojca i córkę). Ni z tego, ni z owego do ruskiej telewizyjnej stacji propagandowej zadzwoniło dwóch mężczyzn twierdzących, że są właśnie tymi ze zdjęć opublikowanych przez brytyjski kontrwywiad. Natychmiast zaaranżowano rozmowę przed kamerami, a prowadziła ją sama szefowa państwowych rozgłośni putinowskiego przekazu. Rusłan Boszyrow i Aleksandr Pietrow, bo tak się przedstawili goście poszukiwani przez międzynarodowe organy ścigania, stwierdzili lekko spięci, że nie są żadnymi funkcjonariuszami wywiadu wojskowego Rosji – GRU, lecz „biznesmenami" obracającymi odżywkami fitness. Do Salisbury przyjechali specjalnie obejrzeć tylko słynną katedrę, ale akurat w dniu zamachu na Skripala padał śnieg i przemarznięci wrócili do Londynu. Przedstawienie w telewizji RT trąciło spektaklem kabaretowym. Proszę mi pokazać rosyjskiego handlarza odżywkami dla kulturystów interesującego się w ogóle zabytkami, a już tym bardziej w dalekiej Anglii. Ale jakoś trzeba było wytłumaczyć ich atletyczne sylwetki. Co do twarzy, to jeśli ustawiłoby się w rzędzie dziesięciu Rosjan i zadało pytanie, którzy z nich są z GRU, każdy palcem wskazałby na Boszyrowa i Pietrowa. Do telewizji morderczy duet się udał, ponieważ „maładcy" poczuli się nagle fizycznie zagrożeni. Nic dziwnego, ich śladem podąża już James Bond.

Anjem Choudary, zwany również „kaznodzieją nienawiści", właśnie wychodzi z brytyjskiego więzienia. Po odbyciu połowy kary (a jakże, za dobre sprawowanie). Problem polega na tym, że przeciwko zwolnieniu Choudary'ego protestuje sam minister więziennictwa Zjednoczonego Królestwa, ostrzegając, że nadal jest „naprawdę niebezpieczny". Islamista siedział za zachęcanie swoich braci w wierze do wstępowania w szeregi tzw. Państwa Islamskiego. Choudary to nasz „dobry znajomy". Swego czasu stwierdził: „Pewnego dnia prawo szariatu zostanie wprowadzone także w Polsce, bo wierzymy, że należy usunąć wszystkie opresyjne reżimy. Jeśli rządzi wami ktoś inny niż Allah, to jest to forma ucisku. Dzięki naszej polityce i ten wasz reżim zostanie usunięty, a ludzie będą szczęśliwi. W Polsce macie rządy liberalnej demokracji, a w tym nie ma żadnych mocnych, trwałych wzorców". Choć ostatnie zdanie kaznodziei, co do istoty tej ideologii, jest prawdziwe, to jednak różni się zasadniczo od stanowiska władz Unii Europejskiej. Te z kolei uważają, że celem Polski i Węgier jest właśnie zniszczenie liberalnej demokracji i zastąpienie jej jakimś wariantem autokratycznego faszyzmu. Zdecydowanie po wyjściu na wolność Choudary powinien się udać zaraz do Brukseli, by z Timmermansem lub innym Verhofstadtem uzgodnić stanowisko wobec naszego kraju. Widać, że w stosunku do Polski zachodnie demokracje są podzielone.

Rząd w Sztokholmie ma przeznaczyć 5 mln koron szwedzkich (ok. 0,5 mln euro) na kursy edukacji seksualnej dla imigrantów. Na stronie internetowej, by zachęcić przybyszów z Południa do lektury, w rozdziale o seksie pojawiły się zdjęcia kolorowych cudzoziemców ze szwedzkimi blondynkami. W zakładce „Zakochanie się", ilustrowanej właśnie taką fotką – młodej blondynki całującej ciemnoskórego mężczyznę – można przeczytać m.in., że „bycie zakochanym to zazwyczaj cudowne uczucie. Niektórzy ludzie byli zakochani wiele razy, inni nigdy nie byli zakochani". Widzimy wyraźnie, jak wielka mądrość i głębia intelektualna płyną spod piór szwedzkich seksedukatorów. Imigranci z dzielnic, do których boi się zaglądać policja, będą sobie tę lekturę dosłownie wyrywać z rąk, a muzułmańskie matki już zapowiedziały czytanie co ciekawszych fragmentów małoletnim córkom do poduszki. W dystrybucji na pewno pomogą tolerancyjni i postępowo nastawieni imamowie. Salafici w tradycyjnych strojach, dżihadyści oraz członkowie Bractwa Muzułmańskiego staną pod meczetami i będą rozdawać publikacje zgłodniałym wiedzy męskim mieszkańcom islamskich gett. Świetny pomysł, cenna inicjatywa. Szwedzi, trzymamy za ten program kciuki!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7c2c025ac3

Prestiżowy pomnik historii

Marta Kaczyńska-Zielińska

Bohoniki i Kruszyniany to niewielkie miejscowości położone w pobliżu granicy z Białorusią, powszechnie nieznane, a kryjące w sobie niezwykłe dziedzictwo różnorodności kultury naszego kraju. W XVII w. miejscowości te zostały nadane Tatarom przez króla Jana III Sobieskiego. Do dziś na tym obszarze koncentruje się życie społeczności tatarskiej, a świadectwem jej kilkusetletniej obecności na podlaskich ziemiach pozostają wyjątkowe pod względem architektonicznym meczety i mizary, kryjące groby wielu zasłużonych dla Polski muzułmanów. Drewniane świątynie zostały wybudowane przez lokalnych chrześcijan i prawosławnych, a ich dziełem pozostaje stylistyka nawiązująca zarówno do kościołów, cerkwi, jak i synagog. Polskie meczety stanowią dowód na asymilację Tatarów na ziemiach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, gdzie zachowali oni swoją religijną tożsamość, ale czerpali z lokalnej tradycji i kultury, nierzadko udowadniając lojalność wobec nowej ojczyzny, gdy bohatersko stawali w obronie Polaków.

Od 2012 r. Bohoniki i Kruszyniany z racji swoich niezwykłych walorów zarówno historycznych, jak i współczesnych – ściśle związanych z tematyką migracji, a także problemu różnic kulturowych – mają status pomnika historii. W rozporządzeniu Prezydenta RP przyznającego takowy status wskazano, iż celem wydania tego aktu prawnego jest zachowanie unikatowych wartości historycznych, materialnych i niematerialnych, przykładów drewnianego budownictwa muzułmańskiego łączącego tradycje islamu z lokalną tradycją budownictwa sakralnego, które wraz z mizarami stanowią dziedzictwo polskich muzułmanów, a dowodząc bogactwa kulturowego i tolerancji religijnej na terenie dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, integralnie przynależą do historii i kultury Polski.

Aż trudno uwierzyć, że pozwolono na to, by w tak niewielkiej odległości od bezcennych zabytków rozwijała się kopalnia

W ostatnich latach pojawiła się nawet inicjatywa wpisania obu miejscowości na listę światowego dziedzictwa UNESCO – bezskutecznie. Wyjątkowe w skali świata miejsca współegzystencji chrześcijan i muzułmanów, z powodzeniem kontynuowanej od wieków, zdają się pozostawać poza należytą ochroną, a nawet sprawiają wrażenie skazanych na stopniowe zniszczenie.

Od dziewięciu lat obszar bezpośredniego sąsiedztwa muzułmańskich zabytkowych zabudowań jest w coraz szerszym zakresie eksploatowany jako kopalnia kruszywa. Krajobraz wokół bezcennych zabytków nie przypomina już pięknych okolic, typowych dla wschodniej części naszego kraju. Nieopodal podlaskich meczetów i mizarów rozpościera się widok na hałdy piasku i olbrzymi zbiornik wody. Aż trudno uwierzyć, że pozwolono na to, by w tak niewielkiej odległości od bezcennych zabytków, a w szczególności cmentarzy z kilkusetletnimi mogiłami o niespotykanych pomnikach i epitafiach, powstał teren pozbawiony życia i szpecący okolicę.

W ostatnim czasie przedstawiciele Muzułmańskiej Gminy Wyznaniowej w Bohonikach wystąpili z inicjatywą powołania w ich miejscowości parku kulturowego. Prestiżowy, jak się okazuje wyłącznie z nazwy, status pomnika historii w żaden sposób nie zapobiega bowiem ingerencji w zagospodarowanie terenu stanowiącego w istocie integralną część zabytkowego obszaru. Czy stworzenie takiego parku będzie w stanie zapobiec dalszej eksploatacji terenu przez kopalnię? Czy będzie jedynie kolejną formalnością nieznajdującą odzwierciedlenia w praktyce?

Zachowanie 600-letniej tradycji wielokulturowości i tolerancji, tak charakterystycznych dla historii naszego kraju, jest przecież istotne nie tylko z punktu widzenia niewielkich Bohonik, lecz przede wszystkim całej Polski.

Wicemarszałkowi Sejmu
Przewodniczącemu Klubu Parlamentarnego
Prawo i Sprawiedliwość

RYSZARDOWI TERLECKIEMU

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

MAMY

składa

Szef i Kierownictwo Kancelarii Sejmu

19/0918/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Małżeństwo, czyli co?

Senat w Rumunii opowiedział się we wtorek za referendum w sprawie zmiany konstytucji polegającej na wprowadzeniu zapisu stwierdzającego, że małżeństwo to wyłącznie związek mężczyzny i kobiety. Wcześniej takie referendum poparła Izba Deputowanych. Uchwałę w tej sprawie Senat przyjął stosunkiem głosów 107:13 – informuje portal wPolityce.pl. Obecnie w rumuńskiej konstytucji widnieje zapis, w którym małżeństwo jest określone jako związek małżonków. Parlament zajął się sprawą po tym, jak aż 3 mln mieszkańców Rumunii podpisało petycję, w której domagało się zmiany konstytucji i zapisania w niej, że małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety. Referendum w tej sprawie może się odbyć w październiku. Ech, dobrze, że jeszcze gdzieś w Europie stary dobry ciemnogród ma się nieźle.

3,5 proc.
– tyle w lipcu br. według Eurostatu wyniosła stopa bezrobocia w Polsce. Nasz kraj zajął trzecie miejsce wśród europejskich państw z najniższym bezrobociem.

800 tys. euro
– tyle była warta biżuteria saudyjskiej księżniczki, skradziona z pokoju w słynnym paryskim hotelu Ritz.

4,6 mln
– tylu Europejczyków wzięło udział w konsultacjach publicznych na temat zmiany czasu w Europie. 84 proc. z nich chce zniesienia zmiany czasu.

Jak lis w kurniku

Za to w Wielkiej Brytanii króluje nowoczesność. I są tego skutki. Przestępca, który sam określał siebie jako kobietę, będąc mężczyzną, trafił do żeńskiego więzienia i tam molestował współwięźniarki. Chodzi o Stephena Wooda, który został skazany za gwałt na kobiecie w 2016 r. oraz zaatakowanie sąsiada za pomocą noża. Choć pan Wood trafił do więzienia za czyny, których dokonał, będąc mężczyzną, to jednak gdy poczuł się kobietą o imieniu „Karen", został przydzielony do zakładu karnego dla kobiet w New Hall. Będąc tam, molestował seksualnie cztery kobiety. Według informacji „The Daily Mail" w przeszłości był już oskarżany o napaści seksualne oraz pedofilię – czytamy na pch24.pl. Rzecznik więzienia New Hall przeprosił za błąd popełniony w tej sprawie, a oskarżony do niczego się nie przyznaje. Twierdzi bowiem, że kobiety go nie pociągają. Gdyby głupota mogła latać, to wyznawcy ideologii gender poszybowaliby wysoko. A tak pozostaje nam czekać na pedofila, który zidentyfikuje się jako dziecko i trafi do poprawczaka.

Raz sierpem, raz młotem...

Litwa, Łotwa i Estonia zwróciły się do wielkiej amerykańskiej sieci tanich sklepów Walmart, aby usunęła symbole ZSRS ze sprzedawanych w krajach bałtyckich produktów. A takich produktów w Walmarcie nie brakuje. Są np. kubki z nadrukiem sierpa i młota, są koszulki, można nabyć flagę ZSRS czy czerwone etui z sierpem i młotem na smartfona. O sprawie informuje m.in. portal belsat.eu. „Za symbolami w rodzaju sierpa i młota kryją się straszliwe zbrodnie" – napisał litewski ambasador w USA Rolandas Kriszcziunas w liście do dyrekcji amerykańskiego koncernu w Bentonville (Arkansas). „Jeszcze przez wiele stuleci promocja tych symboli będzie wywoływała u nas bardzo bolesne skojarzenia" – podkreślił. Pora na lifting hasła antykomunistów. Może teraz dla odmiany: „Raz sierpem, raz młotem kupującą to hołotę!".

eprasa.pl 7c2c025ac3

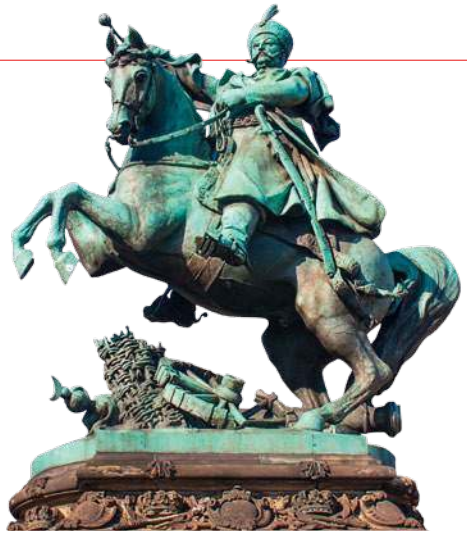

Rocznica

Niedawno świętowaliśmy 335. rocznicę odsieczy wiedeńskiej. Z tej okazji miał nawet stanąć pod Wiedniem pomnik Jana III Sobieskiego, ale nie stanie, bo dziś jest już niepoprawny politycznie. Choć bitwa uważana jest za jeden z przełomowych momentów w dziejach Europy, to Jan III Sobieski pewnie przewraca się w grobie, bo znów się okazało, że „co się odwlecze, to nie uciecze".

Jestem w stanie zaprzyjaźnić się z każdym, kto racjonalnie chce doprowadzić w Polsce do obalenia rządu PiS **– wyznał Roman Giertych w rozmowie z wp.pl. A nie lepiej zaprzyjaźnić się z Polakami?**

Czas nie goni nas

„Proponujemy zatrzymanie zmiany czasu" – powiedział szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker w Parlamencie Europejskim w Strasburgu w orędziu o stanie Unii Europejskiej. Jak dodał: „Kraje członkowskie same powinny zdecydować, czy ich obywatele żyją w czasie letnim, czy zimowym". Szef KE wyjaśniał, że unijni wyborcy nie będą zadowoleni, jeśli wciąż będzie trzeba zmieniać czas dwa razy w roku. I chyba pierwszy raz w życiu Jean-Claude Juncker powiedział coś z sensem.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Komu Orła Białego?

Dominik Zdort

Laureatka (dwukrotna) Nagrody Nobla. Bohaterka kilkunastu filmów, seriali i sztuk teatralnych. Patronka licznych liceów i jednego uniwersytetu. Wielokrotnie upamiętniana na banknotach i monetach (polskich i francuskich) oraz na znaczkach pocztowych (w Polsce, we Francji, w Szwecji i Monako).

Ma swoje pomniki, popiersia, drzewa, place i ulice. Francuską Legię Honorową i honorowe doktoraty wielu polskich uczelni. A także honorowe obywatelstwa Warszawy i Glasgow. Jej dorobek jest uznany powszechnie, w ojczyźnie i na świecie.

Czy ktoś taki zasługuje na Order Orła Białego? Nie ma wątpliwości. Pytanie brzmi, czy postać tak wielka potrzebuje takiego orderu. Czy to odznaczenie może dodać splendoru Marii Skłodowskiej-Curie?

Nie jestem pewien. Dowartościowany nie zostanie słynny naukowiec, ale raczej odznaczenie.

Dlatego pomysł Andrzeja Dudy, aby na 100-lecie odzyskania niepodległości odznaczyć właśnie tym orderem ćwierć setki od dawna nieżyjących wielkich Polaków, budzi moje wątpliwości.

Nie chcę konkretnie oceniać tych 25 wybranych osób, mam wrażenie, że wszystkie one były ważne dla Polski, ale wydaje mi się, że są wśród nich bohaterowie dość różnej rangi, zarówno powszechnie uznani i kojarzeni, jak i słabo rozpoznawalni.

Można też mieć wrażenie, że zamiast wziąć pod uwagę tylko zasługi dla ojczyzny, poszukiwano jakiejś równowagi. Że to raczej polityczna poprawność i akcja afirmatywna niż ocenienie rzeczywistych dokonań.

Skoro wybrano hierarchę katolickiego, to na liście musieli się znaleźć duchowni protestancki i prawosławny oraz rabin. Skoro większość to osoby narodowości polskiej, to nie mogło zabraknąć Tatara ani Żydów.

Wolałbym pewnie, żeby powstało nowe odznaczenie, dla tych największych nieżyjących od wielu dziesięcioleci, aby utworzyć jakiś narodowy panteon wielkich Polaków, a nie nagradzać ich Orłem Białym, zarezerwowanym dla naszych współczesnych.

Ale stało się. Napiszę więc na koniec, że znacznie bardziej od tego wyboru nie podoba mi się zwyczaj (zupełnie inny, który prezydent wspomniał) nadawania orderów osobom tuż po ich śmierci. Bo to moment, kiedy (o czym pisałem przed tygodniem) zamiast ocenić dorobek człowieka obiektywnie, z natury rzeczy staramy się szukać pozytywów.

Wolałbym, żeby taki „wielki zmarły" musiał odczekać choć dekadę, zanim potomni stwierdzą, czy naprawdę zasługiwał na order. Bo różnie bywa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7c2c025ac3

RZECZY POSPOLITE

Mądry gość

Tomasz Łysiak

Na włoskim Twitterze pojawił się ostatnio film nakręcony pod jakimś sklepem w Italii. Oto czarnoskóry mężczyzna, mieszkaniec Włoch, pakuje do samochodu zakupy spożywcze. Stoi przy otwartym bagażniku, przekłada siatki z wózka i jednocześnie gada. Ktoś tę wypowiedź nakręcił i wrzucił w internet. Filmik podbił wicepremier Salvini, komentując, iż „czasem jedno wideo jest warte więcej niż tysiąc artykułów".

O czym mówił imigrant od lat mieszkający w Italii? O tym, że nie dziwi się, iż Włosi złoszczą się na taką imigrację. Co więcej, dodał, notabene sprawnie posługując się językiem włoskim, że gdyby to w kraju jego pochodzenia nastąpił napływ tego typu imigrantów, jak to się obecnie dzieje w Europie, to reakcja obywateli byłaby silniejsza. Zaczął też narzekać, że to, co obserwuje dookoła, napawa go wstydem. Bo sens bycia „gościem" w obcym kraju polega na tym, że należy się samemu adaptować do warunków, jakie w nim są, a przede wszystkim pracować. Tymczasem fale imigrantów dopływające na kolejnych pontonach i statkach do brzegów Europy to przede wszystkim młodzi, nastawieni na łatwy zysk spryciarze. Gdy nie uzyskują tego, czego oczekiwali, gdy nikt im nie daje od razu samochodu i masy pieniędzy, to zaczynają się złościć. Kraj, do którego przyjeżdżają, traktują jak łup – śmiecą, nie szanują, rabują, co się da.

Ten mężczyzna opowiadający przy zakupach zyskał sobie natychmiast szacunek Włochów, w komentarzach pisano, że gdyby tacy ludzie pojawiali się na Półwyspie Apenińskim, to inaczej mówilibyśmy o problemie imigracji. Tymczasem Parlament Europejski postanowił uruchomić, m.in. z powodu sprzeciwu wobec polityki imigracyjnej, art. 7 wobec Węgier. Może gdyby ci europosłowie, którzy z taką łatwością, aplauzem i okrzykami radości uderzali w jeden z krajów członkowskich tylko dlatego, że chce bronić swoich obywateli przed agresją, obejrzeli ten film, zmieniliby zdanie? Albo gdyby obejrzeli jeszcze inne, na których imigranci biją ludzi, plują, kradną, napadają w autobusach, śmiecą i niszczą – może chociaż trochę by przetrzeźwieli?

Tłuste robale

Piotr Cywiński

Nudą wieje z sejmowego koła Liberalno-Społecznych. Jest taki twór w naszym parlamencie, stworzony przez wcześniej twórcę innego tworu w rozsypce o nazwie Nowoczesna. Pierwszą parą w onym trzyosobowym kole (ileż uroku może mieć polityka) jest rzeczony Ryszard Petru z koleżanką (?), partnerką (?), konkubiną (?), w każdym razie z towarzyszką podróży Joanną Schmidt. A że już dawno ucichło echo po ich sylwestrowej eskapadzie, a także po wycieku esemesowej korespondencji podczas obrad parlamentu, czego bardzo by chcieli razem, co jednak z polityką nie miało nic wspólnego, przeto postanowili przypomnieć o swym istnieniu, w politycznym kontekście ma się rozumieć. Petru i Schmidt zażądali od marszałka Sejmu po kilkadziesiąt tysięcy złotych na łebka tytułem odszkodowania za utratę przepustek upoważniających do wjazdu autem na teren parlamentu.

Dla przypomnienia, szlaban przed ich samochodami opadł za lipcową próbę przemycenia – najpierw na siedzeniach, potem w... bagażniku – dwóch Obywateli RP, znanych z ulicznych blokad, pikiet, burd, zakłócania uroczystości państwowych itp. Tym razem Straż Marszałkowska była sprawna, nie wyszło, więc teraz Petru występuje, co następuje: „W związku z brakiem odpowiedzi na moje kolejne pismo wnoszące o zaprzestanie naruszania mojego dobra osobistego w postaci prawa do wykonywania mandatu posła, a także brakiem przedstawienia podstawy prawnej obowiązującego mnie nadal zakazu wjazdu na teren Sejmu, wzywam do zapłaty na moją rzecz zadośćuczynienia w wysokości 50 tys. zł".

Potwór ten marszałek Kuchciński Marek! Jak śmie naruszać „dobro osobiste w postaci" Petru i Schmidt! W przemycie „obywateli" uczestniczyła też Joanna Scheuring-Wielgus z koła, i również ma szlaban, ale – o ile wiem – „zadośćuczynienia w wysokości", jak jej szef z koleżanką (?), partnerką (?), konkubiną (?), nie żąda. 100 tys. może się przydać młodej parze, jeśli prócz akcji z marszałkiem coś jeszcze wspólnie planują. Posłanka Scheuring-Wielgus woli pewnie nie przypominać o akcji z bagażnikiem, ryzykuje jednak, że nagrabi sobie u szefa i wypadnie z „Planu Petru". Tak źle i tak niedobrze.

Równolegle z newsami o Petru i Schmidt pojawiła się w mediach informacja, że w czekoladkach sprzedawanych w Biedronce były tłuste robale. „Kupił cukierki, a w środku coś pełzało. Ohyda!" – huknął „Fakt". Zarobaczone czekoladki szybko wycofano z obiegu. Sam nie wiem, czemu mi się to skojarzyło...

eprasa.pl 7c2c025ac3

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 105 450 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 7c2c025ac3

Nie dam się zastraszyć

To jest walka polityczna, której narzędziami są relatywizm, uznaniowość, nihilizm prawniczy. Ma ona w konsekwencji doprowadzić do anarchii i bezprawia w Polsce. Włączają się w te działania zewnętrzne podmioty

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z ***Julią Przyłębską****, prezes Trybunału Konstytucyjnego*

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7c2c025ac3

Co pani prezes myśli, gdy widzi np. pomniki ubrane w koszulki z napisem „Konstytucja"? Albo gdy słyszy skandowane słowo „konstytucja"? Bo intencją tych, którzy to robią, jest sprawienie pani, choć nie tylko pani, jakiegoś kłopotu. To ma być rodzaj wyrzutu.

Julia Przyłębska: Jeśli tak, to bezskutecznie. Odbieram tego typu działania jako sygnał, że konstytucja jest ważna. I to mnie cieszy. Tak jak cieszy mnie, że wreszcie zaczęła być czytana. Trochę szkoda, że wciąż bywa czytana bez zrozumienia i wybiórczo. Oczywiście pomijam aspekt związany z naruszaniem prawa przy tego typu akcjach. Jeśli ktoś zakłada koszulkę z napisem „Konstytucja" na krzyż, to tak jak miliony Polaków mam poczucie, że naruszane jest moje podmiotowe prawo katoliczki i chrześcijanki – prawo do poszanowania uczuć religijnych. Z kolei „przyozdabianie" pomników narusza harmonię przestrzeni publicznej. Ale samo noszenie koszulek niczyich praw nie narusza, jest realizacją prawa do demonstrowania przywiązania do konstytucji, jest deklaracją poszanowania ustawy zasadniczej.

Pani też właściwie mogłaby założyć taką koszulkę, bo przecież to Trybunał jest obrońcą konstytucji.

Prezes Trybunału Konstytucyjnego wraz z sędziami TK stoi na straży konstytucji. Dbamy o to, by ustawodawstwo polskie było zgodne z tym najważniejszym aktem prawnym. Tylko Trybunał może dokonywać ocen w tej sferze. Ostatnio niestety niektóre organy państwa próbują bezpośrednio interpretować konstytucję, nie uwzględniając obowiązującego prawa i wyłącznych kompetencji Trybunału. To są bezprawne próby przejęcia roli TK. Taki charakter mają ostatnie decyzje Sądu Najwyższego i idące za nimi decyzje niektórych sądów powszechnych. Orzeczenia Sądu Najwyższego nie są źródłem prawa. Konstytucja tę sprawę rozstrzyga jednoznacznie. SN nie przestrzega prawa, uzurpuje sobie kompetencje Trybunału, a nawet takie, jakich w ogóle nie przewiduje polski system prawny („zawieszanie ustawy"), i nie widzi w tym nic niewłaściwego.

Eksponowanie słowa „konstytucja" przez opozycję jest jednak nie tylko uznaniem wagi tego dokumentu, lecz także próbą jego zawłaszczenia, próbą przejęcia tego słowa i nadania mu, nie bardzo wiadomo na jakiej podstawie, wydźwięku antyrządowego.

Te intencje rzeczywiście są widoczne. Obawiam się, by ta chaotyczna, niemerytoryczna, czasem także wulgarna dyskusja nie doprowadziła do tego, że społeczeństwo straci szacunek do konstytucji. Nie chcę wzmagać tego zjawiska. Dlatego nawet jeśli akcje związane ze wspomnianymi koszulkami miałyby w sobie elementy agresji, to na tę agresję reagowałabym bardzo wstrzemięźliwie. Trzeba zachować spokój.

Czy pani zetknęła się bezpośrednio z tego typu akcjami?

Tak, i często są to zdarzenia humorystyczne. Wielokrotnie spotkałam na ulicy, w sklepie czy pociągu przeciwników dobrej zmiany, którzy uwierzyli, że i ja jestem częścią jakiejś ekipy politycznej, choć jestem przecież wybraną przez Sejm sędzią i prezes Trybunału, i którzy mówią mi: „Niech pani czyta konstytucję". Odpowiadam wówczas: „Dziękuję, stale czytam konstytucję". „A to dobrze, do widzenia" – słyszę w odpowiedzi.

Zarzut rzekomego łamania konstytucji to również stały zarzut wobec prezydenta Andrzeja Dudy.

To nieprawda. Zarzut ten jest bezpodstawny. Prezydent postępuje zgodnie z konstytucją i zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem.

Pytanie, czy ci, którzy strzelają konstytucją niczym Indianie w czasie bitwy z łuków, sami ją czytają? I co chcą wyrazić, tak mocno eksponując ten dokument, wynosząc go na sztandary?

Moim zdaniem kryją się za tym niechęć i bezsilność wobec zmian, które nastąpiły. Są w tym elementy frustracji, ale jest i brak argumentów. Nie obawiam się dyskusji ani debaty, o ile nie jest to jakaś pyskówka, pełna argumentów ad personam, co niestety moi adwersarze w Polsce stale robią. Zdarza się, że również przedstawiciele środowisk i instytucji zagranicznych, także niemieckich, dokonują oceny praworządności w naszym kraju, krytykują Trybunał. Co ciekawe, gdy zapraszam autorów tych ocen do uczciwej rozmowy, zazwyczaj odmawiają, uchylają się od niej. Zajmują więc stanowisko w sprawie innego państwa, nie znając wystarczająco ani jego ustawodawstwa, ani specyfiki wymiaru sprawiedliwości. Z kolei owe zagraniczne opinie są później rzekomym potwierdzeniem racji wielu środowisk w Polsce.

> Trybunał nie jest na niczyje zawołanie. Trybunał jest w pełni niezależny. Trybunał broni i będzie bronił konstytucji. Ja również bronię i będę broniła konstytucji

Zagranica najczęściej powtarza to, co jej podyktują „polscy przyjaciele".

Skutki są takie, że dziś w Polsce nie rozmawiamy poważnie o konstytucji, praworządności, demokracji. Nie ma takich debat.

Strategia opozycji opiera się na odmowie prawomocności instytucjom, nad którymi straciła pełną kontrolę. Próbują udawać, że Trybunału Konstytucyjnego w Polsce nie ma.

To zaklinanie rzeczywistości. Trybunał rozpoznaje sprawy, sędziowie spotykają się na Zgromadzeniach Ogólnych. Z funkcjonowaniem TK nie ma żadnego problemu. I trzeba

eprasa.pl 7c2c025ac3

przypominać, że to obecna opozycja w 2015 r., tuż po zwycięstwie prezydenta Andrzeja Dudy, uchwaliła ustawę, która umożliwiała wybranie sędziów przedwcześnie („na zapas"). Niewielu prawników czy komentatorów wyraziło swój sprzeciw wobec działań tak wyraźnie sprzecznych z prawem. Tak się spieszono, że naruszono regulacje dotyczące podmiotów mających prawo zgłaszania kandydatów i przepisy dotyczące terminów. I to właśnie te błędy stały się powodem uznania, już przez nowy Sejm, decyzji podjętych z naruszeniem obowiązującego wówczas prawa. W ogóle na działania moich poprzedników patrzy się z dużą wyrozumiałością. Czy ktoś demonstrował po tym, jak Trybunał zalegalizował przejęcie pieniędzy z OFE przez rząd? Czy protestowano po zgodzie TK na zamrożenie wynagrodzeń sędziowskich w 2012 r.? Czy bito na alarm, gdy potwierdzono konstytucyjność nadzoru ministra sprawiedliwości nad działalnością administracyjną sądów w roku 2013? Można tu jeszcze wspomnieć o akceptacji wydłużenia wieku emerytalnego – przyznanie ustawodawcy prawa do regulowania tej sprawy.

O czym to świadczy?

To świadczy o tym, że mamy do czynienia z podwójnymi standardami i że tu nie chodzi o merytoryczną dyskusję. To jest walka polityczna, której narzędziami są relatywizm, uznaniowość, nihilizm prawniczy. Ma ona w konsekwencji doprowadzić do anarchii i bezprawia w Polsce. Włączają się w te działania zewnętrzne podmioty, począwszy od innych państw, poprzez instytucje sądowe tych krajów, skończywszy na Komisji Weneckiej, która tworzy bezpodstawne, niemerytoryczne opinie.

Można powiedzieć, że „inni szatani są tu czynni"?

Można tak powiedzieć.

Wszystko to nie zmienia faktu, że próba nieuznawania Trybunału Konstytucyjnego przez niektóre siły w Polsce, próba jego zmarginalizowania jest dla państwa polskiego groźna. Jak można wyjść z tej sytuacji?

Próba marginalizacji TK jest skutkiem wspomnianej przeze mnie, modnej ostatnio, a pozbawionej jakiejkolwiek podstawy prawnej, uznaniowości. Niektóre sądy, sędziowie czy znane autorytety prawnicze uzurpują sobie prawo do uznawania danej instytucji, decyzji czy orzeczenia ze skutkiem wobec całego systemu prawnego. Można jednak dostrzec, że i w tej uznaniowości podmioty atakujące TK są niekonsekwentne, ich postawa jest wewnętrznie sprzeczna, co pokazuje ewidentną bezpodstawność ich stanowiska. Rzecznik praw obywatelskich w jednej ze spraw nie wycofał swojego wniosku, mimo że orzekali w tej sprawie również sędziowie, którym kwestionuje się prawo do bycia sędziami TK. Trudno zresztą powiedzieć, co jest podstawą tego kwestionowania, bo również sam RPO nie przedstawił nigdy takiego uzasadnienia. To wstrzymanie możliwości orzekania tym sędziom przez byłego prezesa Rzeplińskiego było naruszeniem obowiązującego prawa.

Dlaczego?

Prezes Trybunału nie jest podmiotem w jakikolwiek sposób włączonym w proces powoływania sędziów. Prezes jedynie organizuje pracę sędziów i całego TK. Co więcej, były prezes Andrzej Rzepliński uznał, że sędziami TK zostały osoby wybrane „na zapas". Problem w tym, że żadna z tych osób nie złożyła oświadczenia woli i gotowości do podjęcia obowiązków. Żadna nie otrzymała wynagrodzenia, nie dostała urlopu, gabinetu, asystentów, komputera. To wszystko dostała za to owa trójka niedopuszczona do orzekania. Były prezes Andrzej Rzepliński stworzył konstrukcję naruszającą niezawisłość sędziowską, ponieważ wkroczył w obszar orzekania.

Całej batalii wokół reformy wymiaru sprawiedliwości towarzyszą lamenty nad rzekomo zagrożoną niezawisłością sędziowską.

eprasa.pl 7c2c025ac3

W tej sprawie jest dużo niewiedzy. Ani Monteskiusz, ani kontynuatorzy jego myśli nie rozumieli niezawisłości jako w pełni zamkniętego systemu korporacyjnego. Niezawisłość dotyczy indywidualnej postawy sędziego. Tu chodzi o niezależność wewnętrzną. Gdy któryś sędzia twierdzi, że zmieniając organizację sądownictwa, narusza się jego niezawisłość, brzmi to tak, jakby przyznawał się do braku kręgosłupa. Czy jego kręgosłup jest uzależniony od czynników zewnętrznych?

Twierdzą, że Izba Dyscyplinarna może karać za wyroki uznane za nieprawidłowe, a więc będzie elementem presji na sędziów.

Izba Dyscyplinarna jest częścią wymiaru sprawiedliwości. To sami sędziowie będą siebie oceniali. Ale ocena nie będzie dotyczyła postawy sędziego w obszarze orzekania; tę funkcję pełnią sądy wyższych instancji. W Izbie Dyscyplinarnej oceniane będą jedynie zachowania nieetyczne, niezgodne z prawem. Nie widzę tu żadnego problemu. Sędzia powinien mieć świadomość, że nie jest człowiekiem poza prawem, nie jest osobą bezkarną.

> Nie dam się zastraszyć. Jedną z cech niezawisłego sędziego musi być odwaga. Gdyby każdy sędzia był odważny, mielibyśmy sprawiedliwe wyroki

Jak się skończy to, co się dzieje wokół Sądu Najwyższego?

To, co tam się dzieje, może niepokoić. Sędziowie SN zatracili się w walce o swoje przywileje i o swoją pozycję. Zaangażowali się w walkę polityczną i żadne słowa tego nie zmienią. Zapomnieli, że są powołani do tego, by służyć społeczeństwu. Istota wymiaru sprawiedliwości polega przecież na tym, że społeczeństwo wybiera swoich arbitrów, daje im mandat i mówi: „Rozstrzygajcie nasze spory". Ta umowa nie obejmuje budowy korporacyjnej kasty, która ma się sama rządzić, sama wyznaczać następców, sama oceniać. Sędziowie SN walczą o swoje korporacyjne interesy, zapominając o zwykłych obywatelach. Na szczęście nie wszyscy sędziowie tak postępują.

Polakami wstrząsnęła informacja o zawieszeniu przez sędziego Igora Tuleyę procesu gangu „obcinaczy palców". Oczywiście w ramach walki z Sejmem i rządem.

To rzeczywiście bulwersujące zdarzanie. Ale także sędziowie Sądu Najwyższego w ważnej dla obywatela sprawie z zakresu orzecznictwa ubezpieczeń społecznych zwrócili się z pytaniami do instancji europejskich, choć wiedzą, że oznacza to rok lub nawet dłużej oczekiwania na odpowiedź. Los wnioskodawcy jest dla tych sędziów mało ważny. Tu można się pokusić o szerszą uwagę: otóż znaczna część sędziów – na szczęście nie wszyscy – jak już wcześniej wspomniałam, nie wykazywała zaangażowania w kwestiach usprawnienia postępowań, ich przyspieszenia, jaśniejszego orzekania, braku staranności, walki z wyobcowaniem petentów. Zaniedbania w tej sferze narastały latami, a środowiska sędziowskie milczały. Dziś, gdy ktoś próbuje to naprawić, mamy awantury.

Widoczne upolitycznienie części sędziów może wskazywać, że wymiar sprawiedliwości, zwłaszcza jego szczyty, był postrzegany jako ostatni szaniec pewnej konstrukcji, chroniący kluczowe interesy, gwarantujący bezpieczeństwo.

Być może tak było. Pewne wypowiedzi niektórych polityków rzeczywiście zdają się sugerować taką możliwość, że widzieli oni w takim, a nie innym kształcie wymiaru sprawiedliwości gwarancję bezpieczeństwa. Co ciekawe, to nam stawia się zarzuty sugerujące podporządkowanie politykom, bez względu na to, co robimy. Twierdzono np., że z całą pewnością uznamy za niekonstytucyjną ustawę o IPN, bo tak pasowałoby rządzącym. I nawet to, że władze państwa zdecydowały się na złagodzenie ustawy w Sejmie, nie wywołało żadnej refleksji. Trybunał nie jest na niczyje zawołanie. Trybunał jest w pełni niezależny. Trybunał broni i będzie bronił konstytucji. Ja również bronię i będę broniła konstytucji.

Popularna interpretacja głosi, że gdyby obecnej opozycji udało się wybrać sędziów „na zapas", a później utrzymać kontrolę nad Trybunałem, to wszystkie zasadnicze reformy dobrej zmiany zostałyby zatrzymane.

Być może ktoś na to liczył, ale czy tak by się stało, tego nie wiem. Wierzę w sędziów Trybunału, w niezależność ich orzekania i ufam, że tak by się nie stało, nawet jeśli byliby to sędziowie wybrani przez poprzedni Sejm.

Czy rozumie pani, jaką grę toczy była I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf?

Zupełnie nie rozumiem. Mam wrażenie, że pani Gersdorf zupełnie się zagubiła. Nie po raz pierwszy. Przyszła przecież „przypadkiem" na wręczenie nominacji sędziowskich, trzymała lampkę, ale jej nie trzymała, poszła na urlop, ale wróciła do pracy. Jest niekonsekwentna. Jako prawnik uważam, że ona wie, iż jest w stanie spoczynku. Gdyby była pewna, że jest czynnym sędzią i I prezes, to nie złożyłaby oświadczenia majątkowego i wykonywałaby wszystkie czynności związane z funkcją. Gdy kierowałam wiceprezesa TK Stanisława Biernata na urlop, byłam pewna, że działam w zgodzie z obowiązującym prawem. Gdy przyjmowałam funkcję prezesa, również byłam pewna, że nie naruszono żadnych przepisów. Jeśli sędzia ma w sobie tę pewność, to nie kluczy, nie robi zygzaków.

Ten slalom sugeruje, że pani była prezes Gersdorf ulega różnym presjom.

Moim zdaniem tu chodzi jednak o brak pewności. Zgodnie z obowiązującym obecnie prawem Małgorzata Gersdorf jest

44/0818/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

sędzią w stanie spoczynku i dlatego powinna się pożegnać z Sądem Najwyższym, przekazując funkcję prezesa sędziemu wskazanemu przez prezydenta. Tu warto podkreślić: gdyby była I prezes złożyła wniosek do prezydenta i prezydent odmówiłby jej prawa do dalszego orzekania, to dopiero wówczas miałyby sens jakiekolwiek protesty różnych gremiów. Samo złożenie wniosku do prezydenta nie oznaczało przecież zakończenia jej kadencji, nie oznaczało niczego. To był dopiero początek procedury. To swego rodzaju zagubienie dotyczy także ostatnich działań sędziego Józefa Iwulskiego, który złożył wniosek do TK w imieniu Sądu Najwyższego w sprawie, w której SN nie jest stroną. Co więcej, sędzia Iwulski zawnioskował jednocześnie o wyłączenie dwojga sędziów, w tym mnie, której nie ma w składzie rozpatrującym ten problem. To jest niebywała niekompetencja prawnicza.

Głównym argumentem stronników Małgorzaty Gersdorf jest artykuł konstytucji, który mówi, że kadencja I prezesa SN trwa sześć lat.

Nie będę oceniała konstytucyjności tej sprawy, bo zapewne tą kwestią zajmie się Trybunał. Mogę jednak przytoczyć przepisy konstytucji, które rzeczywiście mówią o powołaniu „na sześcioletnią kadencję". To znaczy, że nie może to być kadencja dłuższa niż sześć lat. I jest kolejny artykuł, który mówi, że kwestie związane z wiekiem emerytalnym sędziów reguluje ustawa. Ustawodawca ma do tego prawo.

Czy Polska powinna uznać ewentualne orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie ustawy o Sądzie Najwyższym?

Wniosek w tej sprawie wpłynął do Trybunału, więc nie mogę na ten temat się wypowiadać.

Mówiliśmy o możliwej presji środowiska na byłą prezes Gersdorf, ale to Trybunał znajduje się pod stałym ostrzałem, i to ostrą amunicją. W jednej z gazet ukazał się np. artykuł, który stwierdzał, że los emerytur esbeckich jest w pani rękach. Wiedząc, że chodzi o środowiska bardzo niebezpieczne, zdolne do wszystkiego, trudno tego nie odczytać jako wyraźnej groźby.

Utożsamianie mnie osobiście ze sprawą emerytur byłych funkcjonariuszy jest nadużyciem. W tej sprawie orzekać będzie pięcioro sędziów. To jest forma presji, być może próba zastraszenia, sugerowanie jakichś innych działań. Ale mogę wszystkich zapewnić, że ja się nie boję.

Nie da się pani zastraszyć?

Nie dam się zastraszyć. Jedną z cech niezawisłego sędziego musi być odwaga. Gdyby każdy sędzia był odważny, mielibyśmy sprawiedliwe wyroki. To nie jest łatwe, każdy z nas ma swoje słabości, z którymi musimy walczyć, ale jeśli zostajemy sędziami, to naszym podstawowym obowiązkiem jest podjęcie tego wysiłku. Musimy walczyć także ze swoim

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl

eprasa.pl 7c2c025ac3

strachem. Jeśli sędzia się boi, przestaje być niezawisły. Jeśli zaczęłabym się bać, musiałabym się zrzec stanowiska. Oznaczałoby to, że można na mnie wywrzeć wpływ. To byłby rodzaj korupcji, bo wywieranie nacisku, zastraszanie to także korumpowanie.

Czy zdarzają się groźby?

Tak, są groźby, i to nie tylko związane ze sprawą emerytur byłych funkcjonariuszy. Ta nagonka organizowana przez polityków, podejmowana przez media, to ciągłe opluwanie przynosi różne skutki. Są ludzie, którzy nie wytrzymują emocji i reagują agresywnie. Ale żeby obraz był pełny, dodam, że nie brakuje też wielu wyrazów sympatii i życzliwości, słów otuchy. Społeczeństwo jako całość nie dało się nakręcić tym, którzy to wszystko organizują.

W sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości często ginie pozytywne znaczenie tego projektu. A chodzi przecież o powstrzymanie morza krzywd, o sprawiedliwe, sprawne sądy. Poparcie dla zmian w tym obszarze wynika także z przykrych, często bolesnych doświadczeń bardzo wielu Polaków.

Wymiar sprawiedliwości musi pracować dla ludzi, dla zwykłych ludzi. Musi być więcej obiektywizmu, to dlatego wprowadzono losowanie spraw. Sądy muszą działać szybciej i uczciwiej. To przyjdzie. Dziś przechodzimy trudny okres, reforma nie została jeszcze w pełni wdrożona. Za wcześnie na podsumowania. Nie można też zapominać, że sędziowie niższych instancji mogą obecnie aplikować o miejsca w Sądzie Najwyższym, to już nie będzie zamknięta kasta, która działa jak korporacja. To swoiste „odkorkowanie" systemu zwiększa niezależność sędziów, sędziowie zamknięci w korporacji są sędziami o ograniczonym polu niezależności.

Również od Trybunału oczekiwano sprawniejszego działania, szybszego załatwiania spraw. Czy tak się dzieje?

Wydajemy dużo wyroków, choć są to najczęściej sprawy mało interesujące opinię publiczną. Poza bieżącymi sprawami konsekwentnie likwidujemy zaległości – zamknęliśmy już rok 2013, zamykamy 2014. Krok po kroku porządkujemy sytuację, a sami nie tworzymy dużych zaległości, pomimo że w zeszłym roku sędziowie wykorzystywali zaległe urlopy. Nie mogłam akceptować sytuacji, w której w TK nie przestrzega się przepisów obowiązujących w każdej instytucji i w każdej firmie. Napływ spraw zależy także od kontrowersyjności ustawodawstwa. Jeśli tych spraw jest mniej, oznacza to, że ustawodawstwo jest lepsze. Z tego

15/09/18/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

> Prezydent Andrzej Duda postępuje zgodnie z konstytucją i zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem

punktu widzenia życzyłabym sobie, by spraw spływało jak najmniej. Cały czas trwa też audyt w Trybunale, który przynosi czasem dość szokujące odkrycia.

Jakie?

Choćby odkrycie kilku pustych teczek, w których nie ma żadnych dokumentów, mimo że być powinny. Chodzi o teczki sprzed kilkunastu lat, bo archiwizujemy sprawy z tego okresu.

Czego dotyczą te sprawy?

Tego nie wiemy, są sygnatury, możemy się więc tylko domyślać. Złożymy wniosek do prokuratury o wyjaśnienie tej sprawy. Na razie toczy się wewnętrze postępowanie, które musi poprzedzać taki wniosek. Nie jest istotne, czy to sprawy ważne, czy mniej ważne; takie sytuacje po prostu nie mogą się zdarzyć. Tym bardziej że nie chodzi o jedną teczkę, ale o siedem.

Przed sędziami Trybunału Konstytucyjnego decyzje dotyczące spraw ważnych, głośnych, budzących ogromne społeczne emocje. Mamy na myśli wnioski dotyczące aborcji eugenicznej, immunitetu państwa niemieckiego w sprawie reparacji, wreszcie wspomnianych emerytur esbeckich.

Wszystkie te sprawy są procedowane. Pamiętajmy, że w każdej ze spraw orzeka albo pięciu, albo piętnastu sędziów. Każdy z nich ma swój pogląd, te poglądy ścierają się podczas narad. Jeśli na jakieś orzeczenie trzeba poczekać, oznacza to tylko i wyłącznie, że wśród sędziów pojawił się spór merytoryczny. Nawet jeśli sędziowie zgadzają się co do istoty, dyskutują na temat uzasadnienia. Każde orzeczenie jest wynikiem głębokiej dyskusji. My nie piszemy wyroków poza Trybunałem Konstytucyjnym, nie zlecamy pisania wyroków na zewnątrz, przygotowujemy je tu, na miejscu.

A wcześniej wyroki bywały zlecane komuś z ulicy?

Tak się zdarzało. Nie zawsze, ale były takie przypadki. To było nie do zaakceptowania. Asystenci mogą przygotować materiały, mogą pomagać, ale przygotowywanie przez kogoś z zewnątrz projektu orzeczenia jest już przekroczeniem granicy.

REKLAMA

wp niezależna NOWE PAŃSTWO GAZETA POLSKA RZECZY HISTORIA SIECI wPolityce.pl

eprasa.pl 7c2c025ac3

Fot. Andrzej Wiktor

Centrolew 2018

STANISŁAW JANECKI

Opozycja wchodzi w buty przedwojennego Centrolewu, powołanego pod koniec 1929 r. przez PPS, PSL „Wyzwolenie", PSL „Piast", Narodową Partię Robotniczą, Stronnictwo Chłopskie i Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji. Co paradoksalne, ten nowy Centrolew (na razie złożony z Platformy Obywatelskiej, Nowoczesnej i części enigmatycznego ugrupowania pod nazwą Inicjatywa Polska) wydaje się znacznie bardziej lewicowy, przynajmniej w sferze obyczajowej, a rządy Prawa i Sprawiedliwości traktuje tak, jak ten przedwojenny rządy sanacji po przewrocie majowym. I nawet podobnie tymi rządami straszy, wieszcząc pełzający zamach stanu, jednoosobową dyktaturę, a w perspektywie coś w rodzaju nowego procesu brzeskiego (przywódców Centrolewu sądzono od 26 października 1931 r. do 13 stycznia 1932 r., a aresztowań dokonano w nocy z 9 na 10 września 1930 r.) oraz sfałszowanie wyborów – jak tych w listopadzie 1930 r., choć już te z marca 1928 r. opozycja uważała za częściowo sfałszowane, co potem potwierdził Sąd Najwyższy.

W retoryce polityków PO i Nowoczesnej znajdują się niemal wszystkie argumenty przywódców Centrolewu, podnoszone wiosną 1930 r. Oczywiście sytuacja jest nieporównywalna, gdyż PiS doszło do władzy demokratycznie, nie zaś w drodze zamachu stanu, a po zwycięstwie przestrzega demokratycznych procedur. To nie przeszkadza jednak opozycji w przedstawianiu utraty

eprasa.pl 7c2c025ac3

Grzegorz Schetyna uznał, że tylko otwarcie na lewo i sprowadzenie walki z PiS do konfliktu lewicy z prawicą gwarantuje mu odzyskanie władzy

władzy tak jak zamachu stanu, a rządów PiS najpierw jako uzurpacji, a potem jako dyktatury.

ŚCIĄGAWKA DLA OPOZYCJI

Można się dziwić, że opozycja skupiona wokół Grzegorza Schetyny (w końcu historyka z wykształcenia) nie przyjęła jeszcze deklaracji, jaką 5 kwietnia 1930 r. ogłosił Centrolew. Że nie ma jeszcze dokumentu podobnego do rezolucji Kongresu Obrony Prawa i Wolności Ludu (przyjętej przez uczestników Centrolewu 29 czerwca 1930 r. w Krakowie). Są jednak różne listy otwarte i stanowiska, w których nie odwołując się do deklaracji oraz rezolucji z 1930 r., używa się podobnych argumentów, np. w listach niektórych byłych prezydentów, premierów i szefów MSZ III RP: z 25 kwietnia 2016 r. ogólnikowo adresowanego „urbi et orbi" oraz z 13 czerwca 2018 r. do Komisji Europejskiej, Jeana-Claude'a Junckera i Fransa Timmermansa. Podobnie jest z listami byłych ambasadorów RP, np. tym z 5 lutego 2018 r., adresowanym do prezydenta Andrzeja Dudy, albo z histerycznym oświadczeniem byłych ambasadorów z 7 maja 2018 r., wydanym przy okazji utworzenia Konferencji Ambasadorów RP.

W deklaracji założycielskiej Centrolewu z 5 kwietnia 1930 r. pisano: „Życie zbiorowe kraju kroczy ustawicznie po wąskiej krawędzi oddzielającej stan pozorów prawa od stanu brutalnego bezprawia. [...] Samowola i nadużycia administracyjne przeobraziły się w zasadę postępowania wobec stronnictw opozycyjnych, wobec wszelkich niezależnych sił społecznych. [...] Polityka gospodarcza [...], lekkomyślna, bezplanowa, obliczona – w okresie pomyślnej koniunktury – na jaskrawe, a nie istotne efekty, nie umiała niczego przewidzieć, nie umiała się przygotować zawczasu na okres klęski. [...] Czas niedomówień minął. Milczenie i bierność stają się tchórzostwem. Żądanie nasze jest jedno: usunięcie dyktatury i przywrócenie panowania prawa, w przeciwnym razie [...] będą się zaostrzały dalej walki polityczne. Będzie rosła nienawiść. Będą się piętrzyły trudności gospodarcze. Będą leżały odłogiem zagadnienia olbrzymie, społeczne, gospodarcze, ustrojowe, od których rozwiązania zależy jutro Rzeczypospolitej, jej postawa w świecie, utrzymanie jej niepodległości. System dyktatury prowadzi kraj do katastrofy. Czas to skończyć! [...] Próby sfałszowania decyzji kraju wywołać musiałyby zdecydowany opór i samoobronę narodu. Z drogi walki o prawo nic nas zepchnąć nie zdoła. W zwycięstwie prawa widzimy jedyną ostoję bytu, ładu i rozwoju Polski".

W rezolucji Kongresu Obrony Prawa i Wolności Ludu z 29 czerwca 1930 r. można było przeczytać: „Polska znajduje się od czterech przeszło lat pod władzą dyktatury [...]; wolę dyktatora wykonują zmieniające się rządy; woli dyktatora podlega również Prezydent Rzeczypospolitej; podważone zostało u podstaw zaufanie społeczeństwa do prawa we własnym państwie. [...] My, [...] przedstawiciele demokracji polskiej, stwierdzamy: [...] usunięcie dyktatury jest koniecznym warunkiem utrwalenia niepodległości i zapewnienia całości granic Rzeczypospolitej. [...] Oświadczamy: że walkę o usunięcie dyktatury [...] podjęliśmy wszyscy razem i razem ją poprowadzimy dalej, aż do zwycięstwa; [...] że wobec rządu zamachu społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków, a zobowiązania wobec zagranicy nielegalnego rządu nie będą uznane przez Rzeczpospolitą; że na każdą próbę terroru odpowiemy siłą fizyczną. Oświadczamy wreszcie, że skoro Prezydent Rzeczypospolitej, niepomny swej przysięgi, stanął otwarcie po stronie dyktatury rządzącej Polską wbrew woli kraju i zezwala rządowi [...] na nadużywanie uprawnień konstytucyjnych Głowy Państwa dla bieżących celów politycznych Rządu – przeto [...] winien ze stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej ustąpić".

Oba dokumenty opozycja skupiona wokół Grzegorza Schetyny mogłaby prawie w całości powtórzyć, tylko zastępując Józefa Piłsudskiego Jarosławem Kaczyńskim, Ignacego Mościckiego – Andrzejem Dudą, a Walerego Sławka – Mateuszem Morawieckim.

NA LEWO MARSZ!

Utworzenie Centrolewu 2018 jest uzasadniane obroną przed „dyktaturą" PiS, choć faktycznie jest tylko potwierdzeniem lewicowej ewolucji PO. Nie dałoby się tej ewolucji uzasadnić, przede wszystkim własnym wyborcom, bez straszenia „prawicowym" i „faszyzującym" PiS, perspektywą sfałszowanych wyborów i nowego procesu brzeskiego, więc rządy Zjednoczonej Prawicy (porównywane do sprawowania władzy przez założony w listopadzie 1927 r. przez Walerego Sławka Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) są tylko alibi dla Centrolewu 2018.

Podstawowy powód zwrotu PO jest taki, że ta partia pod rządami Grzegorza Schetyny nie znalazła miejsca do

eprasa.pl 7c2c025ac3

poszerzania wpływów w centrum i na prawej stronie polskiej polityki, więc wyraźnie idzie w lewo, pochłaniając kolejne lewicowe lub lewicujące byty – na razie Nowoczesną i Inicjatywę Polska.

Centrolew 2018 jest trzecim, najradykalniejszym etapem przesuwania się PO na lewo. Pierwszym krokiem była druga kadencja Donalda Tuska, który wykazywał wiele „lewicowej wrażliwości". Drugim etapem były już bardzo wyraźnie lewicujące (najczęściej w wersji feministycznej) roczne rządy Ewy Kopacz. Grzegorz Schetyna to przebił, wpuszczając lewicę do Koalicji Obywatelskiej, czyli faktycznie do PO. Jednocześnie już w styczniu 2018 r. Schetyna wyrzucił z Platformy uznawanych za konserwatywne skrzydło posłów Joannę Fabisiak, Marka Biernackiego i Jacka Tomczaka (formalnie są nadal w klubie PO) – za sprzeciw wobec tzw. obywatelskiego projektu liberalizacji przepisów aborcyjnych („Ratujmy Kobiety 2017"), skądinąd firmowanego i przedstawianego w Sejmie przez Barbarę Nowacką, nowy nabytek w Koalicji Obywatelskiej. Sam odszedł z PO, protestując przeciw wyrzuceniu Fabisiak, Biernackiego i Tomczaka, konserwatywny senator Jan Filip Libicki. Schetyna otworzył więc PO na lewicę, a konserwatywne skrzydło właściwie zlikwidował.

Powstanie Centrolewu 2018 dowodzi, że właściwie nic już nie zostało z idei stojącej za powołaniem w 2001 r. Platformy Obywatelskiej – jako partii centrum z akcentami liberalnymi. Partia Schetyny ewoluuje lewicowo znacznie głębiej i szybciej niż CDU Angeli Merkel. Niemiecka chadecja zachowuje chrześcijańsko-demokratyczną retorykę, choć przyjmuje różne lewicowe rozwiązania, np. w czerwcu 2017 r. w większości głosowała za przyznaniem jednopłciowym parom prawa zawierania małżeństw, a obecnie rząd Niemiec przygotowuje nowelizację ustawy, która umożliwi wpisywanie tzw. trzeciej płci w aktach stanu cywilnego. PO nie może przeprowadzić takich zmian jak w Niemczech, gdyż nie rządzi, ale w zapowiedziach deklaruje znacznie więcej, niż zrobiła CDU.

Najwidoczniej Grzegorz Schetyna uznał, że tylko otwarcie na lewo i sprowadzenie walki z PiS do konfliktu lewicy (niepostkomunistycznej) z prawicą gwarantuje mu utrzymanie pozycji lidera po stronie opozycji oraz zapewni możliwość zawierania koalicji mających więcej głosów niż Zjednoczona Prawica, przede wszystkim po wyborach parlamentarnych jesienią 2019 r. Centrolew 2018 jest więc konsekwencją strategicznego wyboru przewodniczącego Platformy. W tym kontekście członkostwo PO w Europejskiej Partii Ludowej (EPP) wydaje się nieadekwatne: bardziej ugrupowanie Schetyny pasowałoby do Partii Europejskich Socjalistów (PES) lub Porozumienia Liberałów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE).

Powstanie Centrolewu 2018 dowodzi, że właściwie nic już nie zostało z idei stojącej za powołaniem w 2001 r. Platformy Obywatelskiej – jako partii centrum z akcentami liberalnymi

CO DA UWODZENIE FEMINISTEK

Za ideą Centrolewu 2018 kryje się chęć stworzenia lewicowego bloku przeciw PiS, który jednocześnie odbierałby wyborców dotychczas istniejącym partiom i ruchom lewicowym, które do nowego Centrolewu nie przystąpiły – jak SLD czy Partia Razem. Na razie Centrolew 2018 najsilniejszych ugrupowań lewicowych nie wchłonął (ich liderzy twierdzą, że nie nastąpi to nigdy, choć deklaracje szefa SLD Włodzimierza Czarzastego nie brzmią tak stanowczo jak Adriana Zandberga), ale walcząc z nimi o wyborców, będzie dzielił lewicę i ją osłabiał. I przywódcy SLD oraz Partii Razem to widzą. Podobnie jak dostrzega to Robert Biedroń, gdyż Centrolew 2018 właściwie nie zostawia dla niego miejsca na polskiej scenie politycznej.

Schetyna w istocie nie chce takiego bloku, jakim był Centrolew utworzony w 1929 r. przez ugrupowania środka i lewicy, lecz chce zamieniać kolejne polityczne byty w satelitów, a potem je wchłaniać, przekształcając PO w Centrolew (przejściowo pod nazwą Koalicja Obywatelska). Nowy Centrolew jako koalicja równych partnerów byłby na dłuższą metę nietrwały, głównie z powodu ambicji liderów oraz stylu rządów samego Grzegorza Schetyny. Natomiast PO przekształcona w Centrolew będzie wciąż partią jej obecnego przewodniczącego, kierowaną wedle jego ulubionej zasady: dziel i rządź. Tylko do czasu Schetyna będzie wysyłał pozytywne sygnały do liderek nowych partnerów (satelitów) Katarzyny Lubnauer i Barbary Nowackiej. Gdy już wciągnie je tak mocno w orbitę PO, że nie będą miały odwrotu, zostaną zmarginalizowane i sprowadzone do właściwej roli. Po zbudowaniu silnego Centrolewu Schetyna liczy na wsparcie tych wszystkich sił i mediów, które od lat wyczekują na nową partię centrum. Centrolew 2018 nie zostawia bowiem miejsca dla takiej partii.

Centrolew 2018 jest pomyślany także jako wehikuł opozycji na wybory prezydenckie w 2020 r. Wtedy w kampanii kandydat lewicy (nowego Centrolewu) walczyłby z kandydatem prawicy (zjednoczonych PiS, Solidarnej Polski i Porozumienia). I tym kandydatem raczej nie byłby Donald Tusk (niezależnie od jego chęci wzięcia udziału w prezydenckim wyścigu w 2020 r.). Problemem jest tylko to, czy polskie społeczeństwo potrzebuje nowego Centrolewu i właśnie w nim ulokuje swoje nadzieje oraz poparcie. Schetyna może ulegać złudzeniu wywołanemu głównie przez doraźne akcje kobiet, stąd dokooptowanie przez niego kobiecych liderek – Katarzyny Lubnauer i Barbary Nowackiej. W III RP ruchy kobiece nigdy nie przerodziły się jednak w poważną, zinstytucjonalizowaną siłę polityczną, więc Centrolew, zbudowany w dużym stopniu na feministycznej odmianie lewicowości, może się okazać niewypałem.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Fot. Andrzej Skwarczyński

Biedroń, czyli czyhanie na klęskę PO

Dotąd nic nie potwierdza wizji Biedronia jako hipnotyzującego tłumy szczurołapa. Ale jeśli liberalna opozycja wyraźnie przegra wybory samorządowe, to on będzie beneficjentem tej sytuacji. I wtedy może mieć swój „gwiezdny czas”

PIOTR SKWIECIŃSKI

Nigdy nie rozumiałem zachwytów, jakie u niektórych wywoływał Robert Biedroń. Dokładniej: nie pojmowałem nadziei, jakie ten gejowski działacz lewicowy wzbudzał u sporej części „mających serce po lewej stronie”.

Nie, nie dlatego, że sam swoje sympatie sytuuję po innej stronie sceny politycznej. Lewicowość nie budzi mojej niechęci, a tożsamość seksualną uważam za sprawę osobistą; Biedroń co prawda jest nie tylko gejem, lecz i działaczem gejowskim, czyli jest jak dla mnie społecznie szkodliwy, ale zupełnie nie o to chodzi.

Nie rozumiałem zachwytów nad Biedroniem, bo – wbrew temu, co głosili jego wielbiciele i skłonne do basowania mu antyprawicowe media – nie widziałem w nim jakiejkolwiek nowej jakości. Zawsze wydawał mi się natomiast wewnętrznie pusty (co nie znaczy nieinteligentny). Wydrążony z jakichkolwiek pomysłów i poglądów poza własną orientacją seksualną. Tę przeżywa autentycznie, w to, co nazywa prawami mniejszości seksualnych, rzeczywiście wierzy, ale zarazem owa orientacja pozostaje – i nic nie wskazuje na to, żeby ten stan miał ulec zmianie – jego jedynym politycznym atutem, jedynym pomysłem na zaistnienie.

Trzeba dodać, że niektórzy znający go dawniej działacze lewicy postrzegają to inaczej. Ich zdaniem Biedroniowa pustka i obrotowość (poza sferą „praw mniejszości seksualnych”) to celowa zmyłka, kreacja. Według tej wersji prezydent Słupska ma bardzo określone – lewicowe – poglądy również w innych dziedzinach, tylko ukrywa je ze względów piarowskich, bo podpowiedziano mu, że najlepiej sprzedaje się obłość. Na poparcie swojej wersji przytaczają kilka przykładów głosowań sprzed paru lat, w których Biedroń – wtedy poseł ruchu Palikota – zachował się inaczej,

właśnie lewicowo, niż większość jego klubu, wraz z samym liderem. Podobno świadomie szedł wtedy zgodnie z własnym światopoglądem, nie bacząc na to, że doraźnie szkodziło mu to politycznie. Jeśli nawet tak, to obecna kreacja jest tak udana, że chyba trwale przyrosła kreatorowi (kreowanemu?) do twarzy.

Fascynacja co najmniej części lewicy Biedroniem brała się nie tylko z jego homoseksualizmu, którym tak miło drażnić „polskiego kołtuna", lecz również z tego, że (inaczej niż wielu lewicowych działaczy) nie pochodzi on z warszawskiej, wielopokoleniowej inteligencji, tylko z ludu. Z autentycznych społecznych dołów. Tyle że można pochodzić z ludu i jednocześnie być sztucznym, plastikowym. Biedroń nie urodził się zresztą dla polityki wczoraj, nie przyszedł do ruchu Palikota z jakiegoś squotu, już w latach 90. był działaczem bynajmniej nie niezależnych lewicowych inicjatyw, tylko najpierw SdRP, potem SLD, i z ich ramienia parokrotnie kandydował w różnych wyborach. Wewnętrzna pustka była cechą charakterystyczną tej formacji i jej produkt – Biedroń – nie odbiega od wzorca, który go przygarnął i ukształtował.

„COŚ PROGRESYWNEGO"

Bieg wydarzeń, jak dotąd, przyznaje mi rację. Wybory w Słupsku Biedroń wygrał na wrażeniu ogólnej „postępowości" i dzięki dyskretnemu apelowaniu do snobizmu i kompleksów części wyborców, wyobrażających sobie, że gdy będą mieli prezydenta geja, Słupsk w magiczny sposób zamieni się w Berlin.

Wygrał i... nie, żeby się jako prezydent jakoś strasznie skompromitował, ale też niczym nie zabłysnął, a oczekiwano po nim wiele. Słupsk miał być poligonem czegoś nowego, wielkiego. Nie stał się – prawdopodobnie nadzieje były naiwne, ale też na miarę oczekiwań wobec mniemanej wielkości prezydenta.

Który to prezydent w dodatku celebrycił, częściej w Słupsku go nie było, niż był. Ewidentnie czuć było, że sam siebie uważa za wielkość, której powrót do polityki ogólnopolskiej po prostu musi nią wstrząsnąć – bo przecież Polska czeka na Biedronia. Potencjalnych politycznych partnerów drażniło to coraz bardziej. Podszyta zakochaniem w samym sobie minoderia stawała się jego znakiem firmowym. W dodatku kreowany na nadzieję lewicy nawiązał współpracę z Leszkiem Balcerowiczem, co wśród społecznych radykałów, a nawet osób tylko społecznie wrażliwych, wzbudziło osłupienie.

Mimo to dziś ma kilku współpracowników z kręgów autentycznie lewicowych. Można sądzić, że trochę liczą, iż logika sytuacji politycznej zmusi Biedronia do wyjścia z prawdziwie lewicową społecznie agendą, a trochę sami chcą się łudzić co do cech swojego szefa. Członek jego sztabu, znany socjolog, dr Maciej Gdula, deklaruje: „O Kaczyńskim można mówić różne rzeczy, ale on naprawdę buduje Polskę, w jaką wierzy. Przeciwstawić mu się może tylko ktoś, kto wierzy w inne wartości, w inną Polskę".

> Biedroń wyraźnie modeluje się według wzorca polityka uwodzącego elektorat, lidera, w którym każdy widzi to, co chce zobaczyć

Kimś takim ma według Gduli być Biedroń, ale czy on ma taką wizję? Czy wierzy w cokolwiek? Epizod współpracy z Balcerowiczem, a także brak jasnych deklaracji dotyczących sfery społecznej każą w to wątpić. „To będzie coś progresywnego" – tyle ma nadzieja lewicy do powiedzenia na temat charakteru ruchu, który tworzy.

DONALDOWYM SZLAKIEM?

Jest ewidentne, że w tworzonej pod patronatem Platformy Koalicji Obywatelskiej Biedroń nie znalazł się wyłącznie z przyczyn ambicjonalnych. To w polityce nie jest zarzut; takie decyzje często podyktowane bywają tego rodzaju względami. Trochę w taki właśnie sposób, z tego rodzaju względów, powstawała niegdyś sama PO, kiedy Donald Tusk został ambicjonalnie upokorzony przez liderów Unii Wolności (była niegdyś taka partia...) i osobiście Bronisława Geremka. Konia z rzędem temu, kto potrafi zdefiniować inne niż niuansowe, programowe różnice między ówczesną, umierającą UW a powstającą dopiero Platformą.

Tylko że mimo to Tusk i jego koledzy z 2001 r. wyczuli ducha czasu, który polegał głównie na odczuciu, że skompromitowały się stare, solidarnościowe elity. I na dążeniu do szerszego niż do tej pory zaistnienia w polityce środowisk, które lata 90. spędziły na zabezpieczaniu sobie (często mrówczą pracą) społecznego statusu, a w tym momencie uznały, że czas pójść dalej. Czy możliwe, że jakaś podobna katapulta wyniesie dziś Biedronia?

Można byłoby szukać innych, tym razem bardziej optymistycznych dla niego paraleli z wczesną PO. Powstawała ona w sytuacji, w której na polskie życie polityczne nasuwał się, a w końcu nasunął, groźny cień Millerowskiego SLD, uznawanego wówczas za zagrożenie dla demokracji, za zdolnego rządzić kilka kadencji, a w tym czasie przebudować strukturę kraju, zepchnąć do rogu postsolidarnościową część elit III RP i zapewnić, przy zachowaniu formalnych procedur wyborczych, dominację postpezetpeerowców na dekady. Sekret sukcesu PO polegał m.in. na tym, że była efektywniejszym niż umierająca i rozmemłana UW środkiem politycznej walki z tym zagrożeniem, akceptowalnym dla centrowej części opinii publicznej.

Otóż dziś antypisowska część Polaków odbiera rządy PiS mniej więcej podobnie (choć znacznie bardziej), tak jak na początku lat 2000 bardzo wielu odbierało perspektywę (potem dokonaną) rządów SLD. Wtedy Platforma dobiła nieefektywną w tej mierze, dogorywającą Unię Wolności. Dziś o PO trudno powiedzieć, że dogorywa, ale zdaniem wielu opozycjonistów nie sprawdziła się ona jako antypisowski oddział szturmowy. W tej sytuacji pokusa, by zadać jej „coup de grâce"

eprasa.pl 7c2c025ac3

i zbudować na trupie Platformy coś nowego, jest zrozumiała.

Czy nierealistyczna? I tak, i nie. To pytanie o to, jaki jest obecnie rozmiar społecznego popytu na dwie cechy, które reprezentuje Biedroń. Lewicowość (wyżej dałem wyraz opinii, że wątpliwej próby, niemniej z Biedroniem kojarzoną) i obłość, opływowość. Przy czym zastanawiając się nad odpowiedzią, należy mieć na uwadze problem dodatkowy – w jakim stopniu wyborcy, możliwi do pozyskania dzięki obu tym czynnikom, nie są usatysfakcjonowani ofertą, jaką pod tym względem już teraz przedstawia im opozycja.

Jak dotąd wydaje się, że choć owa opozycja, z natury liberalna, społecznym radykałom nie oferuje w zasadzie nic, to zarazem mobilizacyjna moc haseł odwołujących się do społecznej sprawiedliwości i interesu tzw. klasy ludowej jest wciąż niewielka. Być może to się zmieni, ale na razie nie bardzo widać symptomy tej zmiany. Tym bardziej że owa klasa pozostaje bardziej (kulturowo i dzięki społecznemu dorobkowi obecnego rządu) związana z prawicą, natomiast polityczne decyzje młodego, ubogiego, wielkomiejskiego prekariatu nadal określane są bardziej przez jego preferencje i aspiracje kulturowe niż interes warstwowy. Jeśli tak, to Biedroń na byciu nieprzekonywującym w roli lewicowca traci niewiele.

Pozostaje kwestia obłości i obrotowości. Tu odpowiedź jest trudniejsza. Biedroń wyraźnie modeluje się według wzorca polityka uwodzącego elektorat, lidera, w którym każdy widzi to, co chce zobaczyć. Mamy ileś przykładów tego rodzaju kreacji, które przyniosły sukces. Dla mnie plastikowość Biedronia jest wprawdzie na to zbyt widoczna, zbyt oczywista, ale może dla sporej części Polaków wcale nie? Tym bardziej że niezależnie od tej jego cechy ewidentnie w ogóle nie boi on się kontaktów z ludźmi, szuka ich i potrafi wygrywać, a także przekonywać, że jest sympatyczny. To zawsze ważne dla polityka, a polityka tego rodzaju – zwłaszcza.

KAT KUKIZA?

Dotychczasowe sondaże nie potwierdzają wizji Biedronia – szczurołapa hipnotyzującego tłumy. Jeden daje jego (nieistniejącej jeszcze) partii wynik wyborczy na poziomie pięciu, a drugi – ośmiu procent. A trzeba wziąć pod uwagę, że pierwsze sondaże ugrupowań dopiero debiutujących lub zgoła hipotetycznych najczęściej przynoszą rezultaty lepsze niż późniejsze.

Obecnie więc można z pewną dozą pewności powiedzieć jedynie, że na opisanej powyżej fali kontestacji Platformy Biedroń, przy pewnej dozie szczęścia, może utrwalić (chwiejnie) swój byt, przy okazji szkodząc Koalicji Obywatelskiej. Tego efektu boją się liberalne media (z TVN, „Newsweekiem" i „Polityką" na czele), prowadząc przeciw Biedroniowi ogień zaporowy (bardziej skłonna do lewicowości i mająca mniej zdyscyplinowany zespół „Wyborcza" nie jest pod tym względem tak konsekwentna, momentami go wręcz lansuje, choć momentami załamuje ręce nad rozbijaniem przez prezydenta Słupska opozycji).

Niech się jednak PiS za bardzo nie cieszy. Bo drugi z przywołanych sondaży wykazuje, że choć Biedroń odbiera przede wszystkim Koalicji Obywatelskiej, to zarazem wykazuje też nieoczekiwaną dla wielu zdolność pozyskiwania wyborców... Kukiza. Fenomen ten będzie mniej zaskakujący, jeśli przypomnimy sobie, że spory odsetek wyborców Kukiza w poprzednich wyborach głosował na... Palikota. Istnieje elektorat protestu, który kieruje się motywami innymi niż pozostałe segmenty wyborców. I który, ku zdumieniu zatwardziałych zwolenników i III i IV RP, nie bardzo rozpoznaje rzeczywistość w kategoriach tego podziału.

Gdyby więc wyniki tego sondażu miały odzwierciedlać kierunek rozwoju sytuacji, to jesienią 2019 r. mogłoby się okazać, że Biedroń pogorszył wprawdzie wynik KO, ale oscylującego niewiele powyżej progu Kukiza... wyeliminował z parlamentu. A ruch Kukiza jest jedynym wyobrażalnym koalicjantem dla Prawa i Sprawiedliwości. W wypadku braku samodzielnej większości (co jest prawdopodobne) jego zagłada przełożyłaby się więc na utratę władzy przez zwycięski – w sensie najlepszego wśród wszystkich partii wyborczego wyniku – PiS.

...A PO ZAGŁADZIE SCHETYNY...

To jednak pieśń przyszłości, obarczonej dziś ogromną liczbą niewiadomych. Tę liczbę z pewnością zmniejszą wybory samorządowe. Co w interesującym nas kontekście oznacza najpewniej, że o ile Koalicja Obywatelska nie poniesie w nich jednoznacznej klęski (np. zachowa władzę w połowie sejmików i nie utraci Warszawy – pierwsze wydaje się mniej, a drugie bardziej prawdopodobne), możliwości rozwoju inicjatywy Biedronia będą dalej mocno ograniczone.

Inaczej będzie natomiast, jeśli liberalna opozycja poniesie jesienią druzgocącą porażkę. Wtedy po tej stronie sceny politycznej zaczną się ruchy destrukcyjne. A ci wszyscy – liczni – wyborcy antypisu, którzy Jarosława Kaczyńskiego nienawidzą, ale na Grzegorza Schetynę (oraz szerzej – platformerski establishment) patrzeć nie mogą i głosują na KO z obrzydzeniem i zaciśniętymi zębami, zyskają moralne i polityczne uzasadnienie dla dalej idących poszukiwań.

Przyjęty przez Biedronia model rozwijania swej politycznej aktywności (zaczyna teraz, ale wciąż nic formalnie nie tworzy, spotyka się z ludźmi, robi dobre wrażenie) z jednej strony sprzyjać może wypaleniu efektu nowości (skądinąd prezydent Słupska w ciągu ostatnich lat, zachowując się wobec perspektywy wejścia do wielkiej polityki w myśl powiedzenia „i chciałabym, i boję się", niemal wyczerpał ów efekt), wręcz irytacji części potencjalnych zwolenników. Ale z drugiej strony w wypadku samorządowej klęski liberałów taka taktyka, czyli podtrzymywania zainteresowania swoją osobą i przewlekanie odpalenia własnej inicjatywy na moment po wyborach, mogłaby być skuteczna. Odpowiedzieć na zapotrzebowanie, które wtedy się gwałtownie stworzy.

* * *

Powtórzmy – w wypadku poniesienia przez liberalną opozycję samorządowej klęski Robert Biedroń byłby jej oczywistym beneficjentem. Niezależnie od całej swojej, prawdziwej czy udawanej, plastikowości.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Paweł Rabiej, kandydat PO i Nowoczesnej na wiceprezydenta Warszawy, ukuł teorię, według której wsparcie gejów opłaca się państwu. Ta prowokacyjna teza nijak ma się do faktów

Fot. Andrzej Wiktor

DOROTA ŁOSIEWICZ

Opłacalny jak gej?

„Pracujemy zwykle ponad przeciętną, więc płacimy spore podatki. Dbamy o zdrowie, odżywianie, kondycję, nie mamy nałogów, więc nie obciążamy bardzo obciążonych systemów społecznych i ochrony zdrowia. Wydajemy dużo na kulturę i na swoje potrzeby, nakręcamy gospodarkę" – stwierdził Rabiej na łamach „Wysokich Obcasów", rozwijając swoją tezę, że gej dla państwa to czysty zysk. Jego zdaniem postulat legalizacji małżeństw homoseksualnych jest postulatem konserwatywnym.

WYDAJNY JAK GEJ

Na konserwatyzm w takim wydaniu wesołością reaguje Weronika Kostrzewa. Szefowa publicystyki Radia Plus tak komentuje teorię Pawła Rabieja: – Konstytucja RP stanowi jasno, czym jest małżeństwo. Jak zmieniać tak doskonały dokument, skoro ma armię obrońców, jest popularny niczym najlepszy rockowy zespół, a koszulki wyrażające uwielbienie dla niej [konstytucji] noszą ludzie i pomniki. A tak całkiem serio – styl życia, jaki Paweł Rabiej opisuje w tym wywiadzie, jest egzotyczny dla wielu rodziców kilkorga dzieci, którzy nie mogą sobie pozwolić ani na takie wojaże, ani brak stabilnej pracy. Pieniądze na bilety do teatru często w rodzinach przeznaczane są na potrzeby bardziej przyziemne. Mam wrażenie, że walka o równe traktowanie przechodzi w walkę o specjalne traktowanie, a do tego w zachętę do łamania konstytucji. Pomniki w koszulkach się na cokołach obracają.

Idąc tropem specjalnego traktowania gejów, zapytałam Pawła Rabieja, gdzie ma swoje źródło jego przekonanie o większej wydajności osób homoseksualnych w pracy. Okazało się, że ma ono charakter subiektywny. Kandydat opozycji na wiceprezydenta Warszawy wyprowadził je z poczucia wykluczenia. – To wynika z tego, że jak jest się wykluczonym albo ma się poczucie, że jest się odmiennym od większości, wtedy człowiek często sobie to na różne sposoby rekompensuje. Chce pokazać, że jest zdolny, pracowity. W przypadku osób homoseksualnych ta kompensacja następuje poprzez pracę. Geje starają się pokazać, że są w pełni wartościowi – tłumaczył mi Rabiej w studiu wPolsce.pl.

Chciałam się też dowiedzieć, na jakiej podstawie polityk Nowoczesnej twierdzi, że geje są dla państwa bardziej opłacalni. – Ja nie twierdzę, że geje są bardziej opłacalni dla państwa niż osoby heteroseksualne. Raczej chodzi mi o to, by docenić nas jako obywateli, bo wielu z nas czuje się niedocenionych, głównie przez brak uregulowań dotyczących związków partnerskich – nieco złagodził swoją wypowiedź Rabiej.

SZLACHETNE ZDROWIE

Podobnie jak trudno udowodnić tezę o wyższej wydajności homoseksualistów w pracy, równie trudno obronić argument, że osoby te są zdrowsze od heteroseksualnych. Tym bardziej że Światowa Organizacja Zdrowia od lat bije na alarm, iż wśród homoseksualistów rośnie liczba zakażeń wirusem HIV. WHO wzywała nawet mężczyzn, którzy uprawiają seks z innymi mężczyznami, do prewencyjnego przyjmowania leków antyretrowirusowych. Według danych

eprasa.pl 7c2c025ac3

WHO homoseksualni mężczyźni są 19-krotnie bardziej narażeni na zakażenie niż ogólna populacja. W stolicy Tajlandii Bangkoku na AIDS choruje np. 5,7 proc. homoseksualistów w porównaniu z 1 proc. ogólnej populacji.

„The Guardian" obalił także stereotyp geja, który świetnie się bawi. Wedle badań, na które powołuje się gazeta, homoseksualni mężczyźni, w wyniku dyskryminacji, są bardziej narażeni na zaburzenia psychiczne niż reszta populacji, częściej popadają w uzależnienia i podejmują próby samobójcze. Z raportu CDC, amerykańskiej instytucji rządowej zajmującej się ochroną zdrowia, opublikowanego w 2014 r. wynika, że choć geje są szczuplejsi niż osoby heteroseksualne, to jednak częściej sięgają po takie używki jak alkohol i papierosy. Z badania CDC wynika, że są to osoby bardziej narażone, jeśli chodzi o ryzyko uzależnienia od alkoholu i nikotyny. Prawdą jest jednak, że geje i lesbijki są bardziej wysportowani od osób heteroseksualnych. Mniej niż 25 proc. gejów to osoby otyłe.

DROGIE DZIECI

Zapytana przeze mnie w „Kwadransie Politycznym" o wypowiedź Pawła Rabieja wicepremier rządu Beata Szydło nie kryła wesołości. Nie miała wątpliwości, że rząd powinien przede wszystkim wspierać rodziny. – Rodzina stała się znakiem firmowym naszego rządu i ja się bardzo cieszę. [...] Rodzina to nasza przyszłość. Nie ma innej.

Jeszcze do niedawna, przed wprowadzeniem programu Rodzina 500+, Polska znikała w oczach, wyludniała się rekordowo szybko. Do niedawna polskie perspektywy demograficzne według Eurostatu na najbliższe cztery dekady były jednymi z najgorszych w Unii Europejskiej. Od ponad ćwierćwiecza utrzymywał się w Polsce okres depresji urodzeniowej – a niska liczba urodzeń nie gwarantuje prostej zastępowalności pokoleń. W 2015 r. współczynnik dzietności wyniósł 1,29, co oznacza, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat) przypadało 129 urodzonych dzieci (w miastach – 124, na wsi – 135).

Znany polski ekonomista i były wiceminister finansów Cezary Mech jeszcze dwa lata temu na łamach „Tygodnika Solidarność" bił na alarm: „Największym, niemalże egzystencjalnym problemem narodu jest to, że do prostej zastępowalności pokoleń brakuje nam aż czterech milionów dzieci, co oznacza, że będziemy obciążeni ogromnym garbem finansowym związanym z zaspokojeniem potrzeb socjalnych ludzi starszych, ponieważ będzie znacznie więcej niż dzisiaj osób w wieku emerytalnym. Relacja osób w wieku produkcyjnym do emerytów w najbliższych kilkudziesięciu latach pogorszy się aż trzyipółkrotnie". Cezary Mech wielokrotnie podkreślał, że dzieci to jest koszt dla rodzin, ale dla państwa – inwestycja: „Bo bez przyszłych obywateli nie będzie w Polsce ani wzrostu gospodarczego, ani dochodów podatkowych. Dlatego państwo powinno tę sprzeczność interesów zneutralizować. Musi wspierać rodziny z dziećmi".

> Trudno udowodnić tezę o wyższej wydajności homoseksualistów w pracy, równie trudno obronić argument, że osoby te są zdrowsze od heteroseksualnych

To wsparcie przyniosło skutek. Czy trwały, to się dopiero okaże. Z danych GUS wynika, że w 2017 r. urodziło się 403 tys. dzieci, czyli w porównaniu z 2016 r. (382 tys.) o 21 tys. więcej. I więcej, niż zakładali autorzy programu 500+.

Ciekawe jednak, że gdy Paweł Rabiej podnosi rzekomą niechęć społeczną do gejów, Maciej Sikorski, ojciec szóstki dzieci, reżyser spektakli teatralnych i widowisk dla dzieci, w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" podkreślał niechęć środowisk liberalnych do rodzin wielodzietnych. Po serii publikacji krytycznych wobec 500+ mówił: „To jest język przypominający pogardę, z jaką hitlerowskie gadzinówki opisywały Żydów. Teraz niektórzy piszą podobnie. To jest nieprawdopodobna nienawiść. To jest jakiś rodzaj odhumanizowania, który zaczyna przerażać. Nie umiem tego pojąć, tego ogromu pogardy, nieukrywanej już niechęci, a czasem wręcz nienawiści do nas – do wielodzietnych".

HOMORODZICE

Choć osoby homoseksualne nie mogą dać państwu dzieci, to jednak (w niektórych krajach) mogą stworzyć im rodzinę. I tu znów zaczynają się schody. Przywołajmy kontrowersyjny (według środowisk LGBT) raport prof. Marka Regnerusa z 2014 r. Socjolog, profesor uniwersytetu w Austin, zbadał dorosłe dzieci wychowywane przez pary homoseksualne. Okazało się, że osoby deklarujące posiadanie homoseksualnych rodziców różnią się od grupy kontrolnej m.in. pod względem myśli samobójczych, problemów z prawem, częstotliwości sięgania po narkotyki, kłopotami w trwałości związków emocjonalnych, liczbą zdrad w związkach, częstotliwości korzystania z pomocy psychologicznej. „Ponadto 31 proc. dzieci wychowywanych przez matki lesbijki i 25 proc. wychowywanych przez ojca geja podało, że byli przez rodziców zmuszani do seksu wbrew swej woli. Jeśli chodzi o orientację seksualną badanych, 61 proc. respondentów wychowywanych przez matki lesbijki, a 71 proc. przez ojców gejów określa siebie jako »całkowicie heteroseksualnych«. Innymi słowy, w przypadku matek lesbijek niemal 40 proc., a w przypadku ojców gejów prawie 30 proc. wychowywanych przez nich dzieci to homo-, biseksualiści lub osoby o nieokreślonej orientacji seksualnej" – informuje portal psychologia.net.pl.

Raport Marka Regnerusa został poddany zmasowanej krytyce przez organizacje gejowskie. W związku z tym władze uczelni powołały specjalną uniwersytecką komisję do zbadania poprawności metodologicznej zrealizowanych badań. Komisja odrzuciła wszystkie zarzuty, nie dopatrując się uchybienia metodologicznym standardom.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Nasza polityka nie jest prorosyjska

Muszę ostro zaprotestować przeciwko przedstawianiu Węgier jako państwa, które ma specyficzne, specjalne relacje z Rosją. Nie. Mamy relacje oparte na pragmatyzmie, dialogu

Z Péterem Szijjártó, ministrem spraw zagranicznych Węgier, rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

Rozmawiamy w czasie Forum Ekonomicznego w Krynicy. Tradycyjnie to wydarzenie koncentruje się wokół relacji z Ukrainą i innymi państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Czy jest szansa na większe zaangażowanie Węgier w to cykliczne wydarzenie? Nie widać tu niestety węgierskiego biznesu.

Péter Szijjártó: Nasza delegacja na tegorocznym forum jest naprawdę silna i zróżnicowana. Obecni są ministrowie finansów oraz minister ds. rodziny. Są także aż cztery różne delegacje parlamentarne reprezentujące różne komisje. Jeśli zaś chodzi o polsko-węgierską współpracę gospodarczą, to moim zdaniem potrzebujemy co najmniej jednego dużego projektu flagowego. Dziś nasze relacje są powszechnie kojarzone ze szczerą przyjaźnią, z bezwarunkowym wzajemnym wsparciem, a także z silnym sojuszem politycznym w sprawie niemal wszystkich kwestii dotyczących przyszłości Europy. Wiemy, że możemy na siebie liczyć nawet w czasie najostrzejszych debat.

Co mogłoby być takim flagowym projektem w sferze gospodarczej?

Szybka kolej łącząca Budapeszt i Warszawę, przez Bratysławę, Brno, Ostrawę i Katowice. Mówimy o pociągach jadących z prędkością 250 km/h w typie TGV. Zależy nam na tym projekcie, chcemy go pchnąć do przodu. Węgierscy biznesmeni są nim mocno zainteresowani. Ale pól do współpracy jest więcej: Lotos i Orlen, które się łączą, współpracują z naszym MOL-em, LOT buduje swój drugi hub w Budapeszcie. Jest więc lepiej, ale powtarzam: potrzebujemy czegoś wielkiego.

Koniunktura w relacjach polsko-węgierskich jest dziś doskonała. Pytanie, czy ten czas zostanie wykorzystany na budowę wspólnych instytucji. Powstaje Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej, pojawił się też pomysł powołania wspólnego banku rozwoju.

Chodzi o bank, który mają powołać wszystkie państwa Grupy Wyszehradzkiej. Znający się doskonale na gospodarce premier Czech Andrej Babiš zaproponował jednak, by taki bank opierał się na konkretnych projektach. Pracujemy nad tym. Musimy pamiętać, że kraje V4 podejmują decyzje w różnym tempie, także dlatego, że w niektórych państwach rządzą pojedyncze partie, a w innych skomplikowane koalicje. To wszystko wydłuża prace.

Kraje Grupy Wyszehradzkiej łączy sprzeciw wobec masowej imigracji i solidarność w obliczu presji Zachodu w tej kwestii. W tej sprawie historia przyznała państwom V4 pełną rację.

Masowa imigracja jest stałym zagrożeniem. Ale rzeczywiście niektóre kraje w zachodniej Europie zaczynają uświadamiać sobie to, o czym my mówimy od lat. W polityce nie można jednak oczekiwać, że ktoś otwarcie powie: tak, Węgrzy i Polacy mieli rację, a my się myliliśmy. Nie będzie przeprosin za te wszystkie słowa opisujące nas jako „nieludzkie dyktatury", takie cuda się nie zdarzają.

Na jakiej podstawie sądzi pan, że masowa imigracja wciąż jest zagrożeniem?

Działania Unii Europejskiej w sprawie imigracji są pełne hipokryzji i politycznej poprawności, tym samym bardzo niebezpieczne. Moim zdaniem ludzie, którzy myślą nad opuszczeniem swoich domów lub którzy muszą to uczynić, żyją w przekonaniu, że mogą się dostać do Europy. Polityczne ataki na przywódcę Ligii Północnej Matteo Salviniego, ataki na mój kraj, wreszcie to, że sprawa przymusowej relokacji imigrantów wciąż ma poparcie, to wszystko niesie z sobą przesłanie: możecie przybywać i tak czy siak już tu zostaniecie. Przywódcy Europy wciąż nie zdobyli się na jasne powiedzenie, że można się tu osiedlić jedynie w sposób legalny, a nielegalni imigranci nie mają na to żadnych szans. Dopóki to nie nastąpi, ryzyko wciąż jest duże. Pamiętajmy, że w Afryce Północnej, subsaharyjskiej, a także na Bliskim Wschodzie żyje 35 mln ludzi, którzy są w tak trudnej sytuacji – albo jako

eprasa.pl 7c2c025ac3

uchodźcy, albo jako ludzie żyjący w biedzie czy nędzy – że w każdej chwili mogą ruszyć na północ. Im później powiemy jasno, że granice Europy są chronione, tym dla nas gorzej.

Polska i Węgry wspierają się na forum europejskim. Warto jednak zauważyć, że to na Polskę spadła prawdziwa nawałnica, mimo że Węgry też przeprowadziły bardzo głębokie reformy...

O, myślę, że możemy na tym polu śmiało z wami konkurować [śmiech].

Jednak nasze kłopoty są bardziej zaawansowane proceduralnie, mam na myśli np. procedurę związaną z art. 7, uruchomionym w kontekście reformy wymiaru sprawiedliwości. Widać, że w odniesieniu do Polski jest więcej determinacji. Dlaczego, pana zdaniem, tak się dzieje?

Sądzę, że oba kraje są mocno atakowane. Dzieje się tak z dwóch powodów. Pierwszy to podwójne standardy, które unijne instytucje, zwłaszcza Komisja Europejska, stale stosują. Zobaczyliśmy to zaraz po ponownym objęciu władzy w 2010 r., gdy reformowaliśmy nasz rynek medialny. Mogliśmy udowodnić czarno na białym, punkt po punkcie, że każde z naszych rozwiązań można znaleźć w prawie innych państw unijnych. To samo dotyczy polskiej reformy wymiaru sprawiedliwości, stosujecie zapisy obecne w prawie innych członków Unii. Są także kraje, w których pozycja Trybunału Sprawiedliwości jest znacznie słabsza niż w naszych krajach. Są wreszcie kraje, w których czynniki polityczne mają znacznie więcej do powiedzenia przy powoływaniu sędziów, niż zakłada to polska reforma.

Unijni liderzy odpowiedzieliby na to uwagą, że u nich kultura polityczna jest znaczne wyższa niż w krajach naszego regionu.

Takie poglądy musimy zdecydowanie odrzucać. Tego typu procedury jak art. 7 mogą być uruchamiane i prowadzone jedynie na podstawie obiektywnych kryteriów, a nie subiektywnych ocen. Kto jest uprawniony do tego, by oceniać, czy nasza kultura polityczna jest wyższa, czy niższa niż na zachodzie Europy? To są podwójne standardy. A drugą przyczyną szczególnie silnego ataku na nasze kraje jest to, że zajmujemy jasne i twarde stanowisko w debacie dotyczącej przyszłości Europy. Chodzi o pytanie, czy Unia Europejska ma pójść drogą postnarodową i postchrześcijańską, czy też nie. My, Europejczycy z centrum kontynentu, chcemy Unii odwołującej się do chrześcijaństwa, opartej na silnych państwach członkowskich. To całkowicie sprzeczne z tym, czego chce Bruksela, z tym, czego chcą europejscy biurokraci.

Fot. Shutterstock

W kontekście art. 7 stale powraca pytanie, czy Polska na pewno może liczyć na Węgry w razie głosowania w Radzie Europejskiej?

Na 100 proc. tak. To jest kwestia zasad, pryncypiów. Jednoznacznie mówię, że możecie na nas liczyć. Węgry nigdy nie zagłosują za jakimikolwiek sankcjami przeciwko Polsce. Sięgniemy po weto w stosunku do jakichkolwiek prób karania Polski. To jest poza wszelką dyskusją. Mówił o tym

eprasa.pl 7c2c025ac3

jasno, i to wielokrotnie, premier Viktor Orbán.

Mówimy o doskonałych relacjach polsko-węgierskich. Kilka tygodni temu minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" skrytykował jednak niektóre tony waszej polityki, wskazując, że prowadzą one do „pewnego rewizjonizmu". Zaznaczył, że odwołuje się do naukowego znaczenia tego słowa. Jak pan się odniesie do tej wypowiedzi?

Na początku września spotkałem się z ministrem Czaputowiczem w Dubrowniku. Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ chciałem wyjaśnić tę kwestię. Pomiędzy tak bliskimi sojusznikami nie powinno być żadnych niedopowiedzeń, musi być jasne, co druga strona ma na myśli. Nie chciałem, by ta kwestia stała się obciążeniem dla naszych relacji; uważam, że lepiej od razu omówić sprawę, bo w przeciwnym razie mogą się pojawić negatywne efekty uboczne. Spytałem ministra Czaputowicza wprost, co miał na myśli. Uzyskałem odpowiedź, którą zaakceptowałem. Tu muszę podkreślić, że węgierska polityka zagraniczna oparta jest na prostej zasadzie, którą da się opisać w dwóch słowach: wzajemny szacunek. Stosujemy tę zasadę zarówno w stosunku do naszych sąsiadów, jak i krajów położonych daleko. Okazujemy szacunek i oczekujemy okazywania nam szacunku. A tego typu naukowe obserwacje nie mają żadnej podstawy.

Minister Czaputowicz stwierdził także, że „występuje pewna zbieżność polityki węgierskiej z polityką rosyjską", i dodał, że „dla nas to jest pomysł niebezpieczny". W tle jest oczywiście Ukraina.

Jesteśmy krajem, który ze względu na swoją historię jest bardzo wrażliwy na wszelkie kwestie dotyczące integralności terytorialnej i suwerenności. I każdy może być pewien, że Węgry są państwem, które te sprawy traktuje poważnie. Węgry są także państwem, w którego szczególnym interesie leży istnienie silnej Ukrainy. Na Ukrainie żyje 150 tys. Węgrów, a tym samym mamy 150 tys. argumentów na rzecz silnego państwa ukraińskiego. Bo żyjący tam Węgrzy bardzo by na tym skorzystali. I nie są to puste słowa. Zaoferowaliśmy Ukrainie 50 mln dolarów kredytu, gościliśmy u siebie podczas wakacji setki ukraińskich dzieci, których rodzice byli zaangażowali w walki na froncie. Nie bez przyczyny byliśmy najgłośniejszymi orędownikami wprowadzenia ruchu bezwizowego dla Ukraińców. Popieraliśmy też umowę o strefie wolnego handlu Ukrainy z UE, którą przez miesiące blokowała Holandia. Jednocześnie jednak muszę uczciwie powiedzieć, że jesteśmy bardzo zawiedzeni krokami podejmowanymi przez Kijów przeciwko Węgrom mieszkającym na Ukrainie. Debata tocząca się w tej sprawie i fakt, że Ukraina łamie umowy międzynarodowe i dwustronne, w żaden sposób nie wpływają jednak na nasze podejście do kwestii ukraińskiej suwerenności. I odwrotnie: pod żadnym pozorem nie zrezygnujemy z troski o naszą mniejszość.

Ukraina podkreśla, że przyjmowane przez nią prawa dotyczące mniejszości są związane z obawami dotyczącymi mieszkających tam Rosjan i nie są wymierzone w Węgrów ani Polaków. Ukraina twierdzi, że nie może uchwalić prawa, które dotyczyłoby np. wyłącznie języka rosyjskiego.

Sugerowaliśmy Kijowowi pewne rozwiązania. Dlaczego nie wprowadzić wyjątku dla mniejszości związanych z państwami należącymi do UE? Albo należącymi do NATO? Rozumiemy, że władze ukraińskie chcą rozwiązać swoje problemy, ale dlaczego robią to, pozbawiając mniejszość węgierską pełnego dostępu do węgierskiej edukacji?

Premier Viktor Orbán podczas sierpniowego przemówienia w Rumunii stwierdził, że „cel Rosji, aby przywrócić poprzednie status quo, nie wydaje się nierealny". Wielu komentatorów oceniło, że trudno to uznać za wyraz wsparcia dla państwa ukraińskiego.

Powtarzam: w sprawie integralności i suwerenności Ukraińcy mogą na nas liczyć. Ale jeśli Ukraina chce się zbliżyć do Unii Europejskiej i NATO, to musi stosować się do fundamentalnych praw i zasad, w tym praw dotyczących mniejszości. Odbieranie mniejszościom istniejących już uprawnień jest nie do zaakceptowania. I to nie jest tylko nasza opinia. Stosowny list w tej sprawie podpisali ministrowie z Rumunii i Bułgarii.

Czyli możemy być pewni na 100 proc., że Węgry nie szukają sposobności do zmiany granic w Europie?

Powiem jeszcze raz: zrównywanie węgierskiej polityki zagranicznej z rewizjonizmem jest głupie. Czy wyraziłem się jasno?

Tak. Przywołamy jeszcze jedno zdanie z głośnego przemówienia premiera Orbána. Podzielił on państwa europejskie na te zagrożone przez Rosję i te, które mogą się czuć bezpiecznie. Zaproponował specjalne gwarancje dla tych państw, które obawiają się Moskwy. To z naszej perspektywy dziwna propozycja, ponieważ wydaje się, że cała Europa powinna solidarnie dbać o swoje bezpieczeństwo; kreowanie podziałów wzdłuż osi bezpieczni-zagrożeni to droga w innym kierunku.

To jest kwestia geografii. Jednoznacznie szanujemy wasze stanowisko w sprawie rosyjskiego zagrożenia. Szanujemy stanowisko państw bałtyckich. Mówimy: jeżeli czujecie się zagrożeni, to powinniście dostać takie gwarancje, które was uspokoją. To jest obowiązek i UE, i NATO. Ponownie: wzajemny szacunek. Nigdy nie oceniamy, nie komentujemy, nie mówimy, że wasze obawy są bezpodstawne.

Dlaczego jednak Węgry nie czują się zagrożone ze strony Rosji? Doświadczenie historyczne jest jasne: gdy Rosja podbija jakiś kraj, natychmiast rozgląda się za następnym celem. Jedynym sposobem powstrzymania agresji ze wschodu jest działanie w duchu solidarności.

Dlaczego uważacie, że nie jesteśmy wobec was solidarni?

eprasa.pl 7c2c025ac3

Dzielenie Europy na kraje bezpieczne i te zagrożone to tworzenie sfer o różnym poziomie bezpieczeństwa.

Obecnie nie postrzegamy Rosji jako zagrożenia dla Węgier. Po prostu tego tak nie widzimy. Żyjecie w innym miejscu, widzicie to inaczej, my to szanujemy. Oba nasze państwa są członkami NATO – najsilniejszego sojuszu obronnego na świecie. Sytuacja jest zupełnie inna niż przed akcesją do Sojuszu.

Czy możemy zatem poprosić o wyjaśnienie węgierskiej polityki wobec Rosji? Jakie są jej założenia, jakie cele? Dlaczego tak bardzo różni się od naszej?

Nasza polityka wobec Rosji oparta jest na zasadzie, którą już dwukrotnie przywołałem w czasie naszej rozmowy: na wzajemnym szacunku. Chcemy opierać nasze relacje na zasadach pragmatycznych. Wynika to zarówno z powodów historycznych, z kształtu infrastruktury i z decyzji Unii Europejskiej dotyczących infrastruktury. To z Rosji importujemy 85 proc. naszego gazu. Rosja była naszym drugim partnerem handlowym. Z powodu sankcji straciliśmy szanse dochodowe na łączną kwotę 7 mld dolarów. A mimo to nigdy nie blokowaliśmy sankcji, zawsze staliśmy w szeregu. Nigdy nie złamiemy jedności europejskiej w tej sprawie. Dziwi nas jednak, że nikt nie stawia takich pytań jak nam choćby francuskiemu prezydentowi, który jest gwiazdą forum ekonomicznego w Petersburgu? Albo szefowi MFW? Dlaczego nikt nie krytykuje największych zachodnich firm, które robią biznesy z firmami rosyjskimi, zwiększając europejskie uzależnienie od rosyjskiej energii? To wszystko jest bardzo nieuczciwe. Muszę ostro zaprotestować przeciwko przedstawianiu Węgier jako państwa, które ma specyficzne, specjalne relacje z Rosją. Nie. Mamy relacje oparte na pragmatyzmie, dialogu.

Jeśli jednak państwa naszego regionu przestaną alarmować w sprawie imperialnych zamiarów Rosji, Zachód poczuje się w pełni usprawiedliwiony i swobodny, a cenę zapłacimy my.

Czyli jest naszą winą, że prezydent Francji jest gwiazdą forum w Petersburgu? Albo że największe firmy zachodnie budują gazociąg omijający Ukrainę? To absurd. Nie są prawdziwe te wszystkie twierdzenia, że nasza polityka zagraniczna jest prorosyjska. Jeśli ktoś prowadzi swoją politykę zgodnie z interesami, oczekiwaniami innego państwa, to już na starcie przegrywa. To jest polityka przegranych. Nigdy tego nie robię. Nasza polityka zagraniczna nie jest prorosyjska, nie pozwolimy, żeby nam ktoś coś dyktował, my prowadzimy prowęgierską politykę zagraniczną. Zawsze oceniam relacje dwustronne z tego punktu widzenia. Czyje interesy realizuję? Węgierskie.

Węgierskim wyborcom to się podoba. Wiosną Fidesz odniósł trzecie z rzędu wyborcze zwycięstwo, równie przekonujące jak poprzednie. Gdzie pana zdaniem leży klucz do waszego sukcesu?

Jesteśmy prostolinijni, nie ulegamy politycznej poprawności, nie jesteśmy hipokrytami, zajmujemy się realnymi problemami ludzi, zawsze na pierwszym miejscu stawiamy interesy węgierskie, zawsze dbamy o bezpieczeństwo państwa i narodu, od początku mówimy jasno, że decyzje dotyczące przyszłości Węgier mogą być podejmowane jedynie przez Węgrów. Z pewnością pomogły nam także bardzo dobre wyniki gospodarcze, co oczywiście nie zależy tylko od rządu. Gdy obejmowaliśmy stery w państwie, bezrobocie przekraczało 12 proc., dziś wynosi ok. 3 proc. Mieliśmy wówczas 1,8 mln podatników, dziś mamy 4,5 mln. W ciągu ostatnich pięciu lat wzrost płac był bardzo znaczący. W skrócie: bezpieczeństwo – po pierwsze, Węgry, i zrobimy wszystko, żeby każdy Węgier mógł od czasu do czasu zrobić krok do przodu. Wygraliśmy wybory trzy razy z rzędu dzięki zaufaniu wyborców, bo to wyborcy powinni wskazywać rząd, a nie wielkie media, ośrodki opinii publicznej, liberalne elity. To dotyczy Stanów Zjednoczonych, Węgier, Polski i każdego innego kraju.

Na przykładzie Węgier widać, że unijna presja okazała się całkowicie nieskuteczna. Przez dekady nagany i pochwały płynące z Brukseli były wręcz decydującym czynnikiem w polityce naszego regionu.

Na Węgrzech jesteśmy przekonani, że Węgry mogą być silne tylko w silnej Unii Europejskiej. Jesteśmy za Unią, ale także uważamy, że wspólnota musi dokonać niezbędnych reform, i to fundamentalnych. To warunek utrzymania konkurencyjności naszego kontynentu. Wiążę duże nadzieje z wyborami do Parlamentu Europejskiego; to będzie zupełnie inne rozdanie, które przyniesie zupełnie inną Komisję Europejską. Spójrzmy zresztą na „sukcesy" obecnej Komisji: po raz pierwszy państwo członkowskie opuściło Unię, relację transatlantyckie stały się kruche, zagrożenie terroryzmem jest najwyższe w dziejach UE. To jest ich dorobek. Dlaczego ludzie mają im ufać? Jeżeli chcemy odnieść sukces, musimy się zmieniać. Podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego musimy wysłać do Strasburga takich polityków, którzy chcą zatrzymać migrację, za najważniejsze uważają bezpieczeństwo i konkurencyjność Europy.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Atak na Węgry

Głosowanie w Strasburgu pokazuje, że po przyszłorocznych majowych wyborach do europarlamentu może powstać w Unii zupełnie nowa konfiguracja polityczna

GRZEGORZ GÓRNY

Być może środa 12 września 2018 r. okaże się datą przełomową w historii projektu zwanego Unią Europejską. Tego dnia europarlament większością 2/3 głosów poparł projekt dyrektywy ograniczającej wolność w internecie, a także zgodził się na uruchomienie wobec Węgier procedury związanej z art. 7 traktatu UE o naruszaniu praworządności. Zwłaszcza to drugie wydarzenie może się okazać brzemienne w skutkach i doprowadzić w Unii do nowych linii podziału, których przebieg rozbije dotychczasowe sojusze i struktury.

CHADECY PRZECIW FIDESZOWI

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że główny powód postawienia Węgier pod europręgierzem to polityka imigracyjna prowadzona przez obecny rząd w Budapeszcie, choć zarzuca mu się również ograniczanie wolności mediów, sądów i uczelni, korupcję oraz łamanie praw mniejszości. Viktor Orbán jeszcze przed głosowaniem w Strasburgu powiedział: „Węgry będą skazane, ponieważ nasi obywatele zdecydowali, że nasz kraj nie będzie krajem migrantów. Z całym szacunkiem, ale także z całą stanowczością muszę odrzucić ten szantaż, że musimy wspierać migrację i migrantów wbrew opinii naszego narodu. Niezależnie od tego, jaka będzie państwa decyzja, Węgry nie poddadzą się szantażowi".

Nie ma drugiego polityka w Europie, który miałby tak silny mandat do rządzenia od swych współobywateli jak właśnie Orbán. W trzech kolejnych wyborach z rzędu jego ugrupowanie zdobyło większość konstytucyjną, co nie udało się nikomu na naszym kontynencie. Nie ma wątpliwości, że wypowiada się on w imieniu zdecydowanej większości swych rodaków, którzy kategorycznie odrzucają unijne plany przymusowej relokacji imigrantów. To właśnie spowodowało, że w europarlamencie wystąpiły przeciw niemu zgodnie frakcje komunistów, socjalistów, zielonych i liberałów. Ich stanowisko było jednak do przewidzenia. Niespodzianką okazała się natomiast postawa tzw. chadeków z Europejskiej Partii Ludowej, do której należy również Fidesz.

Do tej pory przynależność do EPL (najliczniejszej grupy w europarlamencie) dawała Viktorowi Orbánowi swoisty parasol ochronny. Dzięki tej afiliacji jego rząd mógł liczyć jeśli nie na poparcie, to przynajmniej na neutralność towarzyszy z tej samej centroprawicowej międzynarodówki. Tym razem okazało się to niewystarczające. Przeciwko Węgrom zagłosowała większość europosłów z EPL, w tym wszyscy politycy PO (za wyjątkiem Bogdana Zdrojewskiego, który się wstrzymał). Po ich stronie opowiedziało się natomiast zaledwie 57 spośród 265 deputowanych z tej chadeckiej frakcji (w tym zaledwie jeden członek CDU, co wiele mówi o postawie Angeli Merkel wobec Orbána). Za Madziarami były niemal w całości jedynie mniejsze rodziny polityczne, jak konserwatyści czy eurosceptycy.

Węgrów – w odróżnieniu od PO – wsparli europosłowie PiS, w których imieniu przemawiał Ryszard Legutko. Skierował on do zebranych m.in. następujące słowa: „Ktoś ten rząd wybrał i tego nie zrobili wcale królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków. Jeśli państwu się to nie podoba, to proszę zrezygnować z takiego wydarzenia jak wybory. Proszę mianować kogoś z wewnątrz, żeby był namiestnikiem. Myślę, że pan Timmermans chętnie by się tego podjął. A gdy już to

Rys. Andrzej Krauze

eprasa.pl 7c2c025ac3

uczynicie, zróbcie to samo z Polską, to rozwiąże wszystkie problemy. [...] Dobra strona całej sprawy jest taka, że cały ten spektakl jest całkowicie kontrproduktywny. W moim kraju po każdym takim przedstawieniu, takim najeździe na Polskę wsparcie dla rządu w sposób gwałtowny za każdym razem rosło".

WĘGRZY ZA ORBÁNEM

Prof. Legutko miał rację: wśród Węgrów z powodu krzywdzącego dla nich głosowania w europarlamencie zapanowało wzburzenie. Odebrano to jednoznacznie: oświecone elity w Strasburgu pokazały ciemnemu ludowi, że jego głos nie ma znaczenia, a decyzje o przyszłości Węgrów nie będą podejmowane przez nich samych, lecz gdzieś daleko, nawet wbrew ich woli i interesom.

O złej woli przeciwników mówią politycy Fideszu. Raport holenderskiej europosłanki z Partii Zielonych Judith Sargentini, który posłużył jako podstawa do oskarżenia rządu w Budapeszcie, jest ich zdaniem zakłamany. Okazuje się, że spośród 69 ustaleń zawartych w raporcie 13 zostało już załatwionych przez węgierski rząd w sposób zadowalający instytucje europejskie, w kolejnych 19 toczą się rozmowy z Brukselą, a 37 pozostałych zarzutów jest nieprawdziwych.

Poza tym podczas głosowania pogwałcono unijne prawo. Choć 48 europosłów wstrzymało się od głosu, to jednak nie zostały one wliczone do końcowego wyniku. To spowodowało, że uzyskano 2/3 potrzebne do potępienia Węgier.

CZEKAJĄC NA NOWE ROZDANIE

Głosowanie w Strasburgu wzmocniło pozycję Orbána na Węgrzech, ale ujawniło jego malejące znaczenie w EPL. Widać coraz bardziej rozchodzące się drogi Fideszu i głównego nurtu europejskiej chadecji. Wątpliwa staje się przyszłość tej partii w dotychczasowych strukturach międzynarodowych. Jeszcze przed debatą w Strasburgu była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Viviane Reding z EPL zażądała wyrzucenia ugrupowania Viktora Orbána z tej chadeckiej międzynarodówki. Za zawieszeniem członkostwa Fideszu w EPL opowiedział się też obecny kanclerz Austrii Sebastian Kurz.

Budapeszt nie zamierza pozostać bierny. Komentując wyniki głosowania, minister spraw zagranicznych Węgier Peter Szíjjártó powiedział, iż jest ono dowodem na to, że w europarlamencie, w tym w szeregach EPL, zdecydowaną większość stanowią zwolennicy masowej imigracji. Wyraził zarazem nadzieję, że po majowych eurowyborach powstanie zupełnie nowa konfiguracja polityczna, w której większą rolę odgrywać będą przeciwnicy obecnej polityki imigracyjnej UE. Szef MSZ chciałby, żeby EPL powróciła do swych chrześcijańskich korzeni, ale nie jest to dziś pewne. „Walczymy tak długo, jak to możliwe" – powiedział Szíjjártó.

O nowym scenariuszu, jaki może się ziścić po maju, mówił niedawno podczas spotkania z Orbánem szef włoskiej koalicji rządowej Matteo Salvini: „Dziś rozpoczyna się podróż, która potrwa przez następnych kilka miesięcy, w kierunku innej Europy, zmiany Komisji Europejskiej, polityków europejskich, którzy umieszczą w centrum prawo do pracy, życia i zdrowia, prawo do bezpieczeństwa – wszystko to, czemu elity europejskie, finansowane przez Sorosa i reprezentowane przez Macrona, zaprzeczają. Jesteśmy blisko historycznego punktu zwrotnego na poziomie kontynentalnym".

Pytany wówczas, czy po stronie prawicy szykuje się jakiś nowy alians kontynentalny, Orbán odrzekł lakonicznie: „Jakie sojusze zostaną stworzone, można będzie powiedzieć po majowych wyborach do europarlamentu". Dociskany, czy Fidesz opuściłby EPL, odpowiedział: „Naszym zadaniem jest teraz zgromadzić jak największą liczbę węgierskich i włoskich sympatyków, aby dokonać zmian w Europie".

Siedzący obok Salvini dopowiedział: „Nie zamierzam dopytywać go, co zamierza zrobić ze swoją przyszłością. Każdy pracuje na swoim polu, by zbudować sojusz, który odsunie socjalistów, odsunie lewicę i przywróci do centrum tożsamość, którą reprezentują nasze ruchy polityczne i nasze rządy, z których każdy ma oczywiście swoją historię. Możemy łączyć różne energie dla wspólnego celu".

> Europarlament zgodził się na uruchomienie wobec Węgier procedury związanej z art. 7 traktatu UE o naruszaniu reguł praworządności. Viktor Orbán: „Węgry nie poddadzą się szantażowi"

Premier Węgier dodał: „Sytuacja europejska jest w rzeczywistości bardzo prosta. Istnieją zasadniczo dwie strony. Jedną reprezentuje Macron, który chce wysadzić w powietrze Europejską Partię Ludową, tak jak wysadził francuski system partyjny. Kieruje on europejskimi siłami wspierającymi imigrację. Po drugiej stronie jesteśmy my, którzy chcemy powstrzymać nielegalną – podkreślam: nielegalną – imigrację. W tej kwestii trwa również wielka debata wewnątrz EPL".

Dziś przewagę w międzynarodówce chadeckiej zyskują zwolennicy „wilkommen politik". Orbán jest więc coraz bardziej osamotniony w swej unijnej rodzinie politycznej. Z drugiej strony jednak w Europie rośnie sprzeciw wobec ideologii multikulturalizmu i niekontrolowanej imigracji, co pokazały wybory w Austrii, Niemczech, we Włoszech czy w Szwecji. Na to liczy wspomniany już Salvini, który mówi, że marzy mu się „nowa europejska siła, która mogłaby powstać ze zjednoczenia sił z EPL oraz sił narodowych, ludowych. [...] Liga i jej europejscy partnerzy pracują nad tym, by po majowych wyborach w Europie powstał nowy układ sił. [...] Chcemy wreszcie usunąć źle zarządzającą Europą lewicę, usuwając tym samym rozdwojenie socjalistyczno-chadeckie". Po majowych wyborach może więc być ciekawie.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Imigranci w Polsce. Prawda czy fałsz?

W Polsce mieszkają i pracują setki tysięcy obywateli Ukrainy. Ale ostatnio zaczęli się u nas pojawiać coraz liczniejsi przybysze ze znacznie bardziej odległych zakątków świata. Czy powinniśmy mieć powody do niepokoju?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7c2c025ac3

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Od pewnego czasu coraz częściej słyszy się w Polsce o wzroście liczby imigrantów. Rzeczywiście trudno zaprzeczyć, że na ulicach największych miast – zwłaszcza Warszawy – wyraźnie wzrosła liczba osób o ciemniejszej karnacji. Regularnie pojawiają się też doniesienia na temat planu ściągania do Polski pracowników z Azji. Na przykład „Dziennik Gazeta Prawna" poinformował ostatnio, że na polską wizę z prawem do podjęcia pracy czeka w Indiach już ok. 25 tys. chętnych. Wszystkie te informacje wzbudzają obawy, że Polskę czeka wkrótce zalew imigrantów, a wraz z nim problemy podobne do tych, z jakimi zmagają się dzisiaj kraje Europy Zachodniej. W ocenie niektórych środowisk – zwłaszcza zabiegających o twardy prawicowy elektorat narodowców – ma to być dowód na „zdradę" PiS, którego politycy najpierw solennie zapewniali, że nie zgodzą się na żadną imigrację, a teraz po cichu wpuszczają do Polski przyjezdnych z całego świata. Czy rzeczywiście grozi nam dziś niekontrolowany napływ imigrantów? Przyjrzyjmy się faktom.

POLSKA CORAZ BARDZIEJ ATRAKCYJNA

Dane dotyczące legalnej imigracji są informacją publiczną i łatwo do nich dotrzeć. Według informacji Urzędu ds. Cudzoziemców o pozwolenia na pobyt w Polsce ubiegało się w 2017 r. 202 tys. obcokrajowców. Rzeczywiście mamy do czynienia z dość sporym wzrostem w stosunku do poprzednich dwóch lat – o 33 proc. w porównaniu z rokiem 2016 i aż o 71 proc. wobec roku 2015.

Zanim jednak wyciągniemy z tego zbyt pochopne wnioski, warto spojrzeć do danych dotyczących krajów pochodzenia wnioskodawców. Okazuje się bowiem, że ten gwałtowny wzrost imigracji zawdzięczamy przede wszystkim przybyszom z sąsiedniej Ukrainy, którzy złożyli w 2017 r. aż 125 tys. wniosków o pobyt (o 30 proc. więcej niż w 2016 r.). W dalszej kolejności mamy obywateli różnych krajów UE (10 tys.), Białorusi (9,5 tys., co daje wzrost aż o 98 proc. w stosunku do 2016 r.), Indii (8 tys.), Wietnamu (6,4 tys.) i Chin (6 tys.). W przypadku obywateli innych państw liczba wniosków zwykle nie przekraczała tysiąca.

Jednak liczba złożonych wniosków o pobyt nie równa się liczbie imigrantów. Ostatecznie bowiem zgodę na pobyt otrzymało w 2017 r. ok. 119 tys. osób (z tego niemal 93 tys. to Ukraińcy). Pozostałe sprawy skończyły się odmową lub umorzeniem albo ich rozstrzygnięcie zostało przesunięte na rok 2018. Do września tego roku wydano 89 tys. pozytywnych decyzji, z czego 60 tys. dotyczyło obywateli Ukrainy. Kolejne miejsca zajmują Białorusini (5,3 tys.), Hindusi (3 tys.), Wietnamczycy (2,3 tys.) oraz Chińczycy (2,2 tys.).

> Gwałtowny wzrost imigracji zawdzięczamy przede wszystkim przybyszom z sąsiedniej Ukrainy. Wśród krajów pozaeuropejskich wyróżnia się Nepal, skąd napływa coraz więcej pracowników

Warto też dodać, że zdecydowana większość wniosków (88 proc. w 2017 r.) dotyczy zezwoleń na pobyt czasowy (do trzech lat) i ma związek z podjęciem pracy zarobkowej.

KRĄŻĄCY UKRAIŃCY

Co zatem wynika z przytoczonych danych? Przede wszystkim to, że w żadnym wypadku nie można mówić o zalewie imigrantów z całego świata, którzy nadal stanowią nikły procent spośród ubiegających się o pobyt w Polsce. Przytłaczająca większość imigrantów zarobkowych to Ukraińcy – ich liczba rzeczywiście ciągle rośnie. Szacunki NBP oparte m.in. na przepływach finansowych między Polską a Ukrainą mówią o prawie 900 tys. Ukraińców przebywających na stałe w Polsce w 2017 r. Według ekspertów ich liczba do 2020 r. będzie jeszcze wzrastać o ok. 200–300 tys. rocznie, co częściowo potwierdzają dane migracyjne.

Większość Ukraińców nie zamierza jednak na stałe wiązać się z Polską. Niektórzy liczą na możliwość dalszej imigracji na zachód Europy, pozostali zaś po prostu krążą między Polską a Ukrainą. Ukraińcy nie tworzą zamkniętych grup, są raczej rozproszeni po całym kraju i nie powodują w związku z tym żadnych poważnych problemów społecznych. Nieliczni z nich, którzy decydują się pozostać w Polsce na stałe (blisko 8 tys. w 2017 r. wobec 5,2 tys. do września 2018 r.), łatwo się asymilują i integrują.

Struktura ukraińskiej imigracji zarobkowej jest dość zróżnicowana. O ile w dużych miastach przeważają ludzie młodzi i wykształceni, którzy nierzadko obok pracy podejmują studia, o tyle poza miastami znacznie częściej spotyka się robotników pracujących fizycznie w rolnictwie. Z badań przeprowadzonych przez Departament Statystyki NBP wynika, że w dwóch mazowieckich powiatach: grójeckim i płońskim aż 48,2 proc. gospodarstw rolnych korzysta lub korzystało z pracowników ukraińskich.

Przyczyny tak dużego zainteresowania Polską wśród Ukraińców należy się doszukiwać w bliskości geograficznej, kulturowej i językowej, ale oczywiście czynnikiem decydującym są zarobki. Według danych statystycznych za II kwartał 2018 r. średnia miesięczna pensja na Ukrainie wynosi w przeliczeniu 1 058 zł, a w Polsce – 4 813 zł. Ukraińcy są więc gotowi pracować za znacznie mniejsze pieniądze niż Polacy, dzięki czemu polska gospodarka nie zwiększa znacząco kosztów produkcji i pozostaje na rynku europejskim konkurencyjna cenowo.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Wnioski o pobyt czasowy w Polsce obywateli z pięciu wybranych państw

	2015	2017
Ogółem	71 171	121 064
Białoruś	3 536	6 993
Indie	2 042	5 043
Nepal	395	807
Ukraina	52 397	92 918
Wietnam	3 660	–

Wydane pozwolenia na pracę w Polsce

	2015	2016	2017	2018 I półrocze
Ogółem	65 786	127 394	235 626	147 981
Armenia	140	156	181	118
Azerbejdżan	116	193	1 336	1 430
Bangladesz	319	721	2412	2 980
Białoruś	2 037	4 870	10 518	8 255
Filipiny	179	249	733	866
Gruzja	88	142	398	927
Indie	1 425	1 772	3 938	3 700
Mołdawia	1 488	2 844	3 792	2 635
Nepal	596	1211	7 075	9 234
Pakistan	184	187	427	420
Ukraina	50 465	106 223	192 547	110 075
Wietnam	732	439	658	517

Źródło: Migracje.gov.pl

MAGAZYNIERZY POSZUKIWANI

Oparcie gospodarki na niskich kosztach pracy ma jednak również wiele złych konsekwencji. Taka strategia utrwala pozycję Polski jako kraju peryferyjnego, wiecznego poddostawcy lub podwykonawcy zasobniejszych kapitałowo gospodarek zachodnich. Konsekwencją dumpingu cenowego – i w efekcie płacowego – jest także, wraz ze wzrastającymi aspiracjami społeczeństwa, ucieczka polskich pracowników z mniej płatnych lub mniej „prestiżowych" branż i konieczność szukania na ich miejsce chętnych za granicą. Potwierdzają to dane Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej wskazujące, że wśród wydanych w ciągu ostatniego półtora roku pozwoleń na pracę dominują takie kategorie jak „pracownicy wykonujący proste prace", „robotnicy przemysłowi i rzemieślnicy" oraz „operatorzy i monterzy maszyn i urządzeń". Wśród branż najchętniej zatrudniających importowanych pracowników znalazły się budownictwo, przetwórstwo przemysłowe oraz transport i gospodarka magazynowa.

To w tym deficycie tanich rąk do najprostszej pracy należy m.in. szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego nagle zaczęli się pojawiać na ulicach polskich miast imigranci ze znacznie bardziej odległych zakątków świata. Skoro Polakom nie opłaca się pracować za oferowane im niskie stawki, a Ukraińcy – pomimo swojej liczebności – nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb szybko rozwijającego się rynku, to tworzy się kolejna luka, którą zaczynają wypełniać inni.

Inni to znaczy Hindusi, Nepalczycy, Bengalczycy. Lukę na rynku natychmiast zwietrzyły bowiem agencje pośrednictwa pracy, które od pewnego czasu prowadzą aktywną kampanię w Azji, oferując chętnym pozwolenie na pracę w Polsce i pośrednictwo w jej znalezieniu na miejscu. To dlatego – jak napisał „DGP" – ambasada RP w Delhi zapchana jest wnioskami wizowymi.

Rosnące zainteresowanie pracą w Polsce potwierdzają również dane MPiPS. Po 2015 r. można zaobserwować duży wzrost wydawanych pozwoleń na pracę. Tu również przytłaczającą większość cudzoziemskich pracowników stanowią Ukraińcy (w 2017 r. niemal 200 tys. pozwoleń wobec zaledwie 50 tys. w roku 2015). Rośnie także liczba pracowników z Białorusi, choć nie na tak ogromną skalę jak w przypadku Ukraińców (10 518 w 2017 r. wobec 2 037 w roku 2015). Spośród krajów pozaeuropejskich charakterystyczny jest gwałtowny wzrost liczby pracowników z odległego Nepalu (skok z 596 w 2015 r. do blisko 10 tys. w I półroczu 2018 r.), którzy pozostawiają w tyle przyjezdnych z Indii, Bangladeszu czy Filipin.

UBER EATS I CO JESZCZE?

O ile znalezienie pracy w Polsce przez Ukraińców czy Białorusinów nie powinno stanowić dla nich wielkiego problemu, o tyle przybysze z dalekiej Azji muszą się zderzyć z różnicami kulturowymi i językowymi. Owszem, wielu włada na podstawowym poziomie angielskim, ale trudno im samodzielnie znaleźć zatrudnienie. Na tym właśnie zarabiają liczne agencje pośrednictwa ściągające wielokolorowy tłumek do Polski. Większość tych agencji to niewielkie przedsięwzięcia, wśród nich można nawet znaleźć firmy należące do Ukraińców, którzy dotąd specjalizowali się w ściąganiu do Polski swoich rodaków, ale teraz najwyraźniej zwietrzyli nowy interes w Himalajach.

Firmy te wysyłają swoje oferty przez internet, kusząc chętnych, że załatwią im „wymarzone papiery", a ich agenci oddzwonią do zainteresowanych w ciągu 60 sekund. Na pytanie, jaką pracę mogą załatwić pracownikowi z Nepalu, odpowiedzieć jest już znacznie trudniej. Wśród dostępnych ofert można znaleźć pracę w szwalni, w magazynie, w firmie produkującej przyprawy (jako pakowacz). Miesięczne zarobki nieco powyżej najniższej krajowej: od 2,5 tys. do 3,5 tys. zł brutto.

Zainteresowane pracownikami z Azji są zarówno niewielkie polskie przedsiębiorstwa, jak i duże zagraniczne koncerny. W ich ofertach dwa elementy są wspólne: niska płaca oraz niewymagająca większych kwalifikacji praca. Tak jak

51/0718/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

w przypadku kurierów Uber Eats rozwożących klientom jedzenie z restauracji.

Bywają również oferty dla informatyków (te skierowane przede wszystkim do Hindusów uważanych za specjalistów w tej dziedzinie), ale i tu oferowane stawki są zwykle niższe od rynkowych.

CHUCHAĆ NA ZIMNE

Wbrew rozpowszechnianym plotkom Polski nie zalewa dziś fala imigrantów z całego świata. Mimo tendencji wzrostowej są to ciągle relatywnie małe grupy, co oczywiście nie oznacza, że w przyszłości nie może ich być więcej. Nie można także mówić o „zdradzie PiS", ponieważ nie mamy do czynienia z narzuconą odgórnie relokacją imigrantów z innych krajów Unii Europejskiej (tu stanowisko obozu rządowego jest niezmienne), lecz z kontrolowaną imigracją zarobkową.

Jak wynika z danych, Polska unika przyjmowania imigrantów z państw muzułmańskich, którzy – jak pokazuje doświadczenie Europy Zachodniej – mogą sprawiać najpoważniejsze kłopoty. Dlatego najchętniej przyjmowani są Ukraińcy, Białorusini oraz przyjezdni z Europy Wschodniej i Zakaukazia. Spośród państw pozaeuropejskich wyraźnie widać zainteresowanie Indiami oraz katolickimi Filipinami. Tej konsekwencji zabrakło jedynie w przypadku muzułmańskiego Bangladeszu i Pakistanu, choć skala imigracji z tych krajów jest ciągle niewielka.

Mimo to problem imigracji potencjalnie istnieje. Zbijanie kosztów pracy i postrzeganie taniej siły roboczej jako najpoważniejszego atutu polskiej gospodarki będzie bowiem nieuchronnie nakręcało imigrację zarobkową spoza Europy. A wraz z nią mogą się pojawić w przyszłości konflikty na tle kulturowym. Rządząca prawica powinna to doskonale rozumieć, zwłaszcza na tle problemów, z jakimi zmagają się dziś państwa Europy Zachodniej. Nie warto narażać obecnego poczucia bezpieczeństwa dla doraźnych zysków gospodarczych. Rozwiązanie problemu leży bowiem zupełnie w innym miejscu.

Drenaż polskiego rynku pracy wywołany masową emigracją do Wielkiej Brytanii po 2004 r. pokazał, że praca w Polsce przestaje być dla Polaków atrakcyjna. Dlatego trzeba zacząć stopniowo ograniczać udział najtańszego segmentu w całej gospodarce (nawet godząc się na odpływ części kapitału, który i tak jest tutaj warunkowo, do czasu, aż nie zwietrzy gdzie indziej większych zysków).

To jasne, że pozostaną zawody i branże, w których zatrudnianie imigrantów nadal będzie koniecznością. W epoce globalizacji nie da się tego uniknąć. Chodzi jednak o to, aby skala tego procesu była monitorowana, możliwie jak najmniejsza i ograniczona głównie do pracowników z regionów bliskich nam kulturowo. Tak jak – ciągle jeszcze – jest dzisiaj. Uczmy się na cudzych błędach, póki nie jest za późno. Bo najtańsze miejsca pracy kiedyś i tak uciekną, a importowani pracownicy pozostaną z nami być może na zawsze.

REKLAMA

Andrzej Fedorowicz, „Słynne ucieczki Polaków", wydawnictwo Fronda, Warszawa 2018

Polacy, można powiedzieć, od zawsze mieli w sobie gen wolności. Ujawniał się on szczególnie wyraźnie w momentach trudnych i przełomowych. Mimo nieraz beznadziejnych sytuacji nasi rodacy nie tracili energii ani woli oporu. Szczególnym tego wyrazem były ucieczki z miejsc uwięzienia, gdzie wysyłali ich zaborcy i okupanci. Andrzej Fedorowicz postanowił zebrać i opisać najbardziej spektakularne przypadki. W jego świeżo wydanej pracy znalazły się ucieczki z carskiej katorgi, z obozów sowieckich i niemieckich. Każdy z opisanych przypadków od Maurycego Beniowskiego przez Ferdynanda Ossendowskiego aż do Kazimierza Piechowskiego i jego grupy pokazywał wyraźnie, że dla Polaków nie ma rzeczy niemożliwych i trudności nie do pokonania. Autor dość szczegółowo, choć co warte podkreślenia, syntetycznie opisał każdy z przypadków. Każdy tekst opatrzony został interesującą ikonografią o różnorodnym charakterze (od map po zdjęcia bohaterów). Do najciekawszych z opisanych historii należą w moim przekonaniu: ucieczka Rufina Piotrowskiego z Syberii z 1846, opis kolejnych ewakuacji polskiego złota w czasie II wojny światowej i rozdział „Jak fałszywe komando ośmieszyło komendanta Auschwitz". Pierwsza z wyróżnionych historii miała spektakularny charakter nie tylko ze względu na trudności, jakie musiał pokonać Piotrowski, który przemierzył niemal całe terytorium Rosji, lecz to, iż wydał wspomnienia, w których zaczytywała się cała Europa (był to swoisty podręcznik dla uciekinierów z zesłania). Ewakuacja polskiego złota rozpoczęta już na początku kampanii wrześniowej miała niezwykły charakter. Wynikało to jednak nie tyle z planu polskich władz wojskowych, bo tego nie było, ile z kreatywności oficerów, którzy z własnej inicjatywy ją zorganizowali. Ostatni z opisanych przez Fedorowicza przypadków, na jaki chciałbym zwrócić uwagę czytelników, to ucieczka grupy kierowanej przez Piechowskiego. Moim zdaniem to najciekawsza i najbardziej inspirująca historia, gdyż uciekinierzy z Auschwitz wyjechali z obozu w mundurach niemieckich samochodem komendanta.

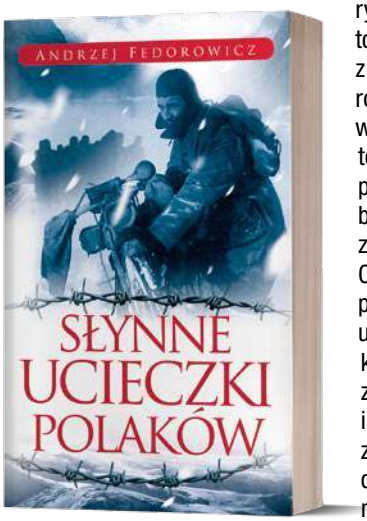

Rafał Łatka

eprasa.pl 7c2c025ac3

Gdy już zdecydowałam się na wystąpienie na konwencji PiS, mówiłam Patrykowi, że będą ataki, padną nikczemne słowa. Inni politycy pokazywali swoje dzieci, nikt im nie zarzucał lansu. Bo ich dzieci są zdrowe. Ludzie, którzy nie mają w sobie wrażliwości, empatii, zawsze będą zadawać ciosy poniżej pasa, bo nic bardziej nie uderzy człowieka niż atak na jego rodzinę

Fot. Jacek Domiński/REPORTER

To już agresja do kwadratu

Z Anną Jaki rozmawia Aleksandra Jakubowska

Młoda, drobna kobieta, bez doświadczenia wiecowo-politycznego weszła na scenę tuż po człowieku, o którym przeciwnicy mówią, że jest najpotężniejszym politykiem w Polsce i nią rządzi, i stanęła przed ponaddwutysięczną widownią, żeby opowiedzieć o swoim mężu. Co pani wtedy czuła?

Anna Jaki: Im bardziej pan premier Kaczyński zbliżał się do końca przemówienia, tym bardziej się stresowałam. Wtedy tak naprawdę do mnie dotarło, że stanę przed bardzo dużą widownią. Całe szczęście miałam obok siebie syna Radka, on zawsze mnie uspokaja swoją obecnością, mąż mnie ściskał za rękę, mówił, że sobie poradzę. Jak już weszłam na scenę, popatrzyłam na pierwsze rzędy, wszyscy byli uśmiechnięci, dodawali mi wzrokiem otuchy.

Długo się pani do tego wystąpienia przygotowywała? Kiedy pani się dowiedziała, że jest propozycja, by wystąpiła pani na samorządowej konwencji PiS?

eprasa.pl 7c2c025ac3

Mąż wcześniej mnie pytał o ewentualny udział w konwencji. Zapewniłam go, że dla mnie nie ma najmniejszego problemu, żeby opowiedzieć o nim. Podkreślał, że ostatecznie do mnie należy decyzja. Tak na sto procent to dwa dni wcześniej wiedziałam, że wystąpię na konwencji. Nikt mi tego nie narzucał...

To nie była propozycja nie do odrzucenia?

Nie. Zapytano, czy chciałabym, a ja chciałam, bo miałam takie wewnętrzne poczucie, że pewnych rzeczy ludzie o Patryku nie wiedzą. Dziennikarze pokazują go z jednej strony, ja go znam z zupełnie innej, tej bardziej ludzkiej i codziennej, i takim go chciałam przedstawić.

A co przede wszystkim chciała pani ludziom powiedzieć?

Że nie jest zacietrzewiony, że jest troskliwym i ciepłym człowiekiem. Chciałam pokazać, że Patryk ma nasze wsparcie, moje i Radka, że jesteśmy rodziną, która się bardzo kocha, i dla nas to wzajemne wsparcie jest bardzo ważne.

Kiedy zobaczyłam pod koniec pani wystąpienia, że na scenę wchodzi pani mąż z synem, pomyślałam sobie: „Kiedy zostaną państwo ugodzeni w swój najczulszy punkt?". Myślała pani o tym, że jest to pewne ryzyko?

Oczywiście. Gdy już zdecydowałam się na to wystąpienie, mówiłam Patrykowi, że tak będzie. Padną nikczemne słowa, będą ataki. Bo z nimi spotykałam się wcześniej. Wielu ludzi uważa, że szczęśliwa rodzina z niepełnosprawnym dzieckiem nie pasuje do stereotypu, że urodzenie niepełnosprawnego dziecka to nieszczęście. Psujemy im ideologiczny obraz. Gdy inni politycy pokazywali swoje dzieci, nikt im nie zarzucał lansu. Bo ich dzieci są zdrowe. Tacy jesteśmy tolerancyjni? Radek siedział na widowni prawie trzy godziny, radośnie machał flagami i nie wyglądał na nieszczęśliwe dziecko.

Powiedziała pani w jednym z wywiadów: wszyscy się chwalą się swoimi dziećmi, my też się chwalimy...

Dokładnie. Chwalę się szczęśliwą, zwykłą, pełną rodziną, gdzie jest mama, tata i dziecko. To, że Radek ma zespół Downa, to jest dodatek, który jemu utrudnia życie, powoduje, że pewne rzeczy wolniej przyswaja. Ale to jest najważniejszy członek naszej rodziny i zasługuje na to, żeby chwalić się swoimi rodzicami, a my chwalimy się nim.

> Fajnie jest występować w roli obrońców niepełnosprawnych, chodzić na marsze. Ale w przestrzeni publicznej tym osobom tak naprawdę przykro na niepełnosprawnych patrzeć, bo są inni, to nie jest dla nich miły widok

Do hejtu już trochę jesteśmy przyzwyczajeni, on panoszy się w internecie, jest przeważnie anonimowy, ordynarny, bezwzględny. A tu nagle w poważnej rozgłośni radiowej pada pytanie, czy to nie jest tak, że państwo wykorzystują dziecko w kampanii wyborczej. Czy pani spodziewała się takiego ataku, rzec można, bezpośredniego?

Spodziewałam się, ponieważ teraz zaczął się trudny okres kampanii, wszyscy się boją, że mój mąż za szybko zdobywa popularność. Spodziewałam się, że te ataki będą coraz bardziej bezpardonowe, częstsze i z coraz poważniejszych stron.

Najbardziej uderzyło mnie to, że osoba, która zadała to pytanie pani mężowi na antenie radia, przedstawia się na Twitterze jako „dziennikarka, kobieta, człowiek".

W tej politycznej walce nikt się z uczuciami mojego męża nie liczy, pal to licho, ale żeby nie przyszło jej na myśl, że rani uczucia jego rodziny? Przecież on nie jest samodzielnym bytem, ma wokół siebie ludzi, którzy go kochają i wszystko bardzo głęboko przeżywają.

Ale chyba zdawała sobie pani sprawę, wchodząc do polityki już tak otwarcie, że jest to gra brutalna, że coraz mniej zasad w niej obowiązuje i wszelkie sposoby, żeby pognębić przeciwnika, zmniejszyć jego szanse, będą wykorzystane.

Byłam na to przygotowana, ale zmierzenie się z tym bezpośrednio to są dwie zupełnie inne rzeczy. A ja chciałabym stanąć i powiedzieć, jak jest naprawdę, wiele powielanych kłamstw odkłamać. Poznałam Patryka na początku jego drogi politycznej, przeszłam ją z nim, więc trochę byłam zahartowana, ale tak ostrej i agresywnej politycznej walki na wielu poziomach jeszcze nie przeżyłam. To już agresja do kwadratu.

Rozmawiałyśmy kiedyś o tym, że jednak zmienia się na lepsze stosunek społeczeństwa do osób niepełnosprawnych, a tu nagle okazuje się, że w dalszym ciągu pojawiają się takie prymitywne stereotypy, że dziecko niepełnosprawne to jest kara dla rodziców. Ktoś, kogo trzeba się wstydzić, chować i w ogóle najlepiej o tym nie mówić.

Fajnie jest występować w roli obrońców niepełnosprawnych, chodzić na marsze. Ale w przestrzeni publicznej tym osobom tak naprawdę przykro na niepełnosprawnych patrzeć, bo są inni, to nie jest dla nich miły widok. Póki dorośli nie zaczną normalnie traktować niepełnosprawnych jako takich samych ludzi jak inni, nie zaczną zmieniać swojej mentalności, to nie będziemy mogli oczekiwać od ich dzieci, od następnych pokoleń, że cokolwiek się u nas w postrzeganiu niepełnosprawnych zmieni.

Cofnijmy się teraz trochę w czasie. 23-letnia dziewczyna w 13. tygodniu ciąży idzie na pierwsze badanie USG i dowiaduje się, że na 80 proc. jest prawdopodobne, że jej dziecko

eprasa.pl 7c2c025ac3

Fot. Andrzej Wiktor

urodzi się z zespołem Downa. Świat się zawalił. Jak pani udało się wyjść spod tych gruzów?

Było mi ciężko, ale nie ze względu na mnie, tylko na dziecko, jego mi było szkoda, bo to jemu będzie ciężej. Widziałam wcześniej dziecko z zespołem Downa, które było wyśmiewane na placu zabaw, i tak się dręczyłam, że mojego syna też w przyszłości może to spotkać. Mąż był dla mnie bardzo dużym wsparciem. Wiem, że nie wszystkie kobiety mają takie wsparcie w rodzinie, że czasami małżeństwo takiej próby nie wytrzymuje i się rozpada, przeważnie odchodzi mężczyzna. Mąż potrafił podnieść mnie na duchu, też mu było ciężko, ale był dla mnie takim oparciem, którego wtedy bardzo potrzebowałam. Powiedział: „Damy sobie radę, to jest nasze dziecko, damy mu tyle, ile możemy i będziemy żyć normalnie". Powiedział mi wtedy coś, co będę pamiętała do końca życia: „Żyjemy nie dla siebie, tylko dla kogoś". Trzeba okiełznać egoizm, myśleć o sobie nawzajem – jeśli oni są szczęśliwi, to ja też jestem szczęśliwa.

Jest pani osobą wierzącą. Pokłóciła się pani trochę z Panem Bogiem?

Jakoś nigdy nie przeszło mi to przez myśl. Jeżeli człowiek z pewnymi rzeczami się nie pogodzi, nie pogodzi się sam z sobą, to przegra życie. Pogodziłam się z tym, że moje dziecko ma wadę genetyczną, że będzie mi trudniej, będzie mnie to kosztować więcej pracy. Bo tak na dobrą sprawę, cieszę się, że Radek trafił do naszej rodziny, bo gdzież by mógł lepiej trafić? Jeśli ktoś o tym decydował, to świetnie zadecydował. Trafił na kochającą rodzinę. W takich kategoriach to rozpatruję. Miałam inny plan na życie i co – mam ciągle pytać siebie, dlaczego się nie spełnia? Dla mnie najważniejsze jest to, że dzięki temu doświadczeniu nasza rodzina jest silniejsza i szczęśliwa.

Zaproponowano aborcję. To nie było do zaakceptowania, prawda?

Nawet gdybym o tym tylko pomyślała, to strasznie źle bym się z sobą czuła. Takie wyznaję wartości, tak mnie wy-

chowano. Uważam, że nikt nie może decydować o tym, czy ktoś ma prawo do życia.

Jest pani zdecydowaną przeciwniczką aborcji z przyczyn eugenicznych...

Aborcja eugeniczna jest jedną z przyczyn nietolerancji, bo jeśli ludzie wiedzą, że „one" mogą zostać „usunięte", to dlaczego mamy „je" tolerować, jeśli już się urodzą, w życiu publicznym?

W miarę, jak Radek się rozwijał, coraz bardziej była widoczna ta jego wada. Musiała się pani zderzyć z otoczeniem, z ludźmi, którzy patrzą, komentują. Jakie to były reakcje?

Pierwszym szokiem dla mnie była utrata połowy znajomych. Nie unieśli tego. Specjalnie przyjęłam taki model dzwonienia do nich, a nie mówienia im twarzą w twarz, żeby dać im szansę na reakcję bez mojej obserwacji, bo to jest trudne. Gdybym była na ich miejscu, pewnie chciałabym mieć czas, żeby się z tym oswoić, pomyśleć, jak mądrze wesprzeć. Część moich znajomych jest mi za to wdzięczna, bo mieli szansę na spokojnie to przetrawić i potem pogratulować, ale duża część po tym telefonie z informacją o chorobie Radka przestała się ze mną kontaktować. I tak jest do tej pory.

Dlaczego? Nie potrafię tego zrozumieć.

Może nie wiedzą, jak reagować w takich sytuacjach? Może chcieliby współczuć, żałować, a ja nie sprawiam wrażenia osoby, której trzeba to okazywać. Z drugiej strony może ludzie się boją, że ich też jakoś dotknie ta niepełnosprawność? Kiedyś znajomą na placu zabaw ktoś zapytał, czy w rodzinie był zespół Downa i czy syn się zaraził. Albo myślą, że jakbyśmy się spotkali, to pewnie cały czas bym o nim mówiła, jakie to moje dziecko jest niepełnosprawne i jacy jesteśmy skrzywdzeni przez los. A przecież o Radku rozmawiam tyle, ile inne mamy o swoich zdrowych dzieciach.

Pani mąż bardzo się zaangażował w politykę i cały ciężar opieki nad synem, rehabilitacją, organizacją różnego rodzaju zajęć, które by pobudziły jego rozwój, spoczywają na pani barkach.

Najważniejsze jest to, że się wzajemnie wspieramy i możemy na siebie liczyć. Wiem, że gdy mąż skończy kampanię, a ja wrócę do pracy, a zamierzam zrobić to już niedługo po ukończeniu podyplomowych studiów, to podzielimy się na nowo obowiązkami.

Co pani studiuje?

Wczesną interwencję, wczesne wspomaganie rozwoju dziecka, zamierzam być terapeutą dzieci niepełnosprawnych. Daje mi to dużą satysfakcję, widzę się w tym zawodzie i już się nie mogę doczekać, kiedy będę mogła to robić. To w sumie będzie taka kontynuacja mojej pracy z dzieckiem w domu.

> Wiedziałam, za kogo wychodzę za mąż i że Patryk daleko zajdzie, bo jest wartościowym człowiekiem, dużo osiągnie. Nie myślałam tylko, że tak szybko

Kiedy pani kończy studia?

W grudniu, potem obrona i ruszam do pracy. Oczywiście nie zamienimy się rolami i Patryk nie będzie siedział w domu. Po pierwsze, to nie leży w jego naturze, po drugie, wysoko sobie ceni służbę publiczną. Wiedziałam, za kogo wychodzę za mąż i że on daleko zajdzie, bo jest wartościowym człowiekiem, dużo osiągnie. Nie myślałam tylko, że tak szybko.

Muszę pani zadać bardzo osobiste pytanie, ale oczywiście nie musi pani na nie odpowiadać...

...już się boję...

...czy myślała pani o kolejnym dziecku?

To nie jest trudne pytanie. Oczywiście. Bardzo się staramy o następne dziecko.

Nie boi się pani, że może być obarczone podobną wadą?

Nie tyle się boję, ile mam świadomość, jak wiele rzeczy ma wpływ na to, jak dziecko się rozwija w okresie ciąży, i to powoduje stres, natomiast samego niepełnosprawnego dziecka się nie boję. Jeżeli jest mi tak dane, to będzie.

Nie obawia się pani, że jeżeli się urodzi zdrowe, czego z całego serca życzę i gromadki następnych, to będzie miała pani takie poczucie, że zabiera pani Radkowi część swojego czasu, że nie będzie miał pani na wyłączność?

Funkcjonując w większej rodzinie, dzieci z zespołem Downa mają większe poczucie przynależności, mogą kogoś nauczyć, bo jest młodszy, albo się od kogoś nauczyć, bo mają starsze rodzeństwo. I widzę, że Radek tego potrzebuje. On do wszystkich wózków teraz zagląda, wszystkie dzieci są jego, wszystkie chce głaskać, karmić, wkłada smoczki, czesze...

Czy po tych ostatnich doświadczeniach dalej będzie pani wspierać męża publicznie?

Na pewno nie schowam Radka w domu. Jest częścią naszej rodziny i jeżeli stoją przed nami jakieś wyzwania, to się wzajemnie wspieramy.

Mąż bardzo przeżywa te ataki na syna?

Jest mu ciężko. To jest inny typ osobowości niż ja, bo ja jestem bardzo emocjonalna. On bardziej chłodno do tego podchodzi, ale widać, że go to boli, mam wrażenie, że on się obwinia, że to przez niego nasze dziecko jest atakowane. Mówię mu – to nie jest twoja wina, ludzie, którzy nie mają w sobie wrażliwości, empatii zawsze będą zadawać ciosy poniżej pasa, bo nic bardziej nie uderzy człowieka niż atak na jego rodzinę.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Zderzenie z R

Te pytania należy zadać wprost: czy wizyta prokuratorów w Smoleńsku była błędem i czy ponieśli oni porażkę? Nie ulega wątpliwości, że zostali zmuszeni do przyjęcia warunków Rosjan i wzięcia udziału w swego rodzaju teatrze. Na dziś efekty są, delikatnie mówiąc, mało satysfakcjonujące. Gdy jednak spojrzymy na sprawę w szerszym kontekście, zauważymy pewien plan polskich śledczych. Po raz kolejny chcą do Rosji pojechać już z amerykańskimi biegłymi

Zdjęcia: M. Czutko i Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 7c2c025ac3

osją

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Nasza ubiegłotygodniowa publikacja poświęcona pobytowi prokuratorów w Smoleńsku wywołała spore poruszenie. Nic w tym dziwnego, bo okazało się, że Rosjanie znów zagrali nam na nosie i nie pozwolili wykonać większości czynności, jakie zaplanowali nasi śledczy. Nie było możliwe zinwentaryzowanie wraku, do czego niezbędne byłoby przenoszenie niektórych jego elementów. Polacy nie mogli nawet samodzielnie wykonywać fotografii. To oburzająca postawa Rosjan, zwłaszcza że chodzi przecież o badania wraku, który jest polską własnością bezprawnie przetrzymywaną przez Federację Rosyjską.

Ale co ciekawe, Prokuratura Krajowa wcale tak ostro nie komentuje podejścia Rosjan. Co więcej – szuka nawet jakiegoś światełka w tunelu na dalszą współpracę. Jak słyszymy u źródeł zbliżonych do śledztwa, zmiany personalne w rosyjskim komitecie śledczym dają nadzieję, że współpraca między polską a rosyjską prokuraturą się polepszy. Jako „pozytywne zaskoczenie" odbierane są zmiany na lotnisku w Smoleńsku – wiata, w której umieszczone są duże elementy wraku, została bowiem wzmocniona i zabezpieczona, a drobne części samolotu zostały posegregowane i umieszczone w nowym hangarze (to prawda, na zdjęciach, które zrobiliśmy z okien leżącego naprzeciwko lotniska bloku, widać, że wiata, która jeszcze dwa lata temu miała brezentowe ściany, dziś jest już blaszaną konstrukcją, a dodatkowo pojawił się drugi hangar – z prawdziwego zdarzenia).

Stanowisko polskiej prokuratury musi zaskakiwać. Dlaczego jest właśnie takie? Odpowiedź jest prosta – to nie była ostatnia wyprawa do Smoleńska, jaką zamierza przeprowadzić Prokuratura Krajowa. Amerykańscy naukowcy i eksperci od badania katastrof lotniczych, którzy niebawem już formalnie będą mieli w postępowaniu status biegłych, jako jeden z kluczowych elementów swojej pracy widzą wyjazd na miejsce katastrofy i oględziny wraku. Mówił o tym przed kilkoma miesiącami w czasie pobytu w Warszawie prof. Goong Chen, światowej sławy matematyk, którego zespół pomoże w badaniu katastrofy.

Dlatego prokuratorzy muszą niekiedy, jakkolwiek by to zabrzmiało, powstrzymywać się od krytyki strony rosyjskiej. Dla dobra śledztwa. Choć w nieoficjalnych rozmowach oczywiście słyszymy wzburzenie na to, jak pogrywają sobie Rosjanie: „Przecież to, co się działo teraz na Siewiernym, to absolutne minimum. Zupełnie nas niesatysfakcjonujące".

PROBLEMY Z HOMOLOGACJĄ

Faktem jest, że po raz pierwszy od pięciu lat polscy prokuratorzy, w asyście techników kryminalistycznych, mogli dokonać oględzin wraku. Powstała obszerna dokumentacja fotograficzna – przez pięć dni zrobiono ponad 3 tys. zdjęć, w tym ujęcia panoramiczne obejmujące pełne 360 stopni niektórych elementów wraku.

Naszym śledczym zależało również na wykonaniu zdjęć w technologii 3D. Jednak Rosjanie stwierdzili, że będzie to niemożliwe, bo... ich skaner jest wykorzystywany na miejscu innego zdarzenia. To oczywiście tylko wymówka, na którą Polacy byli przygotowani. Zaproponowali wykorzystanie własnego skanera, z którym przyjechali. Na to nie było zgody, bo... sprzęt nie posiadał rosyjskiej homologacji.

Jak pisaliśmy w ubiegłym tygodniu, kłód rzucanych pod nogi polskiej ekipie było dużo więcej. Odmówiono możliwości przesłuchania pięciorga świadków katastrofy. Powody? Jedna osoba już nie żyje, miejsca pobytu kolejnej nie można ustalić, dwoje następnych w czasie wrześniowych czynności nie było obecnych w Smoleńsku, a piąty (Nikołaj Bodin, na którego działce stoi brzoza, o którą według raportów MAK i komisji Millera miał zahaczyć skrzydłem samolot) stracił pamięć w wyniku wypadku.

Polacy nie mogli wnosić do hangaru żadnego własnego sprzętu, nawet telefonów komórkowych. Musieli przechodzić przez wykrywacz metalu i zakładać specjalne kombinezony, które miały ustrzec wrak przed naniesieniem niepożądanych zanieczyszczeń (czytaj: zapewne śladów materiałów wybuchowych), a Rosjanie cały czas pilnowali, by suwaki w białych skafandrach były dopięte pod szyją, co przy wysokich temperaturach w Smoleńsku powodowało niemały dyskomfort.

Jedyne pocieszenie po tej pięciodniowej przepychance jest takie, że część elementów samolotu (tych drobnych) była

eprasa.pl 7c2c025ac3

„Wieża" kontroli lotów na Siewiernym coraz bardziej zapuszczona ginie za rosnącymi chaszczami

Miejsce, gdzie spadły największe szczątki Tu-154M. To tutaj składane są kwiaty i znicze, głównie przez gości z Polski. Dla porównania fotografia sprzed 2,5 roku. Nawet przyjmując, że to inna pora roku, zastanawiające jest, jak bardzo zarosło ono chaszczami

jednak podnoszona, by robić im zdjęcia z każdej strony, oraz że to Polacy wskazywali, co fotografować, a Rosjanie ponoć bez szemrania to wykonywali. Inna sprawa, że procesowo ważne będzie dopiero to, co znajdzie się w podsumowującej oględziny dokumentacji, która nadejdzie z Moskwy – praktyka pokazuje, że na tę przesyłkę przyjdzie poczekać kilka miesięcy. Prokuratura sporządziła wniosek o priorytetowe i pilne potraktowanie tych materiałów oraz o nadesłanie wszystkich fotografii (dotychczas Rosjanie wybiórczo traktowali zdjęcia).

WYBRAKOWANY TUPOLEW

Nasi śledczy w czasie pobytu w Smoleńsku obejrzeli też miejsce, w którym rozbił się polski tupolew. Na ile przyda się to w prowadzonym śledztwie? Trudno być optymistą, bo jest ono bardzo porośnięte krzakami, a jego wygląd zmienił się już w pierwszych dniach po tragedii, gdy wycięto tam wiele drzew i ułożono betonową drogę dla ciężkich pojazdów. W czasie późniejszych prac polskich archeologów pozwolono zbadać tylko część wrakowiska (specjaliści oszacowali wówczas, że tupolew roztrzaskał się na ok. 60 tys. kawałków).

Osobiste zapoznanie się z miejscem katastrofy interesuje również prof. Goonga Chena i jego współpracowni-

eprasa.pl 7c2c025ac3

Bliższa radiolatarnia, znajdująca się 1 km przed początkiem pasa startowego, wysyłała błędne sygnały, co potwierdziła załoga jaka-40, który 10 kwietnia wylądował w Smoleńsku. Przed ośmioma laty ten obiekt wojskowy wyglądał bardzo podobnie

ków. I to może się udać. Gorzej będzie ze zrealizowaniem innego ich planu – oględzin drugiego tupolewa, który stoi w bazie wojskowej w Mińsku Mazowieckim. W lutym opisywaliśmy badania, jakie prowadzili tam eksperci z National Institute for Aviation Research, którzy współpracują z wyjaśniającą katastrofę podkomisją przy MON. „Tutka" o numerze 102 została rozebrana niemal na części pierwsze (zdjęto m.in. wewnętrzne warstwy maszyny, by jak najdokładniej ją zeskanować, co ma posłużyć do stworzenia jej elektronicznego modelu). Niestety, jak się dowiedzieliśmy, samolot został zdekompletowany, zniknęła część jego elementów i wojsko ma problem z ponownym jego złożeniem.

Gdy wyszło to na jaw, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak zlecił kontrolę we wszystkich jednostkach wojskowych, dotyczącą procedur wjazdu i wyjazdu osób postronnych na teren baz. Według naszych informatorów wnioski są przygnębiające. – Jest gorzej, niż myśleliśmy – mówi nasz rozmówca zbliżony do kierownictwa MON. I dodaje: – W Mińsku była wolnoamerykanka – wjeżdżał tam niemal, kto chciał, lista obecnych nie pokrywała się ze zgłoszeniami, czasem w ogóle nie było żadnych zgłoszeń, a członkowie podkomisji mieli jakieś blankietowe pozwolenie na wielokrotne wjeżdżanie do jednostki i poruszanie się po niej.

Przekonaliśmy się o tym zresztą osobiście. Gdy późną zimą na zaproszenie prof. Wiesława Biniendy przyglądaliśmy się pracom ekipy NIAR w Mińsku, nikt nas nie legitymował ani nie kontrolował auta, zarówno przy wjeździe do bazy, jak i jej opuszczaniu.

Wracając do Smoleńska, na szczeblu roboczym swoją wizytę prokuratorzy oceniają w miarę ciepło. Tyle że dobra atmosfera w czasie kilku dni i deklarowana otwartość Rosjan niewiele znaczą, bo gdy przychodzi do konkretnych postulatów, pojawiają się blokady narzucone z góry tej hierarchicznej struktury, w pełni podporządkowanej władzom politycznym.

„Pozytywne zaskoczenia" zaś, o których wspominamy wyżej, jawią się raczej jako teatr na potrzeby moskiewskiej propagandy. Taka jest Rosja – pozory są ważniejsze od realiów, co zobaczyliśmy na własne oczy nie tylko w Smoleńsku, lecz na każdym kroku naszej kilkusetkilometrowej podróży przez ten kraj. Trzeba mieć tego świadomość. Zawsze.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Smoleńsk późnym latem to całkiem urokliwe miasto. Dodajmy, że to „miasto-bohater", w Związku Radzieckim nadano zaledwie 13 takich odznaczeń. Plac Lenina i jego pomnik przed budynkiem administracji obwodu smoleńskiego to ulubione miejsce lokalnych skaterów i spacerowiczów. Twarze Włodzimierza Iljicza, a także Fryderyka Engelsa, niemieckiego ideologa komunizmu, zdobią front Państwowego Uniwersytetu Smoleńskiego

43/0818/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

Było sporo prawdy w słowach Władimira Putina o mundurach „zielonych ludzików", które można kupić w każdym sklepie. Taki kombinezon na stacji benzynowej Rosnieft strzeżonej przez atrapę radiowozu kosztuje 1140 rubli (ok. 60 zł), czapka „sołdatka" – 200 rubli (ok. 10 zł)

REKLAMA

TUW-y a komercyjne towarzystwa ubezpieczeniowe

FUNDACJA WSPIERANIA UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

W ostatnim czasie coraz głośniej jest o ubezpieczycielach wzajemnych. Po ich ofertę chętniej sięgają samorządy terytorialne, widząc w nich alternatywę wobec propozycji komercyjnych towarzystw ubezpieczeniowych. – *TUW-y są obecnie najdynamiczniej rozwijającym się sektorem ubezpieczeń w Polsce. Potwierdzają to chociażby raporty międzynarodowych organizacji, jak ICMIF czy AMICE* – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych.

Chociaż towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych (TUW-y) rzeczywiście coraz śmielej funkcjonują na rynku ubezpieczeniowym, to jednak wciąż za mało mówi się o podstawach ich działalności. A to przecież ma istotny wpływ na ofertę. – *TUW-y nie są nowością na rynku ubezpieczeniowym. Wprost przeciwnie, ta forma organizacji znana jest od wieków, a na polskim gruncie była bardzo popularna szczególnie w okresie międzywojennym* – tłumaczy Jarosław Bierecki, prezes FWUW. – *TUW-y są zrzeszeniami osób, wspólnotami członków i to właśnie ich dobro jest najważniejsze. Główny nacisk kładą na udzielanie skutecznej ochrony ubezpieczeniowej swoim członkom będącym jednocześnie właścicielami towarzystw, podczas gdy ubezpieczyciele komercyjni przede wszystkim dążą do realizacji polityki swoich akcjonariuszy, czyli osiągnięcia zysku* – mówi Jarosław Bierecki.

Należy tu też zwrócić uwagę, że TUW-y coraz częściej doceniane są przez samorządy terytorialne, gdyż otrzymują one ofertę dopasowaną do swoich potrzeb. Decydując się na współpracę z towarzystwem ubezpieczeń wzajemnych, samorządy nie muszą organizować przetargu, jak to jest w przypadku oferty komercyjnych ubezpieczycieli. – *Zgłaszające się do przetargów towarzystwa ubezpieczeniowe często przedstawiają oferty, które nie do końca satysfakcjonują samorządy. W takiej sytuacji jednostki samorządowe mogą się na te propozycje godzić lub nie* – wyjaśnia Jarosław Bierecki. – *Inaczej sprawa wygląda w przypadku TUW-ów, z którymi bez przetargu samorząd może wynegocjować warunki umowy ubezpieczeniowej. Właśnie takie rozwiązanie samorządy coraz częściej wybierają, jeżeli kierują się oszczędnością.*

Ubezpieczenie w TUW-ie daje także możliwość rozliczenia składki na podstawie faktycznej szkodowości. Oznacza to, że jeśli nie ma szkód lub są niewielkie, członkowie TUW-u zyskują; jeśli szkody są wysokie, towarzystwo może wnioskować o dopłatę. – *Z taką sytuacją trzeba się liczyć, jednak nie musi ona nastąpić. Nie słyszałem jednak o przypadku, by jakiś TUW wystąpił do członków o dopłaty, bo przede wszystkim kierują się perspektywą dalszej współpracy. Jeżeli chodzi o ubezpieczycieli komercyjnych, to ich składki mają już wliczony koszt reasekuracji* – wyjaśnia Jarosław Bierecki.

Prezes FWUW wskazuje jednocześnie, że uzyskane nadwyżki mogą być reinwestowane w towarzystwo, np. w postaci niższych kosztów polis. – *W TUW-ach decyzje dotyczące usług oraz przeznaczenia ewentualnej nadwyżki bilansowej podejmowane są na drodze demokratycznych procedur, w których uczestniczą członkowie towarzystwa* – wyjaśnia Jarosław Bierecki.

Jarosław Bierecki, prezes FWUW

eprasa.pl 7c2c025ac3

Jadąc przez Rosję, nawet w mniejszych miejscowościach napotykamy symbole wojskowe, z których wszyscy są dumni. Pomniki z czołgów lub nawet wyrzutni rakiet stoją przy drogach. A posągi „gierojów" Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (1941–1945) są dosłownie w każdej wsi

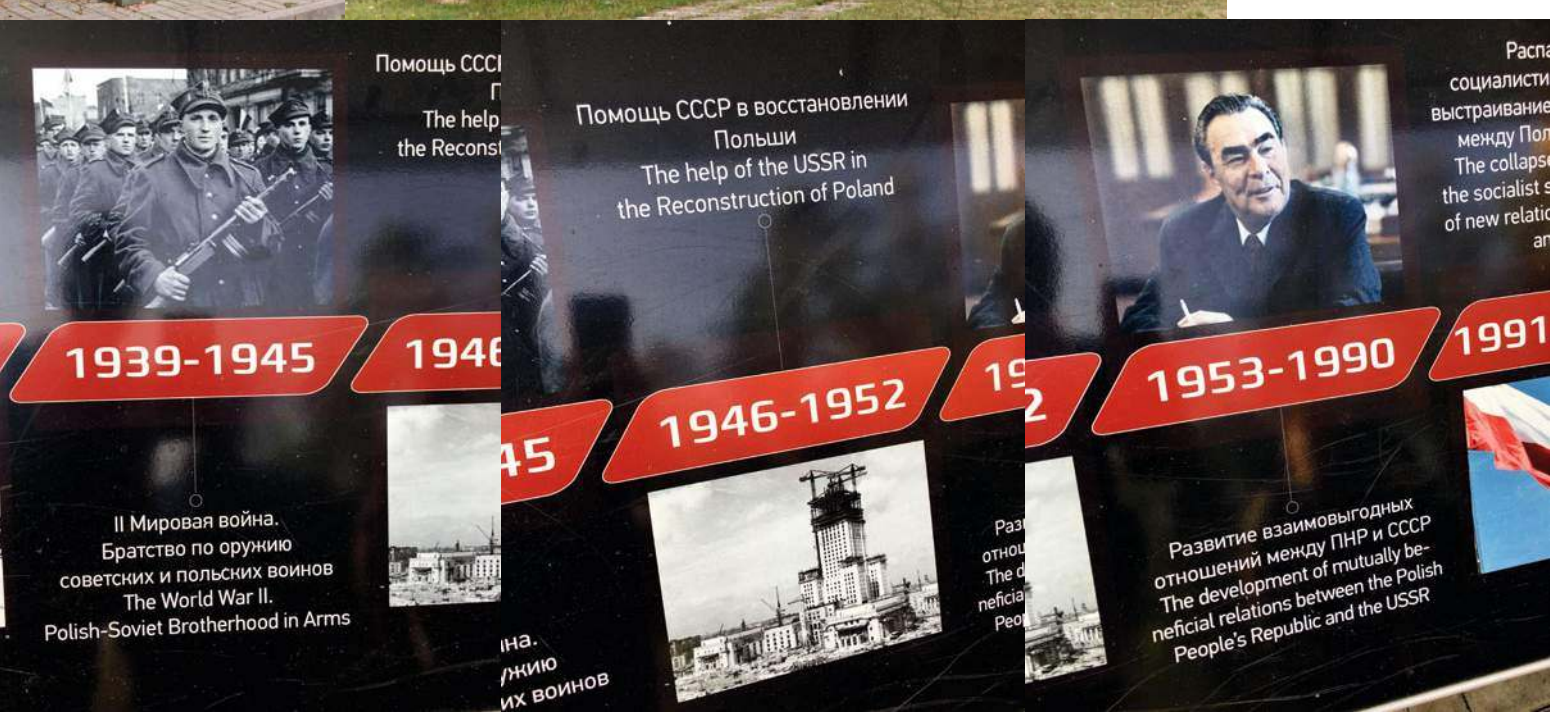

Przed Memoriałem w Katyniu zobaczyliśmy zaproszenie na skandaliczną wystawę pt. „Polsko-rosyjskie relacje w XX w.". Tuż obok miejsca kaźni tysięcy polskich żołnierzy w 1940 r. jest mowa o „braterstwie broni z lat 1939–1945", a potem o bratniej pomocy ZSRS w odbudowie PRL. Symbolem współpracy ma być powstający Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina

eprasa.pl 7c2c025ac3

SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM – ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

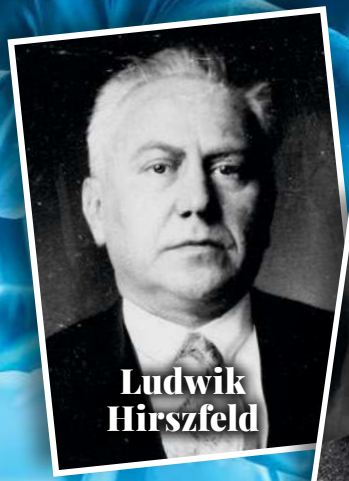
Ludwik Hirszfeld

Kazimierz Funk

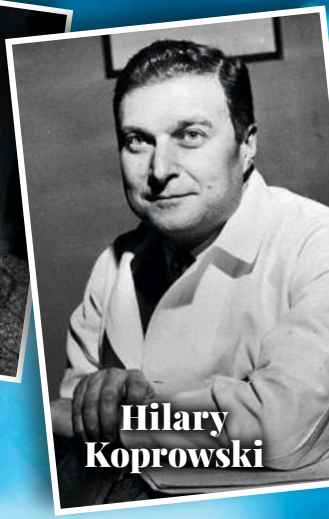
Hilary Koprowski

odc. 7

Pogromcy chorób i epidemii

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 7c2c025ac3

Witaminy dla świata

Pod koniec XIX w. lekarzem bywało się przy okazji. Medycynę traktowano jako dobrą inwestycję na przyszłość, a studia te stawały się w gruncie rzeczy bazą do szerszych zainteresowań naukami przyrodniczymi. Mniej więcej do lat 60. XIX w. ich status był dość niewyraźny. Arystokracja raczej nimi pogardzała, ludzie mniej zamożni – ignorowali, bo nie dawały pewności odpowiedniego zarobku

Sytuacja zmieniła się nagle, być może pod wpływem odkryć Karola Darwina, które – przez jednych stanowczo odrzucane, przez innych traktowane jak objawienie – w błyskawicznym tempie rozeszły się po świecie, zapładniając do dalszych badań całe rzesze młodych naukowców.

Geologia, paleontologia, botanika, zoologia – wszystkie te dziedziny w kolejnych latach przeszły prawdziwą rewolucję, dając trzon dzisiejszej wiedzy na te tematy. Polacy odegrali w tej rewolucji rolę główną, choć nieco przypadkiem. Hurtowo zsyłani na Syberię po powstaniu styczniowym, tam właśnie, w tym dziewiczym właściwie świecie, znajdowali doskonałe obiekty badań, a ich wyniki – zaskakująco chętnie publikowane później w rosyjskich periodykach naukowych – wzbudzały sensację w Europie. Modelowym przykładem takiego badacza zesłańca był Benedykt Dybowski – w powstaniu emisariusz Centralnego Komitetu Narodowego, a prywatnie genialny badacz głównie fauny wodnej, ale nie tylko, odkrył i przebadał dziesiątki nieznanych wcześniej nauce gatunków zwierząt, miał też swój udział w badaniach historii naturalnej okolic Bajkału.

Ale Dybowski był modelowym przykładem tamtego pokolenia również z tego powodu, że tak naprawdę był lekarzem. Praktykował i w Polsce, i na Syberii, z własnej woli osiadł na Kamczatce, by leczyć autochtonów, a przy okazji badać lokalną faunę i florę. W tamtym czasie jeszcze bycie lekarzem oznaczało bycie człowiekiem renesansu. Nie było się lekarzem po prostu – było się naturalistą w najszerszym tego słowa znaczeniu. I ta właśnie cecha sprawiła, że Polacy dokonali tak wielu fundamentalnych odkryć w dziedzinie medycyny.

Wojciech Lada

Lekarzem był Ludwik Hirszfeld – w czasie I wojny światowej uratował dziesiątki tysięcy ludzi zapadających na froncie bałkańskim na kolejne epidemie: duru plamistego, duru brzusznego, wreszcie katastrofalnej w skutkach malarii. Najważniejsze jednak, co dał światu, to odkrycie i nazwanie grup krwi oraz zbadanie praw nimi rządzących.

Lekarzem był także Hilary Koprowski, choć tylko z wykształcenia, bo nie zdążył praktykować. Zbyt pochłonęła go muzyka, którą również studiował. Wirtuozerią wykazał się jednak w innej dziedzinie. Kiedy uciekając przez Holokaustem, znalazł się USA, opracował szczepionkę przeciwko wirusowi polio powodującemu chorobę Heinego-Medina, i to tak skuteczną, że schorzenie to praktycznie przestało istnieć. W latach 50. XX w. uratował Polaków przed prawdziwą epidemią tej strasznej choroby – przekazał bezpłatnie do kraju 9 mln próbek szczepionki.

Nie da się natomiast policzyć, ilu ludzi uratował inny Polak – Kazimierz Funk. Badając tzw. choroby niedoboru, będące plagą przełomu XIX i XX w., odkrył mianowicie istnienie witamin – pierwszy użył tej nazwy i pierwszy przebadał wpływ tych nieznanych wcześniej związków na organizm człowieka.

A czy ktoś może wyobrazić sobie współczesny świat bez znajomości grup krwi i witamin?

eprasa.pl 7c2c025ac3

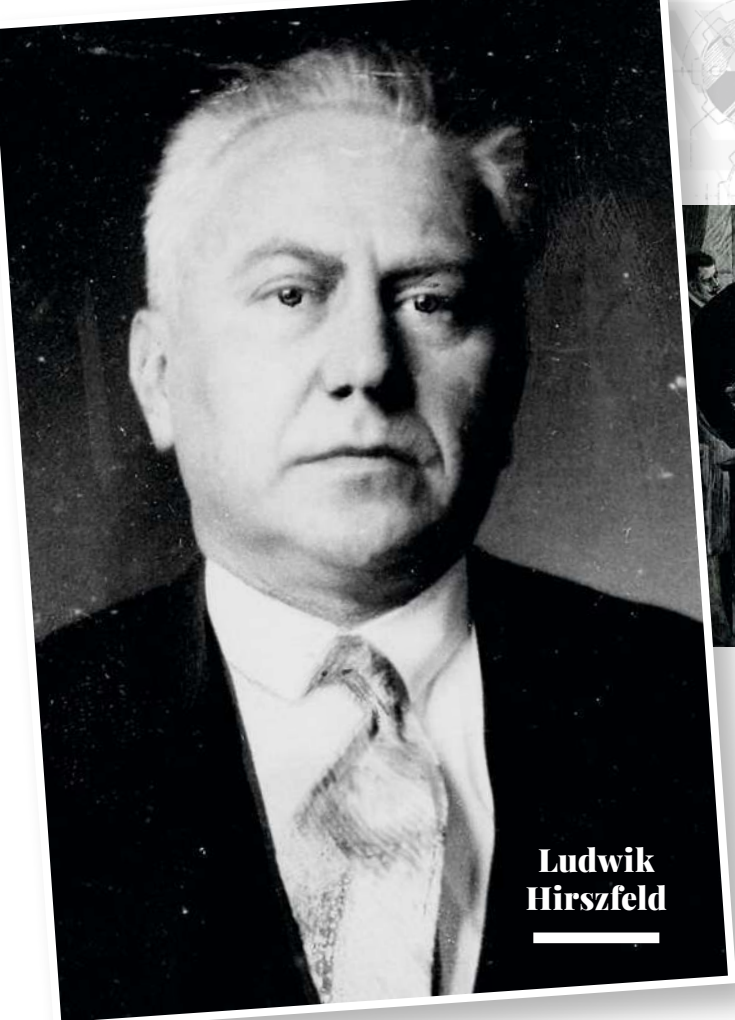

Ludwik Hirszfeld

WOJCIECH LADA

Odkrył istnienie grup krwi, oznaczył czynnik Rh, a także wyjaśnił przyczyny konfliktu serologicznego. Już tylko to czyni Ludwika Hirszfelda jednym z najważniejszych naukowców początku XX w. A to niejedyne jego osiągnięcia. Tysiące ludzi ocalił przed epidemiami w okopach I wojny światowej i prawdopodobnie dziesiątki – w warszawskim getcie

Co tkwi we krwi

Urodził się w Warszawie, ale nie mieszkał tu zbyt długo. Kiedy przychodził na świat w połowie lat 80. XIX w., stolica pogrążona była w politycznym marazmie. Był to moment, kiedy ludzie poddali się faktom dokonanym i akceptowali sytuację. On jednak – jak sam przyznawał – od dziecka nie mógł wytrzymać wszechobecności rosyjskiego systemu, co z pewnością wynikało z atmosfery domu rodzinnego. „Wzrosłem w tradycji walki podziemnej, w której rodzina mojego ojca, szczególnie mój stryj, brała czynny udział" – podkreślał później we wspomnieniach. W czasach jego nauki szkolnej nikt jednak w Warszawie nie walczył, jedynym więc sposobem, by uciec od znienawidzonego systemu, był wyjazd za granicę. Nic też dziwnego, że gdy tylko zdał egzamin maturalny, niemal natychmiast zdecydował się na studia w Würzburgu, a następnie w Berlinie.

SPÓŹNIONY NA REWOLUCJĘ

Wybrał medycynę, ale był to raczej przypadek niż wynik głębszego zainteresowania. Być może kameralna aura tego niewielkiego bawarskiego miasteczka, a może talenty tamtejszej kadry profesorskiej sprawiły jednak, że nauce oddał się całkowicie. „Powoli dojrzewała we mnie myśl poświęcenia się pracy naukowej. Nie jakieś określone zainteresowanie, ale niechęć do zwykłych form życia i umiłowanie cichej zadumy pracowni naukowej. Gdybym żył w średniowieczu, może uciekłbym od życia do klasztoru" – wspominał, choć odrobinę mijał się z prawdą. Istotnie był coraz bardziej wyciszony i zdystansowany, całe dnie spędzał nad książkami, ale ochota do walki do końca mu nie przeszła. Kiedy tylko doszły do niego wieści o wrzeniu rewolucyjnym w Królestwie i działalności Organizacji Bojowej PPS Józefa Piłsudskiego, zareagował natychmiast, choć... połowicznie. „W 1905 r. wybuchła rewolucja w kraju i zaczęło mnie ponosić, by wrócić i wziąć udział w walce czynnej. Kupiłem już nawet broń. Ale wciąż odkładałem wyjazd. Aż profesor skończy ten lub ów rozdział, aż wykonam te lub inne doświadczenie. I w ten sposób rewolucja skończyła się bez mojego udziału" – przyznawał z pewną skruchą. W 1905 r. jeszcze nie, ale już wkrótce wziął udział w znacznie ważniejszej rewolucji.

Po ukończeniu studiów i obronieniu doktoratu został asystentem w Instytucie Badania Raka w Heidelbergu. To właśnie tu zetknął się z nową wówczas teorią tzw. łańcuchów bocznych, opracowaną przez niemieckiego immunologa Paula Ehrlicha.

fot. NAC, The National Library of Medicine

eprasa.pl 7c2c025ac3

Zapoznanie się z nią było przełomem w jego życiu. Pisał o tym bez skrępowania: „Ci, którzy żyli w okresie powstania tej teorii, wiedzą, jak porywająca była myśl, że zatruwalność komórki jest zarazem gwarancją przezwyciężenia zatrucia, że choroba i jej przezwyciężenie stanowią poszczególne ogniwa jednego zdarzenia, kolejne i ściśle powiązane z sobą akty jednego dramatu. Zadaniem każdej teorii jest wzniecać twórczy niepokój i porywać. Żadna z istniejących teorii nie uczyniła tego w sposób mocniejszy niż teoria łańcuchów bocznych. Pamiętam tę noc dla mnie przełomową, gdy przesiedziałem do rana nad tym artykułem [Ehrlicha – przyp. aut.] i gdy wstawszy od książki, poczułem, że chcę być serologiem".

Jak postanowił, tak zrobił. W Heidelbergu poznał niemieckiego lekarza barona Emila von Dungerna, z którym wielogodzinne rozmowy skierowały zainteresowania obu młodych badaczy na temat dziedzicznych cech krwi. I nie były to bynajmniej rozważania teoretyczne. Pierwsze badania uczeni przeprowadzili na kozach i dały one rezultaty na tyle zachęcające, by skłonić ich do dalszych poszukiwań.

„Nie mieliśmy co prawda dość kóz, ale oddział parazytologii hodował psy dla swoich doświadczeń, których nie realizował. Zaczęliśmy wstrzykiwać psom krew psów i porwała nas całkowicie realność wielkiego odkrycia. Zaczęła się praca po całych dniach i nocach. Stwierdziliśmy, że istnieją u psów określone rasy serologiczne, że cechy się dziedziczą, że nie mogą pojawić się u potomstwa, jeśli nie było ich u rodziców, chociaż mogą zanikać. Stwierdziliśmy zasadnicze prawa, jak i kiedy mogą pojawiać się odczyny odpornościowe dla tkanek własnego gatunku i własnego ustroju" – opowiadał.

Badania pochłonęły ich całkowicie. Ponieważ temat ten był zupełnie nowy, nie istniała jeszcze nawet terminologia, jaką można by zapisywać wyniki testów, dlatego Hirszfeld i Dungern stworzyli ją na własny, roboczy użytek. Okazała się ona na tyle celna, że wkrótce przyjęła się na całym świecie i używana jest powszechnie do dziś. „Nazywamy grupę, której krwinki nie zlepiają się z żadną surowicą ludzką – grupą 0, grupę częstszą w Heidelbergu – grupą A, grupę rzadszą – B. Grupa 0 ma oznaczać brak cechy A i B" – wspominał.

W ten sposób w 1912 r. w Heidelbergu odkryte zostały podstawy nauki o grupach krwi, wkrótce zaś powstała zupełnie nowa dziedzina nauki – seroantropologia. „Muszę przyznać, że nie uchylili się od tej roli" – wspominał Hirszfeld, opowiadając anegdotycznie o tym, że rolę królików doświadczalnych musieli wziąć na siebie profesorowie tutejszego uniwersytetu. Mając lat 28, Hirszfeld po raz pierwszy zmienił świat.

I WOJNA Z EPIDEMIĄ

Dwa lata później wybuchła I wojna światowa i młody naukowiec musiał zarzucić dalsze badania nad krwią. One zresztą żyły już swoim życiem i rozwijały się w każdym zakątku świata niezależnie od swoich odkrywców. Hirszfeld tymczasem znalazł się na froncie, gdzie prowadził własną wojnę – z kolejnymi epidemiami, które nieustannie wybuchały w okopach, przynosząc więcej ofiar niż bezpośredni ostrzał. Pierwszą, z którą musiał się zmierzyć, była epidemia duru plamistego w Serbii. „Układano stosy trupów w pobliżu szpitala. Były wypadki, że przez pomyłkę kładziono na stosy trupów ludzi nieprzytomnych. Tak wyglądała rzeczywistość wojny i epidemii w Serbii w 1915 r." – notował później.

Nieco więcej pisał o swoim pobycie na Korfu, gdzie trafił w roku następnym: „W Macedonii z początku nie było prawie duru plamistego, cholera wygasła na Korfu, natomiast pojawił się dur brzuszny, w końcu zaś lata i jesienią 1916 r. wybuchła zimnica z niebywałą siłą i tylko dlatego nie złamała frontu bałkańskiego, że po jego drugiej stronie wojska austriackie nie mniej od niej wycierpiały. Wkrótce wyhodowałem zarazki paratyfusu A, nieznane prawie w Europie przed wojną, które przeszły najpewniej z wojskami hinduskimi, zalały na pewien czas Europę i zniknęły z niewiadomych przyczyn".

W trakcie leczenia niezliczonej ilości chorych Hirszfeld nie zaniedbywał jednak pracy laboratoryjnej. Była to zresztą konieczność – na wiele z tych chorób brakowało lekarstw, trzeba było je więc stworzyć. I tu udało się Hirszfeldowi odnotować spore sukcesy.

„Wykryłem też nowy zarazek, który nazwałem paratyfusem C. Zawiadomiłem o tym sztaby generalne aliantów

pismem poufnym, nie ogłosiłem tego od razu, tak błahe wydawało mi się wykrycie nowego zarazka wobec dziejowej burzy [...] Ten typ Anglicy nazwali moim nazwiskiem; okazało się później, że gra on dużą rolę w epidemiologii Wschodu".

Koniec wojny zastał Hirszfelda na Bałkanach. Wspominając go, pisze o „szale radości, który ogarnął wszystkich", o „łzach" i „rwaniu się serca do ojczyzny". Tkwiła w tej radości spora zadra, jaką odczuwali pewnie wszyscy, którzy przeżyli tamtą wojnę. Hirszfeld nie ukrywał przerażenia ujawnioną na niej stroną ludzkiej

W 1912 r. w Heidelbergu odkryte zostały podstawy nauki o grupach krwi. „Nazywamy grupę, której krwinki nie zlepiają się z żadną surowicą ludzką – grupą 0, grupę częstszą w Heidelbergu – grupą A, grupę rzadszą – B. Grupa 0 ma oznaczać brak cechy A i B" – wspominał Ludwik Hirszfeld

eprasa.pl 7c2c025ac3

Biegli sądowi profesor Ludwik Hirszfeld i profesor Jan Olbrycht na procesie Rity Gorgonowej przed Sądem Okręgowym w Krakowie

natury. „Umysł ludzki zdał egzamin tylko jako twórca narzędzi zbrodni. Jako realizator etyki współżycia człowiek okazał się niższy od troglodytów. Spotkałem po wojnie Murzyna, który wracał do Afryki. Mówił, że wraca, gdyż nie może znieść dzikości Europy. W Afryce przynajmniej mnie zjadają, gdy zabiją; tu zabijają dla przyjemności" – wspominał. I w 1919 r., po raz pierwszy od kilkunastu lat, wrócił do wolnej już Polski.

Wszystko wskazywało, że czeka go tutaj spokojne, ułożone życie. Był już wówczas naukowcem o światowej renomie, bez żadnych problemów znalazł więc w Warszawie odpowiednią dla siebie pracę – współtworzył Państwowy Instytut Higieny i kierował nim. Kontynuował też działalność naukową i dydaktyczną – habilitował się po raz drugi na Uniwersytecie Warszawskim, a na początku lat 30. XX w. został jego profesorem. Nieco wcześniej został dyrektorem Państwowego Zakładu Badania Surowic. Jednocześnie rosła jego renoma na świecie. Jak wspominał: „W związku z moją działalnością rozwijały się niejednokrotnie ciekawe prace i spostrzeżenia. Muszę wymienić przede wszystkim ekspertyzy sądowe w związku z grupami krwi. Metodę dochodzenia ojcostwa, którą odkryłem z Dungernem, wprowadzono w tym czasie w większości państw europejskich i pozaeuropejskich, jako metodę obowiązkową w dochodzeniach tego typu. W Polsce, być może w związku z kodeksem Napoleona, który zabraniał dochodzenia ojcostwa, metoda ta nie była tak popularna jak za granicą, ale mimo to przeszły przez moje ręce setki tych spraw".

Niebezpieczeństwo hitleryzmu obserwował na własne oczy, wiele podróżując, a zwłaszcza utrzymując intensywne kontakty z ośrodkami naukowymi, również w Niemczech. Ale też w Polsce obserwował pojawianie się ruchów radykalnych, nie znalazł jednak powodu, by opuszczać kraj. Był w nim, kiedy 1 września 1939 r. wojska Wehrmachtu przekroczyły granicę z Polską. Obserwował czarny poniedziałek 25 września, kiedy niemieckie samoloty zrzuciły na miasto 630 ton bomb. „Ciemno było od dymu, domy chwiały się i waliły. Ludzie jak w obłędzie biegli od domu do domu, ze schronu do schronu. Na ulicach zabici, ranni; konie obok ludzi. Tak chyba wyglądać będzie koniec świata" – zanotował cztery lata później.

Jesienią 1940 r. został zmuszony do osiedlenia się w warszawskim getcie.

SAMOTNOŚĆ W GETCIE

Osobistym dramatem Hirszfelda, rozgrywającym się równolegle do Holokaustu i samej II wojny światowej, było to, że Niemcy wykorzystali jego teorię grup krwi przy naukowym uzasadnianiu rasizmu. We wspomnieniach, które spisywał jeszcze w trakcie wojny, w 1943 r., wyraźnie wyczuwa się ton przygnębienia i rezygnacji, choć inna sprawa, że spotkała go też rodzinna tragedia – śmierć córki. „Samotni jesteśmy z żoną" – przyznawał się pamiętnikowi. O stopniu, w jakim gardził faszyzmem, sporo mówi to, że gdy był już osadzony w getcie i został wezwany przez okupacyjne władze stolicy, które zaproponowały mu uwolnienie, a nawet pracę – bez wahania odmówił.

W samym getcie widział rzeczy straszne. Jak pisał: „Tłum obdarty do ostateczności: widzi się ludzi w łachmanach, nawet bez koszul. Na ulicach setki handlujących, głównie kobiet i dzieci. Sprzedają wszystko: guziki, nici, stare ubrania, obarzanki, papierosy, jakieś egzotyczne wyroby cukiernicze. Ulica ma swoistą melodię: nieopisany zgiełk i gwar, w którym odróżnić można jednak cieniutkie, zrezygnowane głosy dzieci: »bajgielki sprzedaję, bajgiełki, papierosy, cukier«. Góry błota i śmieci piętrzą się na jezdniach. Od czasu do czasu dziecko w łachmanach wyrywa jakiemuś przechodniowi paczkę i uciekając, pochłania zawartość. Tłum biegnie za nim z przekleństwem. Jeśli je złapie, bije, co nie przeszkadza dziecku kończyć uczty".

A jednak nawet w tak dramatycznych warunkach życie toczyło się dalej. Hirszfeld zajmował się głównie leczeniem chorych, których przybywało z każdym dniem, nielegalnie załatwił szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu – trudno oszacować, jak wielu ludziom ocalił w ten sposób życie. Jednocześnie prowadził wykłady, które – jeśli wierzyć jego wspomnieniom – przyciągały tłumy. Właśnie w getcie warszawskim wykazywał się chyba największą energią w życiu, a trzeba pamiętać, że był już człowiekiem 60-letnim. Złamała go dopiero wspomniana śmierć córki. To właśnie z powodu jej choroby zdecydowali się skorzystać z okazji i uciec z miasta w 1942 r., dosłownie o kilka tygodni wyprzedzając tzw. wielką akcję wysiedleńczą, w której wyniku Niemcy wymordowali kilkaset tysięcy warszawskich Żydów (75 proc. mieszkańców getta).

Hirszfeld przeżył wojnę, ukrywając się w podwarszawskich miejscowościach. Zmarł w 1954 r. we Wrocławiu, gdzie był dziekanem wydziału lekarskiego na uniwersytecie.

fot. NAC

eprasa.pl 7c2c025ac3

WOJCIECH LADA

Pierwsza witamina

Kazimierz Funk rozwiązał sporo problemów świata, odkrywając wpływ pewnych związków chemicznych na zdrowotność organizmu. Ponieważ pierwszy z nich zawierał tzw. grupę aminową, nadał mu nazwę witamina, gdzie „amina" wskazywała na wspomnianą grupę, „wita" zaś pochodziła od łacińskiego słowa vitae – oznaczającego życie

Funk miał koło trzydziestki, kiedy zwrócił uwagę na chorobę beri-beri. Nikt nie znał jej przyczyn. Ni stąd, ni zowąd u pacjenta dochodziło do serii porażeń nerwowych, w cięższym przypadku zaczynał szwankować układ sercowo-naczyniowy – w formie najcięższej, zwanej wymownie „piorunującą", robił to gwałtownie i z zaskakującą siłą. Nie była to choroba masowa, nigdy nie odnotowano żadnej epidemii beri-beri, więc badania nad nią nie wydawały się nigdy palącą potrzebą. A jednak wiek XIX był okresem wyraźnego wzrostu zachorowalności na tzw. choroby niedoboru – rozwikłanie przyczyn choć jednej z nich mogło pomóc w leczeniu również innych.

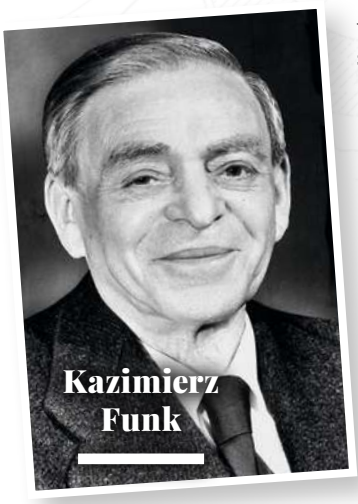
Kazimierz Funk

ŻYWIOŁ LABORATORIUM

Był rok 1912. Funk miał za sobą ukończone gimnazjum w Warszawie, studia biologiczne, a następnie chemiczne w Szwajcarii. W obu kierunkach wyróżniał się, oba też pchnęły go w stronę medycyny, choć temperamentu lekarza nigdy nie miał, jego żywiołem zawsze było laboratorium. Zauważyli to również jego przełożeni. Po zrobieniu doktoratu w 1904 r. podjął pracę w paryskim Instytucie Pasteura, z którym związany był przez wiele kolejnych lat, choć współpracował też z Uniwersytetem Berlińskim, a także z placówkami naukowymi w Wielkiej Brytanii. W 1912 r. niespełna 30-letni Funk był już doskonale znanym w środowiskach naukowych Europy badaczem, choć jego największe odkrycie miało dopiero nastąpić.

Młody naukowiec szybko zdał sobie sprawę, że przyczyna beri-beri tkwi w niedoborze jakiegoś składnika w organizmie. Domyślał się, że może być to element przyswajany z jedzeniem. Jak pisały Małgorzata Staroń i Katarzyna Lachowicz: „Beri-beri stanowiła ogromny problem zdrowotny w rejonach tropikalnych, gdzie podstawą żywienia były oczyszczone produkty bogatoskrobiowe, takie jak ryż, sago czy tapioka. Okazała się być śmiertelną chorobą neurodegeneracyjną, rozprzestrzeniającą się głównie wśród wojska, marynarzy, więźniów, podopiecznych szpitali i przytułków. Dominowała wśród ludności dużych miast i rejonów portowych, czyli wszędzie tam, gdzie podstawą żywienia był oczyszczony ryż".

To właśnie skłoniło Funka do podjęcia badań nad otrębami ryżowymi. Wkrótce udało mu się wyodrębnić z nich związek chemiczny, któremu nadał nazwę witamina (vita – życie, amina – związek z tzw. grupą aminową). Dalsze badania potwierdziły występowanie tego związku w innych pokarmach i w ten sposób w 1912 r. za pośrednictwem specjalistycznego czasopisma „The Journal Of State Medicine" świat dowiedział się o pierwszej witaminie – B_1.

Najszczęśliwsi byli chorzy na beri-beri, u których, jak się okazało, nawet niewielka dawka nowego związku niemal natychmiast cofała większość zmian. Ale wkrótce kolejne wydzielane witaminy całkowicie zmieniły zdrowotność całej populacji świata. Sam Funk ustalił zależność między brakiem witamin a takimi chorobami jak szkorbut czy krzywica, ale rozpoczęte przez niego badania toczyły się już swoim torem, doprowadzając do dzisiejszego stanu wiedzy o witaminach i ich roli w funkcjonowaniu organizmu ludzkiego.

INSULINA DLA KAŻDEGO

Po wybuchu I wojny światowej Kazimierz Funk wyjechał do USA, gdzie kontynuował badania nad leczniczym wykorzystanie witamin – kto wie, czy gdyby nie urodził się kilka lat wcześniej, nie zdążyłby znacznie ograniczyć katastrofalnego żniwa szalejącej pod koniec wojny hiszpanki – wyjątkowo zabójczej grypy, na którą zachorowała 1/3 populacji ówczesnego świata, a na którą zmarło – szacunki są różne – co najmniej kilkadziesiąt, a niektórzy mówią nawet o 100 mln ludzi. To jednak tylko gdybanie.

Międzywojenna Polska przypomniała sobie o jednym z najzdolniejszych swoich obywateli już w 1923 r., kiedy zaproponowano mu środki na dalsze badania, a przy okazji posadę szefa Zakładu Biochemii Państwowego Zakładu Higieny. To właśnie w Polsce podjął intensywne prace nad zastosowaniem insuliny. Dzięki jego staraniom produkcja tego niezbędnego surowca wzrosła z 400 jednostek miesięcznie do 1400 tys., on też pierwszy próbował podawać ją doustnie.

Oprócz tego, że był Funk obywatelem Polski, był też jednak obywatelem świata, a jego badania miały znaczenie globalne. Pod koniec lat 20. XX w. ponownie wyjechał więc do swojego macierzystego Instytutu Pasteura, gdzie zainteresował się funkcjonowaniem hormonów. Dzięki jego badaniom podjęto m.in. produkcję sztucznej adrenaliny.

W 1939 r. Funk ponownie wyemigrował do USA (ponieważ był pochodzenia żydowskiego, obawiał się o swoje losy), gdzie pozostał do końca życia. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej opublikował kompendium wiedzy o witaminach, profilaktyce i leczeniu nimi – „Vitamin and mineral therapy". Później zajmował się głównie badaniem wpływu witamin na choroby nowotworowe. Miało to być może osobiste podłoże – Kazimierz Funk zmarł na raka w 1967 r.

fot. EastNews / AP Photo

eprasa.pl 7c2c025ac3

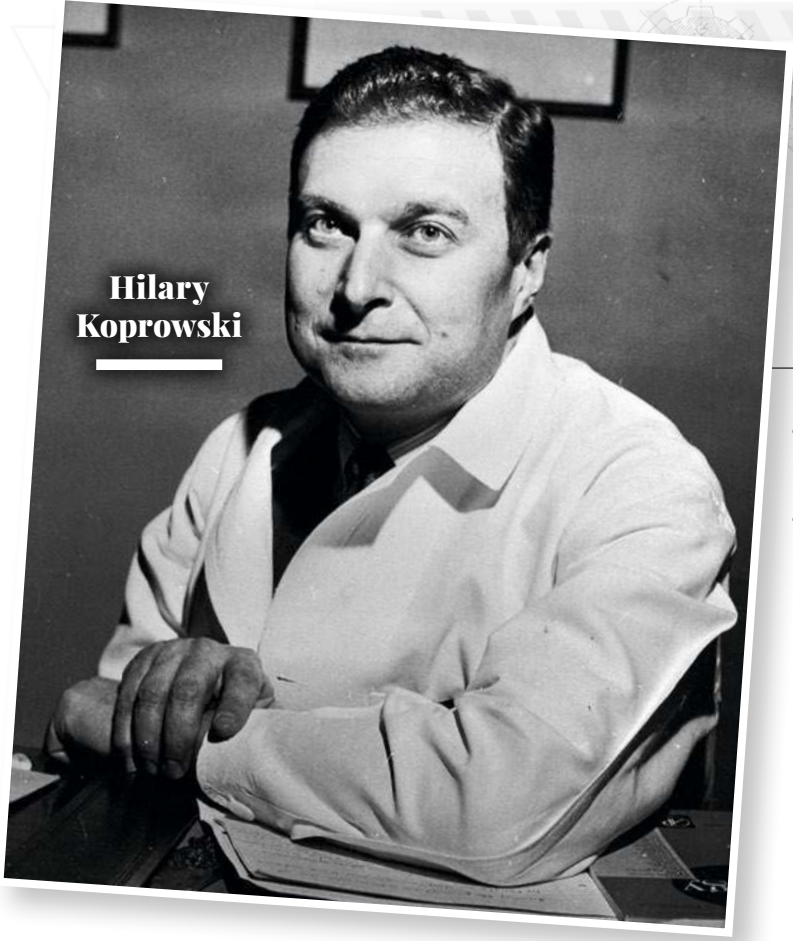

WOJCIECH LADA

Pogromca polio

Hilary Koprowski był człowiekiem o wielkiej charyzmie i wielu talentach. Bardzo uzdolniony muzycznie. Muzyczną pasję porzucił jednak dla walki z wirusem wywołującym chorobę Heinego-Medina. I pokonał go całkowicie

Znano ją już w starożytnym Egipcie – na niektórych malowidłach widać postaci o specyficznie zdeformowanych nogach, które z całą pewnością były efektem zakażenia wirusem polio. W XVIII w. pisano o chorobie jako „osłabieniu kończyn dolnych", a od drugiej połowy XIX w. przyjęła się nazwa choroba Heinego–Medina, od nazwisk dwóch badaczy, którzy pierwsi ją opisali: Jakoba Heinego i Karla Oskara Medina. Przez całe stulecia, a nawet tysiąclecia, występowała sporadycznie. Dopiero początek XX w. przyniósł jej pandemię. Dość wspomnieć, że jeszcze w 1988 r. na chorobę Heinego-Medina zapadało na całym świecie około tysiąca dzieci dziennie, mimo że od blisko 40 lat dostępna była już bardzo skuteczna szczepionka, opracowana w latach 50. XX w. przez Koprowskiego.

UCIECZKA PRZED ZAGŁADĄ

Kiedy się urodził, polio właśnie zaczynało wkraczać w swoją najbardziej drapieżną fazę. W 1916 r. w Warszawie również występowało – młody Koprowski z pewnością miał świadomość istnienia choroby, choć początkowo nie zaprzątała mu ona głowy. Podjął co prawda studia na wydziale medycznym Uniwersytetu Warszawskiego, ale była to raczej próba uzyskania dobrego zawodu niż życiowa pasja. Tę stanowiła raczej muzyka – równolegle studiował w warszawskim konserwatorium, później zaś pogłębiał umiejętności w rzymskiej szkole artystycznej – Akademii św. Cecylii. Koniec lat 30. XX w. w opanowanym przez faszystów Rzymie nie był jednak dobrym czasem dla muzyków, zwłaszcza tych o żydowskich korzeniach.

Wrócił do kraju, ale w Polsce także przeczuwał rosnące zagrożenie. Był człowiekiem niezwykle energicznym – jak wspominali go synowie – nic też dziwnego, że w 1939 r., niemal w ostatniej chwili zdecydował się na opuszczenie ojczyzny, a później także Europy, i osiedlenie się w USA. Tam właśnie w pracowni Thomas Jefferson University w Filadelfii rozpoczął prace nad szczepionką przeciwko polio.

OSZAŁAMIAJĄCY SUKCES

Próby zajęły mu wiele lat. Pracując na szczurach bawełnianych, wszczepiając kolejnym osobnikom coraz bardziej osłabionego wirusa polio, osiągnął wreszcie tak słabego, że można było opracować szczepionkę. Sukces był oszałamiający. Masowe szczepienia podjęte jeszcze w latach 50. niemal natychmiast całkowicie zlikwidowały zagrożenie chorobą w państwach Zachodu, w krajach uboższych trwało to dłużej, bo obowiązkowe szczepienia wprowadzone zostały tam dopiero w latach 70. i 80. Polska należała do tych, w których zlikwidowano ją w pierwszej fali. Jak wspominał mikrobiolog prof. Marek Niemiałtowski: „W Polsce po okresie wojennym to była zmora. Można powiedzieć, że polskie dzieci w latach 60. i później zostały uratowane dzięki szczepionce profesora Koprowskiego, która skutecznie zniszczyła tę chorobę w naszym kraju". Profesorowi chodziło nie tylko o to, że Koprowski szczepionkę wynalazł, lecz również, że dostarczył do Polski bezpłatnie 9 mln jej próbek. Skutek był natychmiastowy. Począwszy od jesieni 1959 r. do maja roku następnego. I jeśli w 1959 r. liczba chorych przekraczała jeszcze 1 tys., to trzy lata później odnotowano zaledwie 30 przypadków. Niemal zlikwidowano też umieralność chorych – spadła ona z kilku setek rocznie do dwóch.

Koprowski dożył wyeliminowania polio praktycznie na całym świecie. Zmarł w kwietniu 2013 r. Do końca pozostawał aktywnym naukowcem. Opublikował blisko tysiąc rozpraw, kierował też Instytutem Biotechnologii i Zaawansowanej Medycyny Molekularnej na filadelfijskim uniwersytecie. Nigdy nie stracił też kontaktów z Polską. Był członkiem Polskiej Akademii Nauk, założył też Fundację Koprowskich, mającą wspierać finansowo polskich badaczy.

fot. EastNews / AP Photo/File

25/0418/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

NOWE PALIWO

efecta

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

- żywotność
- wydajność

efecta DIESEL

efecta 95

Dowiedz się więcej na **dlakierowcow.orlen.pl**

ORLEN

eprasa.pl 7c2c025ac3

Gotowa na najlepsze

*W „Kamerdynerze" Filipa Bajona zagrała rolę marzenie. Dzięki niej **Marianna Zydek** będzie jedną z gwiazd 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, który rozpoczął się właśnie w Gdyni*

Fot. Kamil Piklikiewicz/East News

eprasa.pl 7c2c025ac3

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Marcin Makowski

Marianna Zydek i Sebastian Fabijański na planie „Kamerdynera"

Urodziła się w Gdańsku, ale też parę lat spędziła na kaszubskiej wsi. Kaszubką nie jest i z dzieciństwa zapamiętała raptem kilka kaszubskich słów, ale zagrała główną kobiecą rolę w filmie pokazującym ważny wycinek historii północnych Kaszub. Jej bohaterka jest jedną z kluczowych postaci w fabule, w której na wiele lat rozpisane zostały losy przedstawicieli trzech nacji: Niemców, Kaszubów i Polaków zamieszkujących dawne polsko-niemieckie pogranicze.

TRZY LATA, TRZY DEKADY

Grana przez nią pruska arystokratka przeżywa na ekranie uniesienia młodości i dojrzałość naznaczoną przez kolejne dramatyczne zawirowania historii. W pierwszej scenie z udziałem aktorki Marita von Krauss ma lat 18, w finałowej – 47. Trzy dekady to szmat czasu. I wiele wyzwań.

Marianna Zydek, tegoroczna absolwentka łódzkiej Filmówki, w grudniu skończy 25 lat. Na początku zawodowej kariery dostała, jak mówi, rolę marzenie. W wielkiej produkcji, w kostiumie, pod czujnym okiem wytrawnego reżysera i u boku aktorskich znakomitości (w obsadzie znaleźli się m.in. Janusz Gajos, Anna Radwan, Adam Woronowicz, Daniel Olbrychski, Sławomir Orzechowski). Przede wszystkim jednak miała możliwość wejścia w rozgrywające się przez wiele lat ekranowe życie swojej postaci. To niezwykła szansa i niełatwa próba, zwłaszcza dla kogoś na początku aktorskiej drogi. Nawet jeśli – jak w przypadku Marianny Zydek – ma już parę znaczących tytułów na koncie.

„SKAZANA" NA HISTORIĘ

Trzy lata temu trafiła do serialu „Skazane", w którym gwiazdami były Olga Bołądź, Beata Ścibakówna i Monika Krzywkowska. W jej ojca wcielał się Sławomir Orzechowski. W tym samym 2015 r. za sprawą Filipa Bajona znalazła się w gwiazdorskiej, kinowej obsadzie „Pań Dulskich". Jako służąca Gabrysia spotkała przed kamerami m.in. Krystynę Jandę, Katarzynę Figurę, Maję Ostaszewską, Władysława Kowalskiego i Olgierda Łukaszewicza. Niedługo po tej premierze rozpoczęły się przygotowania do filmu „Kamerdyner", w którym dostała propozycję głównej roli kobiecej.

Zdjęcia realizowano z przerwami. Po najdłuższej, półtorarocznej, Marianna Zydek weszła na plan jako 45-letnia bohaterka, kobieta z bagażem trudnych przeżyć. By w ten jeden, finalny dzień móc w pełnym wymiarze pokazać Maritę, musiała, jak mówi, „od pierwszego klapsa, po ostatni, nosić jej postać w sobie".

Tymczasem przerwy na planie „Kamerdynera" wypełniała (poza zajęciami na studiach) udziałem w innych produkcjach. Pojawiła się w ciekawym formalnie serialu „Ultraviolet" i dyplomowym obrazie studentów Filmówki – „Soyer" w reżyserii Łukasza Barczyka. Oba projekty zrealizowane zostały we współczesnej scenerii. Chwilę później, na planie „Korony królów", przeniosła się w średniowieczne realia. Tu wcieliła się w Małgorzatę, córkę Bożeny Tęczyńskiej.

Teraz jej charakterystyczna twarz z wielkimi niebieskimi oczami (wypełniająca plakaty autorstwa Andrzeja Pągowskiego, który – jak się okazało na planie – jest krewnym aktorki) będzie się kojarzyć z inną epoką. A także wpisanym w burzliwą historię romansem pruskiej arystokratki i kaszubskiego chłopaka (granego z ogromnym oddaniem, wrażliwością i ambicją przez Sebastiana Fabijańskiego).

KOMU ZŁOTE LWY

Wciąż „będąc młodą aktorką", Marianna Zydek potrafi już z dystansem podchodzić do amplitudy zawodu, który wybrała. Podkreśla, że nie oczekuje zbyt wiele, ale jest gotowa na najlepsze.

Czy „Kamerdyner", który zainaugurował tegoroczny festiwal w Gdyni, otworzy jej szerzej drzwi do kariery? A może przyniesie aktorską nagrodę? W końcu to główna kobieca rola w imponującej i ważnej produkcji.

Film Filipa Bajona staje w tym roku do walki o Złote Lwy. Jego rywalami w głównym konkursie jest aż 15 tytułów: „7 uczuć" Marka Koterskiego, „Autsajder" Adama Sikory, „Dziura w głowie" Piotra Subbotki, „Eter" Krzysztofa Zanussiego, „Jak pies z kotem" Janusza Kondratiuka, „Kler" Wojciecha Smarzowskiego, „Krew Boga" Bartosza Konopki, „Pewnego razu w listopadzie" Andrzeja Jakimowskiego, „Twarz" Małgorzaty Szumowskiej, „Wilkołak" Adriana Panka, „Zimna wojna" Pawła Pawlikowskiego, „Fuga" Agnieszki Smoczyńskiej, „Juliusz" Aleksandra Pietrzaka, „Ułaskawienie" Jana Jakuba Kolskiego, „Zabawa, zabawa" Kingi Dębskiej.

„Kamerdyner" wchodzi do kin 21 września. Dzień później odbędzie się finałowa gala 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych.

eprasa.pl 7c2c025ac3

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Krakowskie emancypantki w akcji

Kiedy coś powstaje w telewizji publicznej, ma małe szanse na zadowolenie „Gazety Wyborczej". Można jeszcze zrozumieć hałaśliwą kampanię przeciw serialowi „Korona królów", bo sam prezes TVP trochę ją sprowokował porównaniami do „Gry o tron". Choć jego wady zostały mocno wyolbrzymione.

„Wyborcza" jednak jest na przykład wciąż niezadowolona z Teatru Telewizji. Dobrze jeszcze, gdy pisze o nim zdawkowo. Ale już przeczołganie świetnego spektaklu „Spiskowcy" Jana Englerta było przykładem kierowania się wszystkim pozamerytoryczną oceną.

I nagle cud! TVP ma swój ukochany serial, „Drogi do wolności", podobno najdroższy w historii tej instytucji. Jego eksponowanie ma także sens ideowy, bo to jedna z produkcji na 100-lecie niepodległości. Zdawać by się mogło, że nie ma lepszej okazji, aby zdystansowana wobec patriotycznych emocji, a jeszcze bardziej wobec ekipy Kurskiego redakcja z Czerskiej uderzyła, wyśmiała, przekłuła balonik.

A tu nie, w „Gazecie Telewizyjnej" relacja o serialu obszerna i życzliwa jak o najnowszych produkcjach Netfliksa. Co więcej, zaraz potem mamy wywiad ze Stanisławem Krzemińskim przedstawianym jako autor pomysłu na całość, na dokładkę pisarzem, według którego powieści to wszystko jest kręcone.

Może to ów pan Krzemiński jest kluczem do łagodności ocen, a może decyzja gazety o zmianie wizerunku? Zamiar ogrzania się w blasku rocznicowego cyklu, który w końcu może zdobyć popularność? Interesy? Nie wiem.

Wiem, że tym razem to ja jestem sceptyczny. Akceptuję zamysł, aby o historii Polski międzywojennej, a może i powojennej, opowiadać nam przez zmiany obyczajowe. I poprzez losy kobiet szukających emancypacji w różnych sensach tego słowa. Tylko że czytam, jakie to trzy siostry Biernackie są odmienne i ciekawe, ale po drugim odcinku wciąż ledwie je rozróżniam.

Reżyser Marek Migas postawił na ogół na mniej znanych aktorów i już ta decyzja jest ryzykowna. Wszelkie seriale, a takie sagi rodzinne zwłaszcza, opierają się na przywiązaniu do bohaterów. Żeby to nastąpiło, oni szybko muszą nas przyciągnąć charyzmą. Także ci, którzy grają postaci absolutnie niecharyzmatyczne.

Ale gra tam na przykład Adrian Zaremba, który dał się zapamiętać ze świetnych ról w „Wołyniu" czy w „Bitwie o Anglię". Tu jest na razie przystojnym młodym człowiekiem, o którym nie da się nic powiedzieć. A charakter postaci, powód, dla którego mamy się bohaterem interesować, powinien być zarysowany niemal od razu, kilkoma kreskami. Rzecz więc chyba w słabości scenariusza. W szeleszczących papierem deklaratywnych dialogach. Niby mamy nawet intrygę na poły sensacyjną. Ktoś się mści, ktoś strzela sobie w głowę, jest nieślubne dziecko. Ale pomijając już fakt, że sporo w tym wątku niejasności, on nie przysparza dreszczy na plecach.

Ba, w serialu udało się obsadzić Annę Polony jako seniorkę rodu. Krzemiński zwrócił uwagę, że cała historia zaczyna się w momencie, kiedy Andrzej Wajda kończył „Z biegiem lat, z biegiem dni". Chyba nie ma bardziej spektakularnego przykładu opowiedzenia historii przez zwykłych ludzi niż uczynienie przez Wajdę jedną z bohaterek sagi pani Dulskiej. Co ja jednak poradzę, że tam wszystko nas porywało – i śmieszność, i straszność, romantyzm uczuć i trywialność obyczajów krakowskiego mieszczaństwa. Tu Kraków ten sam, ale zapał nie.

Aktor, który gra w serialu, przekonuje, że od trzeciego odcinka akcja ruszy raźniej. Z przyjemnością ogłoszę, że się udało, bo wyzwanie tego warte. Czekam.

Piotr Zaremba

Teatr i kino są częściowo opanowane przez filistrów i drobnomieszczan – ludzi bojących się głośno mówić. Mamy do czynienia z dziecinnym eskapizmem

*Z **Wojciechem Tomczykiem**, dramaturgiem, scenarzystą, producentem i krytykiem filmowym, rozmawia Piotr Zaremba*

Teatr to nie jest miejsce dla tchórzy

Fot. Proniczyk/AKPA

Opłaca się w Polsce być dramaturgiem?

Wojciech Tomczyk: Nie jestem dramaturgiem, czyli facetem, który montuje kolaże – scenariusze wyrobów teatropodobnych. Jestem dramatopisarzem, czyli piszę sztuki teatralne. Dla teatru, a ostatnio już właściwie tylko dla Teatru Telewizji. To się nie opłaca. Ale pieniądze nie są w życiu najważniejsze.

Pański „Marszałek" miał prawie milion widzów. Trudno tu mówić o braku kontaktu z publicznością. Na festiwalu Dwa Teatry w Sopocie Mariusz Bonaszewski, który grał tam Piłsudskiego, rzucił w pana kierunku: „Panie Wojtku, dobrze mi się mówiło pana tekstem".

Dyrektorzy teatrów nie objawiają jednak zainteresowania moją twórczością. Pozostaje Teatr Telewizji, skądinąd mający duży zasięg.

„Teologia Polityczna" chce wydać cztery pana kluczowe sztuki, prowadzona jest w tej intencji zbiórka. Jaki był klucz ich doboru?

To są cztery sztuki o polskim losie ostatnich kilkudziesięciu lat. Najszerzej pojęta współczesność, częściowo utrwalona w mojej pamięci, częściowo mojej rodziny, poprzednich pokoleń. Między latami 30., kiedy rozgrywa się akcja „Marszałka", a drugą dekadą XXI w., kiedy być może dzieje się „Bezkrólewie".

Zacznijmy od „Marszałka" nagrodzonego w Sopocie. Moje pierwsze wrażenie było takie: Piłsudski jest w niej pokazany jako człowiek widzący przyszłość międzynarodową dalej niż inni. Ale ktoś mi powiedział, że to opowieść o przywódcy, który boi się zaryzykować, bo może stracić to, co ma, choćby miejsce w historii.

Ona otwiera różne możliwości interpretacyjne, bo w trakcie pisania trzymałem się blisko faktów. To, że Piłsudski nie jest postacią jednoznaczną, nie jest moim odkryciem. To prawda, on przewidywał rozwój sytuacji w Europie kilka ruchów naprzód. To, że nie miał godnych następców, również jest faktem. Co więcej, odsunął w ostatnich latach życia od nawy państwowej kilka osób o dużym potencjale. I prawdą jest też,

eprasa.pl 7c2c025ac3

że dbał o swój pośmiertny wizerunek. Później jego kult był zresztą źródłem otuchy dla pokoleń Polaków.

Czy przesłaniem „Marszałka" ma być wezwanie do Polaków, żeby się obudzili i pilnowali swego miejsca w Europie? A może to opowieść o tym, że upilnować się tego miejsca nie da? Piłsudskiemu nie udaje się zainteresować sojusznika pomysłem na wojnę prewencyjną?

Wolę pobudkę, przestrogę niż czarny pesymizm i namowę do rezygnacji. W Polsce do niedawna był modny pomysł rezygnacji z obrony własnych interesów. Zgodnie z sugestią byłego prezydenta Chiraca korzystaliśmy z szansy, aby siedzieć cicho. Jadwiga Staniszkis powiedziała kiedyś trafnie, że Polacy chcą być delikatnie okupowani przez Unię Europejską. Potem nastąpiła reakcja w drugą stronę. Zobaczyliśmy, że także w Unii silni biją się o swoje ponad głowami słabych, a słabi jeśli się nie odzywają, tracą na tym. I w takich okolicznościach wracamy pamięcią do polityków podmiotowych. Tych, którzy realizowali i rozumieli polski interes narodowy. Moja sztuka kończy się smutno, klęską w roku 1939, chociaż ta scena w przedstawieniu telewizyjnym akurat wypadła. Napisałem to po to, aby nasza trzecia niepodległość mogła trwać trochę dłużej.

Podobno w „Marszałku" korzysta pan z doświadczenia własnej rodziny. Ogrodnik z Belwederu, grany przez Stefana Pawłowskiego, to pański dziadek?

Dziadek pracował rzeczywiście jako ogrodnik m.in. w Belwederze. Skądinąd w jego domu nie było kultu Piłsudskiego, głównie z powodu traumatycznych doświadczeń mojej babci z czasów zamachu majowego. Ale dla nich Marszałek był elementem codziennego krajobrazu. Na dokładkę, w dzieciństwie spędzaliśmy z braćmi wakacje u dziadka, który do emerytury pracował w pałacu w Natolinie, więc dla mnie samego realia życia w dworze, pałacu, choćby takim otoczonym miastem, były życiowym doświadczeniem. Mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w Belwederze. Dziadek opowiadał, jak Piłsudski wyglądał, jak się zachowywał. Trudno uwierzyć, ale był człowiekiem właściwie niepozornym. Zamkniętym w sobie, mówiącym do siebie, trochę wyobcowanym.

Ale rozmowy o historii dziadek z Piłsudskim nie odbył?

Nic mi o tym nie wiadomo. Ale widywał go tak, jak ja widuję księdza proboszcza czy panią z piekarni.

Wpadł pan na pomysł tej sztuki pod wpływem rodzinnych relacji?

Nie, najpierw zainteresowała mnie idea wojny prewencyjnej. Jako student scenopisarstwa dowiedziałem się o niej od holenderskiego doktoranta, który o tym pisał. Wtedy mówiło się o tym raczej w Europie, w Polsce Piłsudski był tematem niecenzuralnym. Myślę, że ta wojna byłaby efektowna: atak kontrtorpedowca „Wicher" na Gdańsk, ostrzał Senatu i budynku policji. Przy czym to były plany z czerwca roku 1932, które połączyłem z późniejszymi propozycjami działań prewencyjnych, już po dojściu do władzy Adolfa Hitlera.

Pan lubi Piłsudskiego jako postać?

Lubię go za skuteczność, choć nie uważam za postać doskonałą.

Kolejna pana sztuka – „Norymberga" – w 2006 r. została mocno zauważona. Równocześnie wystawiono ją w Teatrze Narodowym i – w gwiazdorskiej obsadzie – w Teatrze Telewizji.

W 2006 r. może bardziej realne stało się jej wystawienie w Teatrze Telewizji. Wcześniej w TVP rządzili komuniści. Wtedy pojawiła się w telewizji szansa realizacji sztuk mówiących na serio o tym, czym tu i teraz żyliśmy. Na teatr, jaki istnieje w całym świecie zachodnim, poza Polską. Pewien przedwojenny producent powiedział: na całym świecie będą powstawały poważne filmy czy sztuki teatralne, ale nie w Polsce. Kino i teatr będą zajmowały się komediami małżeńskimi. Za PRL było trochę inaczej, ale to przekleństwo powróciło wraz z upadkiem komuny. O rzeczach poważnych dotyczących całego narodu powstają co najwyżej filmy dokumentalne. Nie ma sztuk rozgrywających się w redakcjach gazet, w gabinetach władzy. Nie ma sztuki o transformacji, jest jeden poważny film o Sierpniu '80 – zrealizowany w 1981 „Człowiek z żelaza". Jest jeden film o Smoleńsku.

„Bezkrólewie" to jest też sztuka o naturalnej potrzebie monarchii przejawianej przez Polaków, podobnie zresztą jak przez inne narody. Królem był Józef Piłsudski. Kiedyś rząd dusz sprawowali prymas Wyszyński czy Jan Paweł II. Od lat mamy bezkrólewie

Z czego to się bierze?

Teatr i kino są częściowo opanowane przez filistrów i drobnomieszczan – ludzi bojących się głośno mówić. Mamy do czynienia z dziecinnym eskapizmem. Filmy o polskiej historii kręcą Niemcy czy Anglicy. Polskie teatry grają odważne sztuki obyczajowe sprzed lat. Na palcach jednej ręki można policzyć ważne dramaty współczesne napisane przez Polaków: „Mrok" Mariusza Bielińskiego, „Generał" Jarosława Jakubowskiego czy wspaniałe „Między nami dobrze jest" Doroty Masłowskiej.

„Norymbergę" potraktowano jednak poważnie. Choć do więzienia po jej wystawieniu żadnego komunisty nie zamknięto, a główny bohater, pułkownik wywiadu, chciał być ukarany.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Paradoksalnie ta moja sztuka przyczyniła się do swoistego katharsis, oczyszczenia. Trochę wbrew moim intencjom, bo ja ją zacząłem pisać z gniewu, ze zniecierpliwienia. Oburzała mnie sytuacja, kiedy narratorami historii PRL stali się oprawcy. Między innymi ze względu na ich rażącą niekompetencję. Oglądałem kiedyś w telewizji kogoś z kontrwywiadu, kto opowiada o Kuklińskim i jest traktowany jak wyrocznia. A ja myślę sobie: ten gamoń nic nie wie o Kuklińskim. Gdyby on o nim wiedział, my byśmy nigdy o nim się nie dowiedzieli. Kto zaprosił kłamcę do mojego domu?

A skąd pomysł na sztukę „Wampir"? Do dziś telewizje pokazują czasami film „Anna i wampir", nakręcony na podstawie milicyjnej wersji zakładającej winę braci Marchwickich jako seryjnych morderców. Pan tę winę podważa.

Nawet w czasach PRL powstawały książki o wybitnych zbrodniarzach. I pamiętam taki pitawal, w którym omówiona jest sprawa Zdzisława Marchwickiego. Uderzyło mnie, że autor nagle zaczął dowodzić, że ci, co kwestionują jego winę, błądzą. Napisał to w latach 80., czyli 10 lat po procesie. Trochę wcześniej poznałem pułkownika Józefa M. – w takich okolicznościach, że on mnie przesłuchiwał, bo poskarżyłem się na pobicie przez milicję. To był notoryczny konsultant filmów milicyjnych. Pułkownik M. strasznie rozdarł na mnie paszczę. Ja sobie z niego drwię, a tymczasem to on opracował strategię ujęcia wampira z Zagłębia. Wtedy zrozumiałem, że ten człowiek nikogo nie złapał. A już w czasach wolności przeczytałem książkę Stanisława Mancewicza i Roberta Makłowicza „Zjeść Kraków". Tam się pojawiła informacja, że wielu ludzi kwestionuje winę Marchwickich. Byłem przekonany, że jak to doszło już do książki kucharskiej, temat powinien wybuchnąć.

Napisał pan sztukę i co dalej?

W czasie gościnnego występu Teatru Nowego w Zabrzu na deskach Teatru Narodowego miała 12 minut owacji na stojąco. Dostałem Grand Prix na festiwalu Rzeczywistość Przedstawiona po jednym spektaklu. To epicka sztuka, tam występuje dwadzieścia parę postaci. Nie każdy teatr może ją zagrać. W Zabrzu angażowano aktorów z zewnątrz. Realizacja telewizyjna również była udana.

Co nam ten dramat mówi?

Trzeci z braci Marchwickich wyszedł z więzienia. I on głodował, żeby uzyskać rehabilitację braci, doprowadzić do rewizji procesu. To był początek lat 90. Potem w niewyjaśnionych okolicznościach się zabił, spadł ze schodów. A prezes Sądu Najwyższego powiedział, że Polski nie stać na rewizję procesu braci Marchwickich. Pomyślałem, że za nimi nikt się nie ujmie. To nie były świetlane postaci. Ale zostali w majestacie prawa zabici i moralnie zniszczeni. Nawet w filmach lat 90. wciąż wymieniano ich jako zbrodniarzy. Nie można żyć w kłamstwie. Można próbować, ale to nie ma sensu. I kończy się źle.

Fot. Jan Bogacz/TMPSA

Dominika Ostałowska i Janusz Gajos w spektaklu Teatru TV „Norymberga"

Współcześnie mamy też historie niewinnie skazanych.

Pomyłki sądowe zdarzają się wszędzie, prawda. Ale w sprawie Marchwickich nie chodziło o pomyłkę. I nie o pomyłce opowiada moja sztuka. To, co zrobiono z rodziną Marchwickich, nazywa się zupełnie inaczej.

Dochodzimy do „Bezkrólewia" napisanego po Smoleńsku i w związku ze Smoleńskiem. Ta sztuka nie była nigdy wystawiona?

Nie, ma wciąż przed sobą świetlaną przyszłość. Odbyło się tylko czytanie tekstu, do Palladium przyszło masę ludzi, kolejka po bilety sięgała do Pasażu Wiecha. To zabrzmi makabrycznie, ale ja planowałem ten tekst długo przed katastrofą smoleńską. Chciałem opowiedzieć o formacji światowej klasy nygusów. Oni pojawili się w Polsce wieki temu. Występują jako komiwojażerowie nowoczesności, ale w gruncie rzeczy są bajerantami. Niekiedy dochodzą w Polsce do znaczenia. Ale to jest też sztuka o naturalnej potrzebie monarchii przejawianej przez Polaków, podobnie zresztą jak przez inne narody. Królem był Józef Piłsudski. Kiedyś rząd dusz sprawowali prymas Wyszyński czy Jan Paweł II. Od lat mamy bezkrólewie. Próbowałem to opisać.

W „Bezkrólewiu" w trójce przybyszów można rozpoznać konkretnych polityków. Może teatry boją się uczestniczyć w sporze politycznym?

Może. Ale teatr nie jest od tego, żeby się bał. Teatr, który nie ryzykuje, umiera. Prowadzenie teatru nie jest akurat zajęciem dla tchórzy, konformistów czy kunktatorów. A poza tym wszelkie podobieństwo do osób żyjących jest przecież przypadkowe.

Dyrektorzy teatrów może inaczej niż pan widzą hierarchię zagrożeń. Pan by chciał, żeby wystawiali sztukę antyplatformerską?

Mogę mówić o swoich motywacjach. Nie mogłem znieść tego, że jestem przez przywódców państwa traktowany jak niedorozwinięty przygłup. Poza wszystkim rozmawiamy

eprasa.pl 7c2c025ac3

o ludziach, których tragiczna sytuacja kompletnie przerosła. Mnie skądinąd zawsze interesowali ludzie, których nie rozumiałem. Nie potrafię pojąć, jak można aspirować do służby publicznej, nie pojmując, jak wielka jest to odpowiedzialność. Trudno mi zrozumieć, że istnieją ludzie, którzy wyobrażają sobie, że wysokie stanowiska w państwie, związane z nimi przywileje i możliwości są zdobyczą. Tak na marginesie – mam trudność z traktowaniem serio ludzi, którzy po prostu chcą się podobać.

Jest pan krytyczny wobec polskiego teatru. A był pan kiedyś konsultantem literackim w Teatrze Powszechnym, wystawiał pan tam adaptację „Złego" Tyrmanda.

Wtedy praca w tym akurat teatrze była dla mnie powodem do dumy. Teatr Zygmunta Hübnera, miał dla mnie osobiście wielkie znaczenie. Nie tylko dlatego, że mieszkałem kilkaset metrów do niego. W liceum wagarowaliśmy, aby odstać kilka godzin w kolejce po bilety do Powszechnego. Ówczesny dyrektor Jan Buchwald, uczeń Hübnera i reżyser „Złego", doskonale rozumiał źródła sukcesu teatru swego mistrza. Niestety, kilka lat później Teatr Powszechny, jedyny teatr miejski na Pradze, skąd obaj jesteśmy, został poważnie osłabiony. Kilkuset tysiącom ludzi zabrano ich jedyny teatr. Oglądałem tam żenująco złe przedstawienia. Pozbawiono pracy czołowych aktorów. Skutki są fatalne – wystarczy sprawdzić repertuar – w październiku teatr da na trzech scenach niespełna 20 przedstawień. To jest porażka. Przyzwoitym wynikiem byłoby 60–70 przedstawień. Celem istnienia teatru nie jest, wbrew temu, co uważają władze Warszawy, sponsorowanie nieudaczników.

Może decyzję podejmują postaci podobne do tych, które opisuje pan w „Bezkrólewiu".

Może. Idzie to wszystko w złym kierunku. Reżyserami stają się ludzie, którzy robią ten kierunek zaraz po maturze. Oni się mogą nauczyć co najwyżej ustawiania światła. Oczywiście wielkość dawnego teatru wynikała stąd, że szła w nim pracować elita. Elita, która nie miała dokąd pójść. Andrzej Wajda powiedział kiedyś, że gdyby żył w normalnym kraju, nie byłby reżyserem. Kariera polityka czy prawnika nie była pociągająca, przedsiębiorców nie było. Szkoły artystyczne stanowiły azyl.

Teraz mamy więc normalność.

Nie wiem, może. Teatr ma misję komunikacji społecznej. Były przedstawienia, które przeszły nie tylko do historii teatru, lecz historii Polski: „Dziady" Mickiewicza w reżyserii Dejmka, „Mord w katedrze" Elliota w reżyserii Jarockiego. „Kartoteka" Różewicza w reżyserii Wandy Laskowskiej. Ważne były przedstawienia Konrada Swinarskiego czy Andrzeja Wajdy. Teatr był częścią życia intelektualnego, teraz nie jest.

To po co pisać sztuki? Myślał pan o innych formach literackich?

Może rzeczywiście napiszę kiedyś powieść życia, w której wyjaśnię wszystko, jak jest. Myślałem też o stworzeniu Ogólnej Teorii Wszystkiego. Próbowało wielu, nie udało się nikomu. Na razie dramaturgia daje mi fantastyczne możliwości opisywania świata.

> O rzeczach poważnych dotyczących całego narodu powstają co najwyżej filmy dokumentalne. Nie ma sztuk rozgrywających się w redakcjach gazet, w gabinetach władzy. Nie ma sztuki o transformacji, jest jeden poważny film o Sierpniu '80 – zrealizowany w 1981 r. „Człowiek z żelaza". Jest jeden film o Smoleńsku

Rozeszła się wieść, że pisze pan sztukę o Eugeniuszu Kwiatkowskim.

Kwiatkowski jest w niej pretekstem do rozważań o historii Polski. Rzecz się dzieje w wagonie bagażowym jadącym z Gdyni do Krakowa – przypomniałem sobie własne podróże w takich warunkach w czasach PRL. Młody inżynier z budowy Portu Północnego w Gdańsku jedzie do Kwiatkowskiego na początku lat 70. z misją. Oto sam Edward Gierek kazał budowniczym Portu Północnego skonsultować plany budowy z przedwojennym wicepremierem. To akurat jest fakt historyczny. Dla tego bohatera spotkanie z Kwiatkowskim będzie miało nieoczekiwane, przełomowe znaczenie. Już dziś zapraszam...

eprasa.pl 7c2c025ac3

Popiełuszko – ikona „Solidarności”

Milena Kindziuk niewątpliwie jest jedną z największych znawczyń biografii ks. Jerzego Popiełuszki. O kapelanie „Solidarności” napisała kilka książek i dziesiątki tekstów prasowych

GRZEGORZ GÓRNY

Jego osobą zafascynowała się jeszcze, gdy była nastolatką i uczestniczyła w pogrzebie zamordowanego kapłana. Później przez ponad dwie dekady zbierała materiały na jego temat, jeździła po Polsce, rozmawiała ze świadkami, przeczesywała archiwa. Zgromadziła olbrzymią dokumentację dotyczącą wszystkich etapów życia błogosławionego męczennika, począwszy od czasów szkolnych, poprzez naukę w seminarium i służbę w wojsku, a skończywszy na pracy duszpasterskiej (ze szczególnym uwzględnieniem posługi w warszawskim kościele św. Stanisława Kostki, zakończonej brutalnym mordem). Zajmowała ją również kwestia pamięci o zamęczonym kapłanie: dzieje jego pośmiertnego kultu, okoliczności związane z procesem beatyfikacyjnym czy przypadki udokumentowanych i niewytłumaczalnych z naukowego punktu widzenia uzdrowień przypisywanych wstawiennictwu ks. Jerzego.

Podsumowaniem jej wieloletniej pracy stała się licząca 900 stron książka, która właśnie ukazuje się na naszym rynku wydawniczym. Jest to najbardziej obszerna, całościowa biografia ks. Popiełuszki, jaka powstała do tej pory. Zawiera ona wiele niepublikowanych dotychczas tekstów źródłowych, np. fragmenty przesłuchań świadków w procesie beatyfikacyjnym, raporty i szyfrogramy MSW dotyczące kapelana „Solidarności” czy nieznane zapiski ks. Jerzego. Autorka, która swego czasu napisała biografię kard. Józefa Glempa, nakłoniła też ówczesnego prymasa do poruszających wyznań na temat ks. Jerzego.

Czytając książkę Mileny Kindziuk, mamy okazję powrócić do jedynego w swoim rodzaju fenomenu „Solidarności”, który w III RP nie stał się niestety kamieniem węgielnym odrodzonej Polski, lecz okazał się olbrzymim zmarnowanym kapitałem społecznym. Gdybyśmy patrząc na ten wielki wspólnotowy ruch z dzisiejszej perspektywy, gdy w ciągu ostatnich lat skompromitowało się tak wielu ówczesnych bohaterów, mieli wskazać osobę, która najpełniej ucieleśniała w sobie idee „Solidarności”, to z pewnością byłby nią ks. Jerzy.

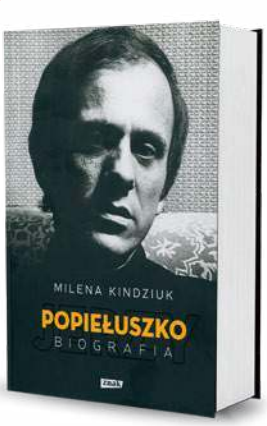

Milena Kindziuk
„Jerzy Popiełuszko. Biografia”,
wydawnictwo Znak, Kraków 2018

W jego mowach można odnaleźć wiele inspirujących i ponadczasowych refleksji dotyczących solidarności jako cnoty społecznej zakorzenionej w chrześcijaństwie. Zarazem potrafił on o tym nie tylko mówić, lecz także praktykować w życiu codziennym.

Jak „Solidarność” była ruchem, który łączył przedstawicieli rozmaitych warstw społecznych, tak ks. Popiełuszko pozostawał łącznikiem między różnymi grupami. Sam wychowany na wsi, znakomicie rozumiał się z chłopami; był duszpasterzem robotników z huty, studentów oraz pracowników służby zdrowia; w parafii św. Stanisława Kostki współpracował zaś blisko z intelektualistami i artystami. Ze wszystkimi potrafił znaleźć wspólny język, a nawet występował jako rozjemca pomiędzy skłóconymi środowiskami opozycji.

Duże wrażenie wywiera lektura ostatniej homilii ks. Jerzego wygłoszona w dniu jego uprowadzenia. Kapłan mówił wówczas m.in.: „Każdy przejaw przemocy dowodzi moralnej niższości. Najwspanialsze i najtrwalsze walki, jakie zna ludzkość, jakie zna historia, to walki ludzkiej myśli; najnędzniejsze i najkrótsze to walki przemocą. Idea, która potrzebuje broni, by się utrzymać, sama obumiera. Idea, która utrzymuje się tylko przy użyciu przemocy, jest wypaczona. Idea, która jest zdolna do życia, podbija sobą; za nią spontanicznie idą miliony. Solidarność dlatego tak szybko zadziwiła świat, że nie walczyła przemocą, ale na kolanach, z różańcem w ręku, przy polowych ołtarzach, upominała się o godność ludzkiej pracy, o godność i szacunek dla człowieka. O te wartości wołała bardziej niż o chleb powszedni”.

Osobny wątek stanowią okoliczności porwania i śmierci kapłana, na których temat istnieją różne i sprzeczne hipotezy. Autorka omawia je pokrótce, lecz za najbardziej prawdopodobną uznaje wersję oficjalną. W tej kwestii jest jednak jeszcze wiele znaków zapytania i sprawa wymaga wyjaśnienia.

27/0818/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki

Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A, innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Wojciech Stanisławski

Sekrety

Czy przypomnienie zapachów i powidoków dzieciństwa wystarczy, by stworzyć trwałe przywiązanie? Czy taki „patriotyzm przysadki" ma przyszłość?

Wydaje się, jakby wszyscy pisali dziś o smakach i zapachach dzieciństwa z pogranicza PRL i niepodległości. Ciekawe, czy sprawiła to niechęć do „polepszaczy", jakimi naszpikowany bywa chleb i współczesność, czy po prostu kontrast między tamtą a współczesną kulturą materialną jest tak uderzający, że pierwszym odruchem zakorzeniających się w dorosłości autorów jest wspominanie kapsli i świetlic, oranżady i miękkich gumek chińskich? Opisywanie migotliwej epoki przełomu lat 80. i 90. stało się już osobnym nurtem: bieg tej rzeki wytyczyła przed dwoma laty swoją „Duchologią polską" Olga Drenda, ale od tego czasu powstał co najmniej tuzin książek opisujących ostatnie dni cywilizacji rosołu i roratów, którą dziś można z trudem odtwarzać czy konserwować, ale 30 lat temu wydawała się oczywistością.

Warto wśród tych książek wyróżnić „Ten kraj" Anny Arno, nawet jeśli najpierw uderzy nas po oczach tytuł, z którego ciężaru autorka chyba nie zdała sobie sprawy. To cykl prozatorskich ćwiczeń z uważności, z odtwarzania wrażeń najdrobniejszych, strzepywanych z pamięci tak, jak strzepywało się z ławki na podłogę, po mozolnym i bezskutecznym wycieraniu krzywo narysowanej kreski, „brudne wiórki wygumkowanego tekstu". Arno dostrzega setki podobnych fenomenów, które umykają grubiej ciosanym nostalgikom, nucącym w unisono o trzepaku i wyrobach czekoladopodobnych. Ania z Zabrza pamięta tymczasem pachnące węglem powietrze, to, że pestki mirabelek nie odchodziły od miąższu, blaszaną sztywność tuby kleju biurowego, który „ładnie chemicznie pachniał, ale na rękach robił się czarny", słyszy postny brzęk aluminiowych chochli i nutę wszystkich tęskniących za przeszłością: kosi gwizd pociągu.

Nie jest to proza niewinna: dwa uczucia, które stale rywalizują w niej o pierwszeństwo, to zachwyt i żal. Autorka nie wyrównała rachunków z małymi dramatami dzieciństwa; można miejscami odnieść wrażenie, jakbyśmy czytali zapis sesji psychoanalitycznej, tyle jest w tej książce wzmianek o własnych niepowodzeniach, o piekącym poczuciu „gorszości", o nieudanych lekcjach tańca, przetartej gumką stronie zeszytu, odrzuceniu podczas przedszkolnych harców. Ten ból jest podawany dyskretnie, czasem chowany w muszli autoironii, czasem w przewrotnej deklaracji „lubię siebie właśnie taką", najczęściej wtrącany niby dyskretnie, jak pojedynczy klawisz bijący wyższą o ton półnutę. Tyle że taki uderzający regularnie, co akapit, metronom obolałości trudno tak naprawdę przeoczyć, Arno zresztą nie chce ukrywać swoich uczuć: nawet na „skrzydełkowym" zdjęciu patrzy ostentacyjnie chmurna, olśniona, ale i oślepiona słońcem.

W konsekwencji czytelnik waha się między współczuciem a irytacją. Wszyscy są bowiem z tego, co ich bolało, każdy niesie blizny i oścień, ale obsesyjne wspominanie małych porażek wydaje się, by sparafrazować klasyka, raczej kamieniem niż kotwicą. Wiele napisano o tym, że literatura rodzi się z doznania osobności, ale zwykle następuje po latach zszycie tego, co rozdarte, pogodzenie się ze światem. Proza Arno jest jak tuż po przejściu nożyc, drgają jeszcze pojedyncze, szarpane ze złością nitki: o, tamta sąsiadka z kokiem powiedziała, że mała Ania nie rośnie!

Mam wrażenie, jakby podobnego rozdwojenia między zachwytem a żalem doświadczała Arno, pisząc o szerszych ramach, w których zmieściły się traktory i kapliczki, lekcje rysunku technicznego i płaskorzeźby Matki Boskiej („wypukłe na zewnątrz, wklęsłe w środku, uprażone w gipsie i glazurowane na kolor piernikowy"), czyli o Tym Kraju, o Polsce. Bo jej wiernie odtwarzane wspomnienia z przedszkola, „sklepu z materiałami", widoku równiny chmurnym śnieżnym rankiem nie dzieją się przecież w bezczasie dzieciństwa: zdarzyły się w Tym Kraju, któremu autorka chce oddać – czy wymierzyć? – sprawiedliwość.

Nie wiem, czy ten zamiar był pomysłem redaktora, który w ten sposób postanowił nadać wspólny mianownik tej kolekcji hiperrealistycznych obrazków. Możliwe, że to ambicja samej autorki, która doświadcza napięcia między dzieciństwem a dorosłością, między dawną perspektywą przybyszki z „gorszej" części Europy a dzisiejszą – obywatelki świata, absolwentki historii sztuki na New York University (inna rzecz, że podśmiewam się przez chwilę z absolwentki, która z lekkością godną znawcy Morina i Rembrandta rzuca frazę „prawie

eprasa.pl 7c2c025ac3

jak kaplica Scrovegnich", a kilka stron dalej popełnia licealny błąd, sądząc, że centralną, niesioną na ramionach postacią „Konstytucji 3 Maja" jest „król Staś w białym kubraku"). Szkicując kraj lat dzieciństwa, stale waha się między gniewem a czułością: opisuje brzydotę jak z satyr Szczerka, reklamy alufelg i topniejący, brudny lód, by po chwili uprzejmie zauważyć, że w innych krajach też bywa ohydnie; z niechęcią godzi się na krępujące ją, ale prawdziwe uczucie przywiązania.

Uwięziona między dwiema płaskimi formułami, między „patriotyzmem straceńczej szarży" a „patriotyzmem sprzątania trawników" Anna Arno szuka trzeciej drogi, którą określiłbym jako „patriotyzm przysadki", patriotyzm pamięci wypełnionej zapachami i powidokami dzieciństwa. Można dworować sobie ze standardowego zestawu obrazów, jak czyni to w rozdziale pod ironicznym tytułem „Jak zrozumieć sztukę mojego kraju", ale okazuje się, że ten poczet oleodruków, na który składają się Matejko, coś z Wyspiańskiego i pejzażyści dwudziestolecia, stanowi – lepszy, gorszy – fundament wspólnej pamięci.

Czy taka formuła może się sprawdzić? Boję się, że okaże się zbyt chłodna i prywatna, by zrodzić przywiązanie czy pragnienie wspólnego działania. Przywołane z pamięci cienkie łańcuszki wotów, strzępy litanii i piosenek przedszkolnych, sypane podczas procesji płatki piwonii, mechanicznie przemieszane i złożone razem za szybką mogą się okazać niczym więcej niż „sekretem": bieda-kolażem, jaki układano dawno temu na podwórkach.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Anna Arno, „Ten kraj", Wydawnictwo Literackie, 2018

Płomienny pamflet na postępowców

Książki Rogera Scrutona zawsze niosły obietnicę nie tylko ogromu wiedzy i przenikliwości wywodów, lecz też umiaru, pogody i niedopowiedzenia, tych cnót literackich wspólnych wielu anglosaskim autorom. Dlatego takim zgrzytem wydaje się polski tytuł najnowszego zbioru jego szkiców, kojarzący się raczej z uniesieniami tabloidów tożsamościowych niż z dziedzictwem Sterne'a i Dickensa.

Zerknijmy na oryginał: „Fools, Frauds and Firebrands: Thinkers of the New Left". Słownikowo wszystko się zgadza, choć „firebrand" mógłby być raczej „podpalaczem" niż „podżegaczem" rodem ze stalinowskiej propagandy; czy jednak naprawdę zadaniem tłumacza jest przekładać rzecz słowo w słowo? Czy nie mógłby raczej przezwyciężyć obawy przed aliteracją, tak okładaną anatemą przez polskich redaktorów, a zapewniającą tyle uroków angielszczyźnie, i oddać zarazem rytm i sens tytułu Scrutona, przekładając go, ot, choćby jako „Franci, figlarze i filistrzy"? Czy do przywiązania do litery „f" nie powinny go skłonić bodaj własne inicjały?

Dworuję sobie trochę, by pokryć żal, że książka, która mogła być kulą ognia, okazuje się zaledwie petardą. Rzeczowa bowiem prezentacja myśli autorów „nowej lewicy" od Derridy po Žižka oraz hipnotyzującego wpływu, jaki wywierają na świat akademicki Zachodu, ukazanie luk czy mielizn ich dorobku jest czymś bardzo potrzebnym. To wyzwanie również ze względu na język ich wywodów, nieprzystępny, ale spójny. Scruton jednak często poprzestaje na wyśmiewaniu jego szarlatanerii, polski zaś czytelnik nie ma pewności, czy cytowane frazy Derridy lub Althussera zawdzięczają swoją zawiłość samym autorom, na ile zaś tłumaczowi, który nie kwapił się, by sięgnąć po często istniejące już polskie przekłady ich pism, dokonane przez filozofów.

Mocną stroną pamfletu Scrutona jest ukazanie podobieństw postawy myślicieli i aktywistów urzeczonych rewolucją, pewnej dyspozycji psychicznej, na którą składa się wyobcowanie z własnej społeczności do granic odrazy, połączone z potrzebą nowej, silniejszej identyfikacji z inną, bodaj wyobrażoną wspólnotą: „proletariatem" czy „obozem tolerancji". Takie doświadczenie ojkofobii opisywali przed laty Miłosz czy Witkacy: Scruton pokazuje, jak doznanie to kierowało losami Hobsbawma i Foucaulta. Nadal jednak czekam na książkę, w której nie tylko dowcipnie skomentuje on retorykę i couture Žižka, lecz dokona jego – czemużby nie? – dogłębnej dekonstrukcji.

Roger Scruton, „Głupcy, oszuści i podżegacze: myśliciele nowej lewicy", tłum. Filip Filipowski, Zysk i S-ka, 2018

eprasa.pl 7c2c025ac3

Kino

Krwiożercza popkultura

To jeden z tych filmów, które się od razu kocha albo których się nienawidzi. Wyrwę się z tej szufladki i napiszę, że ten film po prostu polubiłem, mimo całego natłoku dziwaczności, która początkowo mnie odstraszyła. Jestem fanem Davida Lyncha. Podobała mi się też (jestem chyba w mniejszości) narkotyczna „Wada ukryta" Paula Thomasa Andersona. Już rozumiecie, czym jest „Tajemnica Silver Lake"?

David Robert Mitchell jest autorem jednego z najciekawszych i najbardziej oryginalnych horrorów ostatnich lat „Coś za mną chodzi", gdzie popisał się stylistyczną eklektycznością i umiejętnością żonglowania „pulpowymi" elementami rządzącej nami popkultury. Tutaj zupełnie puszcza lejce.

Sam (Andrew Garfield) to chodzący śmietnik popkultury. Łyka i przeżuwa wszystko, co masowa kultura od dekad nam wkłada na nasze talerze. Jest szczególnie zafiksowany na latach 80. i 90. Gra w Super Mario Bros, słucha od tyłu płyt winylowych, szukając w nich ukrytych znaczeń, kocha komiksy, w tym ten o Spider Manie. Już się uśmiechnęliście, fani Marvela? Tak, Garfield kilka lat temu wcielał się w człowieka pająka. Teraz woli ambitniejszy repertuar, tworząc świetne role u Scorsese („Milczenie") czy Gibsona („Przełęcz ocalonych").

Znika sąsiadka Sama. W tym samym czasie gruba ryba z Hollywood ginie w tajemniczym wypadku. Sam widzi na ulicach zabite psy i szczekających ludzi, a jego ulubiony komiks zaczyna się pokrywać z realnymi wydarzeniami. Sam zamienia się więc w detektywa wyjętego z powieści noir. Skoro tak, to muszą się pojawić na jego drodze mroczni wrogowie, magnetyczne femme fatale i bagno wyjątkowo niełaskawe dla ostatnich sprawiedliwych.

Mitchell bawi się w postmodernistyczne neonoir? Reżyser ma większe ambicje. To opowieść o tym, jak wszyscy jesteśmy porywani przez tsunami popkultury. Jesteś tym, co jesz – mówi mądrość ludowa. My pochłaniamy codziennie zupę masowej rozrywki. Zarówno jej zdrowe i pyszne elementy, jak i rakotwórczy (też niestety pyszny) fast food. Sam jest emanacją tego stanu rzeczy. Jest Dorotką podróżującą po Krainie Oz. Krainie złożonej z mitologii Kurta Cobaina i wymiętego T-shirtu z potworem z bagien.

Permanentna inwigilacja przez korporacje w mediach społecznościowych, zaprogramowane przez nikczemnych bogaczy pranie mózgów milionów odbiorców masowej rozrywki, pragnące blichtru i sławy kobiety zaprzęgnięte w perwersyjne zachcianki hollywoodzkich alfonsów – oto świat ukryty pod srebrnym jeziorem i za srebrnym ekranem. No, ale przecież bad guys są równie przerysowani jak czarne charaktery komiksów! Filmowy protest song? Raczej urwisowska i autoironiczna zabawa formą, przypominająca nam jednak, co dzieje się z konsumentem zombiakiem przesiąkniętym masową kulturą. Ku rozwadze.

„TAJEMNICA SILVER LAKE",
REŻ. DAVID ROBERT MITCHELL,
DYSTR. GUTEK FILM

Blu-ray

Zdumiewająca część sagi

Skoro jesteśmy przy masowej rozrywce, to nie możemy pominąć tej premiery w kinie domowym. Czy komuś udało się uniknąć wiedzy, co się stało na końcu „Avengers. Wojna bez granic"? Pływamy w popkulturowej zupie, więc śmiem w to wątpić. Nie będę jednak spoilerował. Zaznaczam tylko, że nikt jeszcze nie zdecydował się w kinie o superbohaterach na taki twist narracyjny. Ten szokujący finał naznaczył całe uniwersum Marvela, co pokazuje scena po napisach we wciąż obecnym w polskich kinach „Ant-Man i Osa". „Wojna bez granic" miała budżet na poziomie 400 mln dolarów. Wystąpiły w niej prawie wszystkie postacie ciągnącego się od ponad dekady marvelowskiego serialu kinowego, więc same gaże pochłonęły gargantuiczną sumę. Opłaciło się. Film zarobił ponad 2 mld dolarów i jest oszałamiającym widowiskiem. Nie stracił ani autoironicznego poczucia humoru, ani parodystycznych elementów. To po prostu perfekcyjny blockbuster. Wizualnie powala i pomysłowo rozwija całą mitologię Avengers.

„AVENGERS. WOJNA BEZ GRANIC",
REŻ. ANTHONY I JOE RUSSO, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 7c2c025ac3

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Kiczowata głupota

Kino

Ten film byłby nawet zabawny. Gdyby twórcy docisnęli pedał absurdu do samego końca i choćby co 15 minut dali jedno mrugnięcie okiem, to mielibyśmy horror w stylu „Martwego zła" Raimiego. Ba, można nawet było się pokusić o wykwintnie zabawny horror w duchu „Nieustraszonych pogromców wampirów" Romana Polańskiego. Rumunia, mroczne zamczysko i mówiące po angielsku ze wschodnim akcentem demony doskonale się do tego nadają.

„Zakonnica" jest filmem z uniwersum stworzonym przez zdolnego Jamesa Wana, na który składają się dwie części „Obecności" i seria o „Annabelle". Postać zakonnicy opętanej przez demona pojawiała się zarówno w „Annabelle. Narodziny zła", jak i „Obecności". Fani serii wiele sobie obiecywali po osadzonej w 1952 r. w Rumunii opowieści o źródłach zła, kryjących się za potworną zjawą. Wan jest typowym hollywoodzkim rzemieślnikiem, więc w finale bardzo dobrej przecież „Obecności" nie uniknął efekciarstwa i ogranych trików, od których wolne są najlepsze filmy o opętaniu, jak klasyczny „Egzorcysta" Friedkina czy „Egzorcyzmy Emilly Rose" Derricksona. Cóż, „Zakonnica" od pierwszej do ostatniej sekundy wygląda jak najgorsze elementy filmów Wana.

Ten film nie jest tak zły, że aż dobry. On jest tak zły, że tylko salwy śmiechu mogą uratować przed ucieczką z kina. Akcja jest prosta: oto w rumuńskim średniowiecznym zamczysku, będącym teraz opactwem, wiesza się zakonnica. Watykan wysyła mającego twardzielski trzydniowy zarost ojca Burke'a (Demián Bichir) i wyrwaną z nowicjatu siostrę Irene (Taissa Farmiga) o twarzy tak niewinnej, że chce się ją schrupać. No bo ta prawie zakonnica ma czystą i niewinną duszę, więc reżyser musi to dobitnie pokazać za pomocą jej fizyczności.

Wszystko tutaj jest pokazane dobitnie. Gra nastrojem? Ciszą? Półcieniem? A gdzie tam! Twórcy wpadli na inny pomysł. Dajmy najgłośniej dudniącą grozą muzykę, w której rytm kroczy diaboliczna zakonnica, w każdym lustrze pokażmy potwory, które w zupełnie „zaskakujący" sposób przerażą tych good guys. Wokół zamku umieśćmy krzywo stojące krzyże doświetlone z tyłu niebieskim blaskiem! Koniecznie też zróbmy z jednej opętanej zakonnicy zombie, wtrąćmy bohatera do trumny, a przełożona zakonu niech zachowuje się jak hrabia Drakula! Podziurawmy logikę serią z karabinu maszynowego z napisem: „Jestem fatalnym scenarzystą", i dodajmy dialogi, od których bolą nie tylko uszy, lecz nawet nos. Oto przepis na ten film.

Czy są jakiekolwiek plusy? Tak. Z demonem wygrywa się siłą różańcowej modlitwy (choć z pomocą latającego z dubeltówką wieśniaka przystojniaka, pasującego bardziej do parodii „Wampirów" Carpentera), a krzyżowcy ze średniowiecza są ekranowymi herosami. I tyle. Resztę okryjmy ślubami milczenia.

„ZAKONNICA",
REŻ. COLIN HARDY, DYSTR. WARNER BROS

Szkoda czasu

Kino

Nie byłem fanem „Bez litości" z 2014 r. Oparty na kultowym serialu telewizyjnym z lat 80. miał zadatki na znakomity film akcji. Historia byłego agenta CIA, który czyści ulice z szumowin niemal jak Charles Bronson, mimo usilnych prób nie wyszła ponad przeciętność solidnej, ale wtórnej sensacji. Plusem było to, że Denzel Washington znów zbudował wielowarstwową postać człowieka, który zatarł granicę między dobrem a złem. Druga odsłona filmu Antoine'a Fuquy jest pod każdym względem gorsza niż jedynka. Przewidywalną intrygę dopełnia zupełnie niecharyzmatyczny czarny charakter. Brutalne sceny akcji ostatecznie nużą i męczą, choć imponuje fizyczna sprawność 63-letniego Washingtona. Chcecie soczysty film akcji, bazujący na najlepszych tradycjach gatunku z lat 80.? Sięgnijcie po „Johna Wicka", który pokazuje, czym byłby „Bez litości", gdyby miał bardziej pomysłowego reżysera i bezczelnego scenarzystę. Szkoda czasu nawet takiemu koneserowi kina klasy B jak autor tej rubryki.

„BEZ LITOŚCI 2",
REŻ. ANTOINE FUQUA, DYSTR. UIP

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 7c2c025ac3

Moralność pana Durczoka

Nikt perfekcyjniej nie szarga swojego nazwiska jak redaktor Kamil Durczok osobiście

RYSZARD MAKOWSKI

Scenarzyści telenowel muszą zacierać ręce, obserwując przypadki Kamila Durczoka. Wątki gotowce przewijają się tam w przemysłowych ilościach. Emocje budzi swoista odwrotność „Kariery Nikodema Dyzmy". Droga z panteonu dziennikarstwa informacyjnego do symbolu dna moralnego jest niezwykle spektakularna i najeżona smaczkami, choć w tym przypadku raczej niesmaczkami. Do Kamila Durczoka przylgnęły określenia na „m", i nie jest to „M jak miłość", tylko „M jak molestowanie" i „M jak mobbing". Ale cała sprawa gęstnieje w dymie niejasności.

Nie takie przewiny zamiatano pod dywan. Choć w tym przypadku sprawy potoczyły się wręcz błyskawicznie. W lutym 2015 r. tygodnik „Wprost" opublikował dwa artykuły, w których anonimowe dziennikarki stacji TVN oskarżyły Kamila Durczoka o molestowanie seksualne i mobbing. Po tych rewelacjach w TVN powołano wewnętrzną komisję, która potwierdziła, że gwiazda „Faktów" ma niezbadaną mroczną sferę, i z dziennikarzem rozwiązano umowę.

W przestrzeni publicznej zaczęły się pojawiać pikantne dykteryjki opisujące jego niewybredne umizgi. Ponoć proponując swoje usługi seksualne, reklamował się sloganem: „Nie noszę majtek pod jeansami". Jak donoszą media, jednej z kobiet, z którą rozmawiał po raz pierwszy w życiu, powiedział o koleżance tańczącej akurat na parkiecie: „Chętnie bym się wślizgnął pomiędzy jej uda". Cytowane były esemesy o charakterze propozycji erotycznej słane przez Durczoka kobietom nawet w środku nocy.

Kamil Durczok postanowił bronić swojego dobrego imienia i wystąpił na drogę sądową przeciwko tygodnikowi „Wprost". Pozwał dziennikarzy i wydawcę. Zażądał przeprosin i 7 mln zł za naruszenie dóbr osobistych. W tym procesie zasądzono na jego korzyść 150 tys. zł. W innym pozwie wycenił swoje straty wizerunkowe na 2 mln. I tu zaczęła się saga odtrąbień sukcesów przez obie strony. W sierpniu

Fot. Marcin Smulczynski/SE/East News

eprasa.

tego roku tygodnik „Wprost" w artykule „Durczok. Przerwana tama milczenia" obwieszcza, że ostatecznie wygrał proces. Sąd Okręgowy w Warszawie w pisemnym uzasadnieniu wyroku stwierdza: „Zdaniem sądu należy stwierdzić, że z punktu widzenia definicji molestowania zawartej w Kodeksie pracy zachowanie powoda miało znamiona molestowania, wobec czego przytoczone wypowiedzi powoda wpisywały się w kontekst publikacji poświęconych temu problemowi". Wcześniej, 21 maja, Kamil Durczok na Facebooku: „Tygodnik WPROST (rozchodzący się, jak ostatnio gdzieś przeczytałem, w nakładzie dużo niższym niż grupa śledząca ten fanpage) opublikował okładkę z moją twarzą i podpisem: przegrany. Rozumiem, że jak się szoruje po dnie, każdy sposób na podniesienie nakładu jest dobry. Nawet podpieranie się kłamstwem i znaną twarzą".

Wyroki sądowe czy przepychanki gazetowo-portalowe to jedno, ale z całej tej odstręczającej historii wyziera wyjątkowo marna postać głównego bohatera. Kamil Durczok zasłynął niegdyś krótkim filmem, który „wyciekł" z redakcji „Faktów". Ważny pan redaktor najwyraźniej przed wejściem na antenę zwraca się do kogoś per Rurku z pretensjami, że stół przy, którym siedzi, jest, nazwijmy to eufemistycznie, ubrudzony. Dbałość o higienę i czystość jest godna wsparcia, uwagę jednak zwraca to, że Kamil Durczok ordynarnie klnie, ignorując to, że akurat przyszła makijażystka, by poprawić mu urodę. To, że panowie z sobą rozmawiają po męsku, to ich sprawa, ale traktowanie tej kobiety bez najmniejszego szacunku, jak kogoś nic nieznaczącego, wystarczy za wszelkie CV. Nie bez powodu stacja TVN robiła wszystko, aby wycofać ten film z sieci, ale internauci wygrali i obecnie krótki, ale dobitny pokaz niewybrednego chamstwa ma prawie 5 mln wyświetleń.

Symptomatyczne jest też to, że w całej tej sytuacji Kamil Durczok zachowuje się zgodnie z przyśpiewką: „Nic się nie stało, Polacy nic się nie stało". I trzeba przyznać, że nie brakuje mu poczucia humoru. Na Facebooku 20 sierpnia napisał: „Na rozgrzewkę, w poniedziałek, rzucam nieco prowokującą tezę. A może nie jesteśmy wcale takim wspaniałym, szlachetnym narodem, a buractwa jest w nas więcej, niż myślimy...?". Słynne jaja nie do wytrzymania. Chyba trudno znaleźć bardziej wiarygodnego recenzenta naszych cech narodowych.

Zresztą Kamil Durczok ma cały czas ambicje, by oceniać świat i okolice. Założył portal Silesion i z internetowej ambony naucza i wyznacza kanony dobra i zła. Ostatnio via FB zwrócił się w swoim wykwintnym stylu do kolegów z RMF: „Dawni koledzy z RMF – pospadaliście na łby z tego Kopca Kościuszki? Tego was uczył Tyczyński? W imię czego tolerujecie na antenie gościa, który zeszmacił nie tylko swoje nazwisko – to jego problem – ale zawód, który kiedyś uprawiał?". Jeśli ktoś się nie domyśla, o kogo chodzi, to podpowiem, że o Krzysztofa Ziemca.

A teraz chwila dla państwa na porównywanie tych dwóch postaci. Już? Tu nie trzeba chyba nic więcej dodawać. A może trzeba. Nasz wybitny specjalista od czystości stołów studyjnych zwrócił się z odezwą do artystów w tekście „Artyści na ulicę, do cholery!". Co tak poruszyło upadłego redaktora? Oburza go, że dzisiejsi muzycy „spaśli się, wyłysieli, skapcanieli i czeszą kasę w nadbałtyckich wsiach", zamiast rozprawiać się w swoich tekstach z pisowskimi hordami. A nawet: „Dla mamony są w stanie zaśpiewać dla Kurskiego". Najbardziej jednak kuriozalne jest cytowanie w tym tekście lidera Republiki: „Gdzie oni są, ci wszyscy moi przyjaciele...?". Czyli w zasadzie Kamil Durczok wezwał wszystkich artystów w imieniu swojego przyjaciela Grzegorza Ciechowskiego, by się wreszcie rozprawili z PiS.

> Do Kamila Durczoka przylgnęły określenia na M, i nie jest to „M jak miłość", tylko „M jak molestowanie" i „M jak mobbing". Ale cała sprawa gęstnieje w dymie niejasności

Adekwatne określenia do tego typu hucpy nie mieszczą się w ramach gazetowego artykułu. Z jednej strony były prezenter „Faktów" zajmuje się mediami, z drugiej strony też może liczyć na przychylność portali plotkarskich. Plotek informuje, że Kamil Durczok rozstał się ze swoją partnerką. To nie jest żadna ważna wiadomość. Każdy ma jakieś sprawy prywatne. Jednak jej dopełnienie, że nazwisko tej pani zniknęło ze stopki redakcyjnej portalu Silesion.pl, a ze strony usunięto większość jej publikacji, już jest intrygująca. Do tej pory wybranka serca Kamila Durczoka była zastępcą redaktora naczelnego tego portalu, którego notabene on jest właścicielem. Jak widać, łącznie spraw intymnych i zawodowych chronicznie nie wychodzi dziennikarzowi na dobre.

Trudno jest kogoś oceniać w sposób kategoryczny i jednoznaczny. Wiadomo, „life is brutal and full of zasadzkas", ale należy trąbić wszem wobec, gdy ktoś, za kim ciągnie się smuga molestowania i mobbingu, aspiruje do roli mentora, a także autorytatywnego komentatora rzeczywistości. Przykład Kamila Durczoka pokazuje, że od wielkości do małości jest bardzo blisko. Mój dziadek mawiał: „Do sławy, pieniędzy i wódki trzeba mieć mocną głowę".

eprasa.pl 7c2c025ac3

Coś się zepsuło w Bullerbyn

Szwedzcy Demokraci zapowiedzieli, że „zatopią każdy rząd, który nie da im dojść do głosu". Skończyły się równowaga i harmonia, na których opierała się dotąd szwedzka polityka. Antyimigrancka i eurosceptyczna partia uzyskała 17,6 proc. głosów i będzie trzecią siłą w Riksdagu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Nie poznaję mojego kraju. Nie poznaję Szwedów". Tak Lena Wallentheim, do niedawna przewodnicząca rady miasta Hässleholm, skomentowała w niemieckiej prasie korzystne dla antyimigranckich i eurosceptycznych Szwedzkich Demokratów (Sverigedemokraterna, SD) sondaże. Wallentheim należy do Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej (tak brzmi jej pełna nazwa) i wierzy w równość, gender, otwarte granice oraz multikulti. We wszystko to, w co Szwedzi – tak przynajmniej się ostatnio zdaje – wierzyć przestali. „Nastroje w kraju przypominają Amerykę Trumpa" – dodała Wallentheim, wskazując na niezwykle ostrą jak na szwedzkie warunki kampanię wyborczą, oscylującą wokół kwestii migracji i tożsamości.

Hässleholm stanowiło pierwszy krok na drodze do sukcesu Szwedzkich Demokratów Jimmiego Åkessona. W 2014 r. uzyskali tu w wyborach komunalnych aż 22,58 proc. głosów. Trzy lata później za ich pomocą opozycyjna centroprawicowa Partia Umiarkowana (Moderaterna) wyparła z ratusza lewicową koalicję, a wraz z nią Wallentheim, burząc utworzony wokół partii Åkessona kordon sanitarny. Wiceburmistrzem Hässleholm został Patrik Jonsson, lider SD w regionie Skane. Jonsson powiedział wówczas mediom, że liczące 50 tys. mieszkańców miasteczko na południu kraju to „dopiero początek". „Za kilka lat przejmiemy całą Szwecję".

EPOKOWY ZWROT W RIKSDAGU

A sondaże przed wyborami parlamentarnymi 9 września rzeczywiście widziały już w Szwedzkich Demokratach niekwestionowanych zwycięzców – z jedną czwartą głosów mieli tworzyć największą siłę w parlamencie, a nawet w rządzie. Tak się nie stało. Nie zmienia to jednak faktu, że coś się zepsuło w Bullerbyn. To może być koniec trwającej od kilku dekad hegemonii lewicy. Szwedzcy Demokraci uzyskali bowiem 17,6 proc. głosów. To o 5 proc. więcej niż cztery lata temu. W 2010 r. partia z trudem przekroczyła próg wyborczy (5,7 proc.). Dziś ma 62 mandaty w Riksdagu. Ponieważ ani centrolewicowy blok (składający się z Socjaldemokratów, Zielonych i Partii Lewicy), ani centroprawicowy (składający się z Umiarkowanych, Liberałów i Chrześcijańskich Demokratów) nie uzyskał większości, która pozwoliłaby mu rządzić samodzielnie (każdy zdobył ok. 40 proc. głosów), ugrupowanie Åkessona stało się języczkiem u wagi, który może utrudnić uformowanie rządu i wymusić na tradycyjnych partiach realizację choćby części jego postulatów. „Jesteśmy mimo wszystko zwycięzcami tych wyborów. Będziemy mieli wpływ na szwedzką politykę, i to na poważnie" – zadeklarował Åkesson po ogłoszeniu wyniku exit polls.

W Szwecji od dziesięcioleci rządziły zgrane sojusze – blok centrolewicowy na zmianę z blokiem centroprawicowym. Przy czym górą byli przeważnie socjaldemokraci. Sukces SD i patowa sytuacja, w jakiej znalazły się obydwa duże bloki w Riksdagu, postawiły na głowie dotychczasowe koalicje. Jeśli socjaldemokratom premiera Stefana Löfvena nie uda się uformować rządu, byłaby to historyczna porażka dla Lewicy, która dominuje w szwedzkiej polityce od lat 30. ubiegłego wieku. A rozmowy koalicyjne będą raczej trudne.

Oba centrowe bloki wykluczyły już utworzenie „wielkiej koalicji" na wzór niemiecki. Szwecja może mieć więc po wyborach centrolewicowy rząd mniejszościowy, z poparciem Zielonych i Partii Lewicy. Koalicja tych trzech ugrupowań miałaby 144 mandaty w liczącym 349 posłów parlamencie. Lub centroprawicowy z Moderaterna pod wodzą Ulfa Kristerssona na czele. Taki blok już rządził Szwecją w latach 2006–2014. Ale to zakłada wsparcie ze strony Szwedzkich Demokratów, gdyż ich głosy są potrzebne, by taki rząd uzyskał wotum zaufania. A ci domagaliby się za to wpływu na szwedzką politykę. Możliwy jest również wariant, w któ-

eprasa.pl 7c2c025ac3

Lider Szwedzkich Demokratów Jimmie Åkesson

Fot. Anders Wiklund/TT via AP

rym Umiarkowani tworzą rząd samodzielnie z poparciem Szwedzkich Demokratów (taki rząd miałby aż 155 mandatów w parlamencie). Ale Kristersson raczej nie zdecyduje się na taki krok. Lewica w każdym razie grozi mu poważnymi konsekwencjami, gdyby odważył się zburzyć kordon sanitarny wokół partii Åkessona na poziomie narodowym. Ostatni scenariusz to przedterminowe wybory parlamentarne, do których doszłoby w ciągu trzech miesięcy, gdyby nie udało się czterokrotnie uformować rządu.

HUMANITARNE SUPERMOCARSTWO

Rządy mniejszościowe to nic nadzwyczajnego w szwedzkiej polityce. Zdarzały się. I to nieraz. Tyle że wtedy wszystko odbywało się wewnątrz ciasnego gorsetu konsensusu. O kompromis było stosunkowo łatwo. To się teraz zmieniło. A Szwedzcy Demokraci zapowiedzieli, że „zatopią każdy rząd, który nie da im dojść do głosu". Skończyły się równowaga i harmonia, na których opierała się dotąd szwedzka polityka. W kraju rozpoczął się proces, który Amerykanie określają mianem „soul searching", czyli grzebaniem w narodowej duszy.

Dlaczego prawie 20 proc. Szwedów oddało głos na partię pochodzącą „z brunatnego podziemia lat 80. i 90.", chcącą wyprowadzić Szwecję z UE, której członkowie mają na koncie rasistowskie wybryki? Odpowiedź na to pytanie jest wbrew pozorom dość prosta. Dostarczają jej sami Socjaldemokraci, którzy po gorszym niż się spodziewano wyniku Szwedzkich Demokratów przekonują obywateli, że ciągle żyją w jednym z najbogatszych i najbezpieczniejszych krajów Europy, że potrzebna jest tylko drobna korekta – inna polityka integracyjna, więcej policjantów. A Szwecja będzie mogła zachować swój status i ambicję humanitarnego supermocarstwa, który kazał jej od 1975 r. stopniowo przekształcać się w wielokulturowy raj. W końcu przepisy imigracyjne zostały już zaostrzone (wprowadzono dwa lata temu choćby obowiązek nauki języka szwedzkiego dla imigrantów). Można odetchnąć z ulgą. Nic się nie stało. Jeszcze nie. Tyle że to nie do końca prawda.

Wybory bowiem uwidoczniły poważną rysę ciągnącą się przez szwedzkie społeczeństwo. Rysę, która także dotyczy samych imigrantów. Wielu z nich zaangażowało się w kampanię po stronie Szwedzkich Demokratów. Nima Gholam Ali Pour, który przybył z Iranu 30 lat temu do Szwecji, dołączył do Szwedzkich Demokratów, gdy tylko pojawili się na politycznym horyzoncie. Prowadził kampanię w dzielnicy Rosengård w Malmö, gdzie 80 proc. mieszkańców pochodzi z imigracji, a przestępczość bije rekordy.

„Mamy tu w Rosengård dwa rodzaje ludzi. Szwedów i imigrantów. Ci drudzy nie uważają się za Szwedów, nawet jeśli się tu urodzili. To przerażające. Ja dawno przestałem być imigrantem, bo przestałem migrować. Osiadłem tu i jestem Szwedem, a to, co się dzieje w mojej dzielnicy, napawa mnie

eprasa.pl 7c2c025ac3

lękiem" – mówił polityk w rozmowie z portalem EU Observer. Według niego szwedzka kultura musi nie tylko być obecna w imigranckich dzielnicach, lecz również dominować. Inaczej kraj się rozpadnie. A o to jest trudno, gdy 95 proc. uczniów w miejscowych szkołach to dzieci imigrantów.

Malmö to najszybciej rosnące miasto Szwecji pod względem liczby ludności. Zwiększyła się ona o 43 proc. od 1990 r., głównie dzięki imigrantom. Stanowią oni dziś 30 proc. mieszkańców. Rosengård powstało 50 lat temu jako modelowe osiedle. Dziś ucieka z niego każdy, kto może. Na ulicach z równo przystrzyżonymi trawnikami i chodnikami z kostki Bauma arabskie gangi toczą wojnę. W ubiegłym roku ktoś zdetonował ładunek wybuchowy przed miejscowym posterunkiem policji. Rosengård to strefa no-go. Jedna z kilkudziesięciu w Szwecji. Bezrobocie w tych dzielnicach sięga nawet 20 proc. W Trollhättan niegdyś Saab produkował samochody. Dziś fabryki już nie ma. Zamiast tego na przedmieściach w Kronograden samochody podpala imigrancka młodzież. To kolejny, specyficzny problem tego kraju. Szwedzki przemysł jest wysoko wyspecjalizowany i wymaga pracowników o wysokich kwalifikacjach zawodowych, którym migranci nie mogą sprostać.

Na wojny gangów nakładają się dramatyczny wzrost liczby przestępstw na tle seksualnym, ataki nożowników na ulicach i w transporcie publicznym, zamachy terrorystyczne (imigrant z Uzbekistanu wjechał w 2017 r. skradzioną ciężarówką w tłum ludzi w Sztokholmie, zabijając pięć osób), podpalenia ośrodków dla azylantów.

Od 2009 r. Szwecja przyjmowała ponad 100 tys. imigrantów rocznie, co dawało jej pierwsze miejsce pod względem liczby uchodźców na głowę mieszkańca. W roku 2015 napływ obcych do Szwecji osiągnął punkt kulminacyjny. Przyjęto ich wtedy prawie 170 tys. Wielokulturowy raj zamienił się w koszmar.

NEGACJA RZECZYWISTOŚCI

Tyle że o tym nie wolno było głośno mówić. A politycy lewicy zwyczajnie udawali, że problemu nie ma. Tuż przed wyborami parlamentarnymi radny Socjaldemokratów z Malmö Andreas Schönström przekonywał w rozmowie z Euronews, że w mieście przestępczość stale spada, a największym problemem zgłaszanym przez mieszkańców jest „kradzież rowerów". Tymczasem polityk Szwedzkich Demokratów Håkan Ask twierdzi, że gdy odwiedził ostatnio miasto i wysiadł z samochodu w Rosengård, „wokół jego głowy świstały kule". Dostał się w sam środek porachunku gangów.

Ten dysonans pomógł Szwedzkim Demokratom, stał się motorem ich sukcesu. Socjaldemokraci rządzili Malmö przez ostatnie 25 lat. Teraz mogą stracić w nim władzę. Wraz z wyborami parlamentarnymi odbyły się bowiem wybory komunalne i Socjaldemokraci zdobyli w Malmö tylko 29 proc. głosów. To oznacza, że Umiarkowani mogą się połączyć ze Szwedzkimi Demokratami, jak uczynili wcześniej w Hässleholm, i wyprzeć lewicę z ratusza, wraz z burmistrz Katrin Stjernfeldt Jammeh. Rozmowy w sprawie utworzenia prawicowej koalicji już się rozpoczęły. A co jest możliwe na poziomie lokalnym – przekonuje lokalny lider SD Magnus Olsson – „kiedyś będzie także możliwe na poziomie narodowym". Zajmie to tylko trochę więcej czasu.

„Tym razem – zaznacza Olsson – tradycyjnym partiom udało się przejąć część naszej retoryki i propozycji. Oni jednak nic z tego nie wprowadzą w życie, wtedy my wejdziemy do gry" – zaznacza. W Skåne, najbardziej południowym regionie Szwecji, SD zdobyła już większość samorządów. Sondaże także wyraźnie pokazują, że wyborcy centroprawicy chcą, by Umiarkowani Kristerssona rządzili z poparciem Szwedzkich Demokratów i mają im za złe, iż pozwolili Socjaldemokratom rządzić przez ostatnie cztery lata dlatego, że bali się z SD związać.

Od 2009 r. Szwecja przyjmowała ponad 100 tys. imigrantów rocznie, co dawało jej pierwsze miejsce pod względem liczby uchodźców na głowę mieszkańca. W roku 2015 napływ cudzoziemców osiągnął punkt kulminacyjny. Przyjęto ich wtedy prawie 170 tys. Wielokulturowy raj zamienił się w koszmar

Jak pisze Anna Maria Corazza Bildt na łamach „Politico", Szwedzcy Demokraci to dziś „normalna partia, która wiele zrobiła, by zdystansować się od swoich skrajnie prawicowych korzeni". „Wielu porównuje ją do węgierskiego Fideszu czy do PiS Kaczyńskiego" – przekonuje Bildt. Ignorowanie jej i wykluczanie z polityki byłoby zdaniem europosłanki szwedzkiej centroprawicy błędem, który wpędziłby jeszcze więcej wyborców w jej ramiona. Wyborców centroprawicy.

Według niej propozycje złożone przez Szwedzkich Demokratów w czasie kampanii „nie odbiegają od propozycji prawicowych partii w innych krajach europejskich". Obcięcie zasiłków imigrantom, ograniczenie łączenia rodzin, zaostrzenie procedur azylowych czy ograniczenie dostępu do aborcji. Bądź co bądź prawie jeden na pięć głosów w tych wyborach powędrował do partii Åkessona, mimo że oddanie na nią głosu oznaczało pójście na przekór czołowym gazetom i mediom. Aktywni członkowie partii, a przybyło ich przed wyborami, zostali nawet wykluczeni ze związków zawodowych.

Były premier Carl Bildt – podkreśla Anna Maria Corazza Bildt na łamach „Politico" – powiedział, że „żaden przyzwoity Szwed nie głosowałby na tę partię". Prawie 20 proc. szwedzkiego elektoratu zdecydowało, że nie będzie przyzwoite. To nie pozostanie bez skutków.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Fot. Marina Linchevska/Shutterstock.com

To, co się dzieje w USA, bardziej przypomina historie żywcem wzięte z kart Liwiusza, opowiadających o późnych latach Republiki Rzymskiej, aniżeli politykę uprawianą w nowoczesnej i uporządkowanej zachodniej demokracji

Sezon polowań na Trumpa

JAN ROKITA

W środę 5 września dziennik „The New York Times" opublikował list anonimowego autora, informujący o tym, że na szczytach amerykańskiej władzy zawiązała się konspiracja, której celem jest (to prawdziwy cytat, choć wiem, że trudno weń uwierzyć) „udaremnianie szkodliwych działań prezydenta USA, aż do czasu, gdy przestanie on pełnić urząd". Autor listu przekonuje, że konspiracja owa działa już od jakiegoś czasu, oraz określaj ją mianem „cichego ruchu oporu" („quiet resistance"). I tłumaczy, że ów „ruch oporu" zawiązany został przez ludzi „stawiających państwo na pierwszym miejscu", którzy uważają, że Donald Trump to prezydent, który jest „całkowicie amoralny" oraz „ma generalnie antydemokratyczne poglądy". Następnie autor listu tłumaczy, dlaczego spiskowcy zdecydowali się na „cichy ruch oporu", zamiast dążyć do szybkiego usunięcia prezydenta z urzędu. Relacjonuje, że spiskowcy rozważali ucieknięcie się do 25. poprawki do konstytucji USA, ale uznali, iż wywoływanie „kryzysu konstytucyjnego" jest podejmowaniem nadmiernego ryzyka dla państwa.

Warto zdawać sobie sprawę, że 25. poprawka określa procedurę polegającą na złożeniu głowy państwa z urzędu w wyniku przedstawionej Kongresowi wspólnej deklaracji wiceprezydenta i większości ministrów, iż prezydent „nie jest w stanie dalej wykonywać władzy i obowiązków swojego urzędu". Co nie bez znaczenia, spiskowiec odcina się od lewicowych poglądów antytrumpowej opozycji, sugerując, że konspiracja grupuje porządnych republikanów, wiernych starym ideałom prawicy. A za swojego patrona obrała zmarłego niedawno bohatera wojny wietnamskiej senatora Johna McCaina.

eprasa.pl 7c2c025ac3

W POGONI ZA KONSPIRATOREM

Redakcja „Timesa" odmówiła podania nazwiska autora tego „spiskowego manifestu", powołując się na rygorystycznie w Ameryce przestrzeganą tajemnicę dziennikarską. Ale określiła spiskowca mianem „senior administration official", co rozpoczęło falę domysłów, cóż owo określenie mogłoby naprawdę znaczyć. Niektórzy bronią tezy, że musi chodzić tu o ministra, co w amerykańskim porządku ustrojowym oznaczać może albo szefa resortu, albo członka kierowniczego personelu Białego Domu. Z kolei inni dowodzą, że gazety niemal zawsze, powołując się na jakiś przeciek z rządu, jego autorstwo przypisują osobie o politycznej randze „senior official". Tommy Vietor, jeden z kierowników biura prasowego Obamy, żartuje, że ilekroć puszczając jakiś przeciek, wskazywał jego źródło jako „junior official", media i tak dla efektu powagi zmieniały to na „senior official".

W tę dość groteskową medialną zgadywankę, kto by mógł być autorem listu, wdało się z lubością nie tylko wielu dygnitarzy poprzedniej demokratycznej ekipy, lecz również rządzących republikanów. Sporym cynizmem wykazała się tu sama redakcja „Timesa", z jednej strony mówiąc, że zna prawdziwe nazwisko, ale go nie ujawni, z drugiej zaś publikując kolejne artykuły sugerujące, iż za wszelką cenę próbuje rozwikłać łamigłówkę, cóż to może znaczyć: „senior official", oraz który z głównych współpracowników prezydenta mógłby się zdecydować na taki krok (m.in. autorstwa znanego publicysty Matta Flegenheimera).

Na publikację listu konspiratora Trump zareagował w swoim stylu: gniewnie i porywczo. Jego pierwszy tweet zawierał napisane wielkimi literami jedno słowo – „ZDRADA". Potem, miotając obelgi na redakcję „Timesa", zażądał, nie mając żadnych szans na sukces, aby ujawniła ona nazwisko autora listu, ze względu na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Z kolei rzeczniczka Białego Domu oświadczyła: „Ten tchórz powinien postąpić właściwie i odejść z pracy". Zarówno medialna zgadywanka nazwiska spiskowca, jak i pierwsze deklaracje prezydenta oraz jego rzeczniczki utrwaliły przekonanie, że list jest prawdziwy, konspiracja na szczytach władzy istnieje, a „Times" to ujawnił. W efekcie posypały się publiczne, jednobrzmiące zapewnienia bodaj wszystkich ministrów i doradców prezydenta: „To nie ja".

Rzecz jednak w tym, że o ile rzeczywisty sabotaż wobec głowy państwa w jakiejś części administracji jest niewątpliwy, o tyle zarówno ów list, jak i jego publikacja może być przecież niczym innym jak jeszcze jedną prowokacją, mającą na celu osaczenie Trumpa albo nawet zmuszenie go do rezygnacji. Jedno przecież nie budzi wątpliwości – „The New York Times", podobnie jak sporo innych mediów, zwłaszcza ze wschodniego wybrzeża USA, już dawno przestał być gazetą relacjonującą wydarzenia polityczne, a stał się orężem politycznych wrogów obecnej prezydentury, dążących do usunięcia Trumpa z urzędu. Hipoteza, że gazeta wymyśliła cały list albo go co najmniej zainspirowała, jest jednako prawdopodobna jak ta, że naprawdę wyszedł on od jakiegoś urzędnika rządowego, i to niekoniecznie wcale wysokiej rangi. Na aktywną rolę lewicowej redakcji „Timesa" wskazywałoby właśnie to, że autor listu tak gorliwie odcina się od lewicowych inspiracji i poglądów.

WOODWARD I STRACH W BIAŁYM DOMU

Publikacja „spiskowców" zbiegła się (zaiste nie sposób uznać, że przez przypadek) z publikacją dwóch książek, których misją jest dyskredytacja osoby prezydenta. Jedna to „speculative novel" (jak sam nazywa ją autor), mająca postać fikcyjnego raportu komisji Kongresu USA z 2020 r., analizującego przyczyny wojny nuklearnej z Koreą Północną, w której właśnie zginęło 1,5 mln Amerykanów. Autor jest osobą bardzo kompetentną, to Jeffrey Lewis – ceniony ekspert od spraw rozbrojenia. A końcowa teza raportu jest jednoznaczna: katastrofalna wojna wybuchła, ponieważ prezydentem USA był szaleniec.

O ile raport Lewisa nie udaje przynajmniej literatury faktu, o tyle całkiem inaczej jest z drugą książką, której najbardziej drastyczne fragmenty pojawiły się w prasie dokładnie we wtorek, dzień przed publikacją „Timesa". Autorem grubej i stricte politycznej monografii jest jeden z najbardziej znanych amerykańskich dziennikarzy śledczych Bob Woodward z „Washington Post" – gazety także walczącej na śmierć i życie na antytrumpowym froncie. Woodward to jeden z dwóch reporterów, którzy ujawnili pół wieku temu aferę Watergate, doprowadzając w efekcie do dymisji prezydenta Nixona. A o jego ówczesnym dziennikarskim śledztwie napisano książki i nakręcono sławne filmy (np. „Wszyscy ludzie prezydenta", w którym Woodwarda grał sam Redford).

Książka nosi tytuł „Strach" i jest opowieścią złożoną z relacji o kulisach obecnego Białego Domu przez byłych i obecnych współpracowników Trumpa. W ciągu ostatnich dni owe relacje są pożywką dla mediów. O tym, jak doradca zabrał prezydentowi z biurka dokument o nowych cłach, a Trump o nim potem zapomniał. O pomocy okazywanej przez prezydenta kumplom molestującym kobiety. Albo o tym, jak Trumpowi wszystko się już pomyliło i chciał gwałtownie podnieść podatki.

Żadna z tych historii nie jest sama w sobie druzgocąca dla prezydenta (nawet jeśliby przyjąć, że wszystkie one są prawdziwe). To, co istotniejsze od faktów podanych w książce, to sformułowane tam pod nazwiskiem oceny osoby prezydenta. W przeciwieństwie do anonimowego spiskowca z „Timesa", rozmówcy Woodwarda są wymienieni w większości z imienia i nazwiska. I tak szef personelu Białego Domu John Kelly mówi w książce, że prezydent to „idiota", minister obrony James Mattis zaś, że „Trump ma zdolność rozumienia sytuacji w Korei na poziomie pięcio-, sześciolatka". Konkluzja książki jest absolutnie czytelna i zostaje włożona w usta samego Kelly'ego. Brzmi ona tak: „On jest idiotą. Przekonywanie go do czegoś nie ma sensu. Jest szalony. Jesteśmy w domu wariatów" (crazytown).

Na pierwszy rzut oka widać, że to ministrowie dający dziennikarzowi takie opinie na temat prezydenta musieliby bez wątpienia sami być wariatami. Zresztą zarówno Kelly, jak i Mattis ostro zaprzeczają wszystkiemu, zapewniając, że Woodward od początku do końca

eprasa.pl 7c2c025ac3

wymyślił nie tylko ich słowa, lecz również sytuacje, w których miały być wypowiedziane. Zaprzeczają także liczni inni dygnitarze rzekomo zacytowani w książce. Niemniej są dwa powody, które przeciwnikom Trumpa pozwalają stanowczo bronić pełnej wiarogodności książki. Pierwszym jest sława i reputacja dziennikarska Woodwarda, o którym były szef CIA (ale też polityczny wróg Trumpa) Robert Gates mówi, iż chciał go kiedyś zatrudnić w wywiadzie, gdyż „jego zdolność nakłaniania ludzi do mówienia rzeczy, których nie powinni mówić, jest niesamowita i może być nawet wyjątkowa".

Krótko mówiąc – to talent śledczy Woodwarda miałby sprawić, że ministrowie, tracąc zdrowy rozsądek, zaczęli mówić mu naprawdę to, co myślą. Woodward zresztą dezawuuje obecnie ich dementi, twierdząc, że oportunistycznie bronią swoich posad. Drugim powodem wiarogodności książki mają być okoliczności, w jakich ministrowie mówią dziennikarzowi to, co mówią. Nie są to bowiem jakieś zaplanowane wywiady, ale gorące i pełne napięcia chwile pracy w Białym Domu, których Woodward jest świadkiem, traktowany jako osoba godna zaufania. I w takiej roli dopuszczany nawet (jak się teraz okazuje) do bezpośrednich prywatnych rozmów z samym Trumpem. Tak np. zrównoważony na co dzień gen. Mattis wyrzuca z siebie ostre słowa, bezpośrednio pod wpływem jakiejś trudnej narady z prezydentem na temat Korei.

TEGO JESZCZE NIE BYŁO

Sam Trump miał być wściekły na swoich byłych współpracowników (zwłaszcza na doradcę ekonomicznego Gary'ego Cohna i byłego sekretarza Białego Domu Roberta Portera), co znów jest wykorzystywane jako dowód na prawdziwość książkowych relacji. Pisze o tym (znowu na podstawie przecieków) liberalny portal Politico, i tym razem próbując dowieść intelektualnej niepoczytalności Trumpa, który z jednej strony twierdzi, że to wszystko nieprawda, a z drugiej – gromi dawnych współpracowników. Zdrowy rozsądek podpowiada, że Politico wykazuje tu złą wolę. Można bowiem rozsądnie przypuszczać, że książka Woodwarda jest zlepkiem prawd, półprawd i nieprawd, a w wypowiedziach poirytowanych jakąś konkretną sytuacją ministrów ziarno prawdy obudowane jest przez inteligentnego dziennikarza aureolą konfabulacji. W końcu w polityce to nic nadzwyczajnego. Nawiasem mówiąc, przed wielu laty sam byłem ministrem i pamiętam dobrze, co w chwilach ostrych, politycznych sporów byłem gotów powiedzieć prywatnie i w zaufaniu o swoim premierze.

Na uwagę zasługuje ocena Steve'a Bannona, odsuniętego przez Trumpa guru radykalnej prawicy spod znaku alt-right. Sugeruje on, że Trump nie ma powodu, aby łajać swoich byłych czy obecnych ministrów, albowiem z książki Woodwarda jasno wynika rzecz dla prezydenta bardzo dobra. Ta mianowicie, że to sam prezydent, mimo próbujących mu nieustannie przeszkadzać doradców i ministrów, jest strażnikiem linii politycznej obiecanej prawicowym wyborcom dwa lata temu. „Widać jasno – mówi Bannon – że to Trump pilnuje kursu, nawet jeśli doradcy wprowadzają go w błąd. I jeśli on działa jak pięciolatek, to chciałbym więcej takich pięciolatków w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa".

> Zarówno ten list, jak i jego publikacja w „Timesie" może być niczym innym jak jeszcze jedną prowokacją mającą na celu osaczenie Trumpa

Bannon ma w tym sensie rację, że dla prawicowego elektoratu Trumpa książka (o ile jego zwolennicy w ogóle wezmą ją do ręki) może być jedynie potwierdzeniem dokonania dwa lata temu właściwego wyboru. Prezydent jest bowiem przedstawiany jako „idiota", gdyż jako idiotyzmy traktowane są jego wyborcze obietnice: ratowanie przez cła bilansu handlowego kraju, wymuszanie posłuszeństwa dla Ameryki nawet groźbami wojny, domaganie się płacenia przez sojuszników za ich bezpieczeństwo, etc., etc. W ostatnich badaniach Trumpa popiera nadal 46 proc. Amerykanów (przeciw 53 proc.), i jest to ciągle jeden z najlepszych wyników sondażowych pośród zachodnich przywódców, wyraźnie wyższy niźli np. sondażowe poparcie w ich krajach dla brytyjskiej premier, kanclerz Niemiec czy prezydenta Francji.

Jedno w tym wszystkim nie ulega wątpliwości. Konflikt polityczny w USA, który i tak wydawał się już niemożebny, został teraz podniesiony na jeszcze wyższy poziom. I – co nowe w amerykańskiej obyczajowości politycznej – przestała się w nim liczyć cena, jaką staje się destrukcja instytucji ustrojowych kraju. Niezależnie od własnych ocen publikacji spiskowego manifestu przez „Timesa" wszyscy w Ameryce powtarzają, że „tego jeszcze nie było". W każdym kraju konspiracja wewnątrz rządu przeciw jego wybranemu w wyborach zwierzchnikowi jest ciężkim przestępstwem politycznym, w USA zagrożonym nawet karą główną. Ale na użytek walki z obecną prezydenturą jej przeciwnicy przestali się tym wszystkim przejmować.

Dla wszystkich jest jasne, że nawet jeśli listopadowe wybory do Kongresu wygrają demokraci, nie ma żadnych szans, aby w Senacie zyskali oni przewagę 2/3, potrzebną do skazania prezydenta w konstytucyjnym trybie impeachmentu. Wydaje się więc, że grają oni obecnie na dwa inne, alternatywne scenariusze. Chcą albo tak wzmóc presję na Trumpa, aby (mówiąc kolokwialnie) „wykończyć go" psychicznie i zmusić do rezygnacji, albo też, jeśliby Trump okazał się osobowościowo twardszy, niż na to wygląda, wytworzyć powszechne przekonanie, że prezydent jest chory psychicznie. I w ten sposób zmusić Kongres do uznania, że (jak podaje 25. poprawka) „nie jest on w stanie dalej wykonywać władzy i obowiązków swojego urzędu". Jak mówi jeden z urzędników Białego Domu: „Sezon polowań na prezydenta został właśnie otwarty".

eprasa.pl 7c2c025ac3

82. piętro to naprawdę wysoko

Leokadia Głogowska przed upamiętnieniem w formie basenu na miejscu WTC. Biała róża wetknięta w nazwisko poległej osoby oznacza, że miała ona w tym dniu urodziny

Fot. z archiwum Leokadii Głogowskiej (x2)

Z Leokadią Głogowską, Polką z Nowego Jorku, która 11 września 2001 r. przeżyła atak na World Trade Center, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Jest 11 września 2001 r. Wtorek. Zwykły, roboczy dzień. Poranek. Jaka była w tym dniu pogoda w Nowym Jorku?

Leokadia Głogowska: Piękna i słoneczna. Wrzesień to najpiękniejszy miesiąc na odwiedziny Nowego Jorku. Mówi się, że panuje wtedy „indiańskie lato" [odpowiednik polskiej złotej jesieni – przyp. J.K.]. Nie jest już tak gorąco, ale jeszcze bardzo słonecznie. Tego dnia niebo było czyste, bez żadnej chmurki. Znakomita widoczność.

Dzień wstał piękny, dla pani nie różnił się pewnie od innych...

Obudziłam się o szóstej. Mąż Marek, który z reguły wstaje przede mną, zdążył już przygotować kawę. Zjedliśmy śniadanie. Pamiętam, że zaplanowaliśmy także, co będziemy jeść na obiad. To, co się stało później, było dla mnie sygnałem: nie planuj zbyt wiele, bo nigdy nie wiesz, czy to zrealizujesz. Oczywiście trzeba planować, ale trzeba także pamiętać, że każdy dzień jest nieprzewidywalny.

Mąż, który odwoził mnie codziennie do pracy, wyszedł z domu przyprowadzić samochód z parkingu. Jeszcze zrobiłam mały makijaż, otworzyłam szafkę z butami i... to był pierwszy znaczący moment tego dnia.

Co może być znaczącego w zakładaniu butów?

Okazało się, że może. Z szafki wyciągnęłam najpierw bardzo wysokie szpilki, bo lubiłam wtedy chodzić w takich butach. Włożyłam już jeden but

eprasa.pl 7c2c025ac3

na nogę i w tym momencie mój wzrok padł na płaskie, wygodne, skórzane sandały. Jakiś głos podpowiedział mi w sercu: „Nie idź w szpilkach, zmień je na wygodne buty". Nigdy czegoś takiego nie odczuwałam. W ostatniej chwili zmieniłam wysokie szpilki na wygodne sandały. To był detal, który jednak znacząco zmienił moją sytuację tego dnia. Ktoś mógłby powiedzieć: mogłaś po ataku zdjąć szpilki i uciekać boso. Niestety, podczas ucieczki z World Trade Center nie mogliśmy ściągać butów, bo na klatkach schodowych leżało szkło.

Część pani koleżanek zapewne przyszła w tym dniu do pracy w szpilkach i ich sytuacja była daleko gorsza.

Akurat w moim biurze w tym dniu było niewiele dziewczyn w szpilkach, ale w obu wieżach WTC było ich dużo. Te, które uciekały w szpilkach i przeżyły, do dziś mają problemy z nogami z powodu pozrywanych ścięgien.

Zmiana obuwia, jeżeli nawet nie uratowała pani życia, to zdrowie na pewno. Ktoś powie: przypadek. Czy rzeczywiście?

Ja w ogóle, a po 11 września w szczególności, nie wierzę w przypadki. Zdecydowanie twierdzę: to nie był przypadek.

A zatem wychodzi pani z domu.

Tak. Pamiętam jeszcze, że założyłam także brązowe, dość obcisłe spodnie i bluzkę w takim samym kolorze. Rzeczy, w które byłam ubrana w tym dniu, mam schowane do dziś. Nie chodzę w nich, ale je trzymam.

Nie chciała pani założyć później tych rzeczy czy nie miała pani odwagi?

Są one związane z historią, która zakończyła się dla mnie bardzo szczęśliwie. Przypominają mi tamte dramatyczne chwile. Nigdy nie chciałam w nich chodzić, ale bardzo chcę je zachować jako szczególną pamiątkę. Jak to kobieta, jestem sentymentalna. Mam też torebkę, którą wzięłam w tym dniu do pracy. Jej także nie używam, choć jest w bardzo dobrym stanie. Traktuję te wszystkie rzeczy trochę jak eksponaty muzealne: nie chciałabym ich zniszczyć i pragnę, by były gdzieś schowane. Niewykluczone, że kiedyś przekażę je wnukom.

Biuro New York Metropolitan Transportation Council – metropolitalnej organizacji planistycznej, w której pani do dziś pracuje – mieściło się wówczas na 82. piętrze północnej wieży WTC. Jak daleko było tam z waszego domu? Opiszmy tę drogę.

Mieszkamy w bardzo ładnej włosko-irlandzkiej dzielnicy na południowo-zachodnim Brooklynie, bardzo blisko mostu Verrazano. Mój mąż pracuje na środkowym Manhattanie. Kiedy jedziemy z południowego Brooklynu, najprostsza droga na środkowy Manhattan wiedzie przez Brooklyn-Battery Tunnel i autostradę West Highway, tuż obok WTC. Jeżeli jedziemy wcześniej, przed porannym szczytem i związanymi z tym gigantycznymi korkami, zajmuje nam to około 15 minut. Wtedy też tak było. Zaczynałam pracę dość wcześnie, o 7.30. Większość pracowników biura przychodziła na 9.

Z mojej dzielnicy Brooklynu – Bay Ridge – jedziemy najpierw autostradą Gowanus Expressway. W pewnym momencie wznosi się ona w formie estakady autostradowej, pod którą biegnie szosa szybkiego ruchu – 3rd Avenue. Pięknie widać stamtąd Manhattan. Oczywiście wtedy pierwsze rzucały się w oczy wieże WTC, stanowiące ikonę Nowego Jorku. Po lewej stronie widać Statuę Wolności. W połowie drogi na Manhattan mijamy znajdujący się po prawej stronie polski kościółek Matki Bożej Częstochowskiej na Brooklynie, przy 25th Street. Do dziś, kiedy tamtędy przejeżdżam, modlę się, tym bardziej że jest to pierwszy polski kościół, do którego zaprowadzili nas znajomi. Mam wielki sentyment do tego miejsca, chociaż to nie jest moja parafia. Tak było również 11 września.

Później patrzyłam na wieże WTC. Przy pięknej pogodzie w tym dniu bardzo błyszczały. Wyglądały tak, jakby były obite platynową blachą. Wielu moich kolegów, Amerykanów, mówiło, że w ogóle im się nie podoba architektura tych wież. Niektórzy nowojorczycy uważali, że są za proste i że nie ma w nich nic szczególnego. Dla Amerykanów wyjątkowym budynkiem jest Empire State Building, który mnie osobiście wcale się nie podoba, bo trochę przypomina mi kształtem warszawski Pałac Kultury i Nauki. Nie miałam i nie mam do dziś żadnego sentymentu do tego gmachu, natomiast wieże WTC bardzo mi się podobały. Były proste, minimalistyczne, ale miały klasę. Była w nich jakaś gracja.

Codziennie kontemplowała pani widok wież WTC?

Nie. Najczęściej o czymś z mężem rozmawialiśmy. Pamiętam jednak, że tego dnia nie mieliśmy jakichś szczególnych tematów do omówienia i mogłam podziwiać, jak wieże przepięknie odbijają się w słońcu. W miejscu, gdzie East River wpada do New York Harbour, znajduje się tunel, który prowadzi prosto na dolny Manhattan. Z tunelu do wież była dosłownie minuta jazdy. Z West Highway był podjazd pod wieżę numer 1, czyli „moją" wieżę, która stała przy samej Autostradzie Zachodniej. Natomiast druga wieża była położona bardziej na południowy wschód.

Mąż podwiózł panią pod wieżę numer 1 – północną.

Tak, pod same drzwi wejściowe. W samochodzie pocałował mnie i powiedział: „Uważaj na siebie". Ale on tak dość często mówił, więc nie przywiązywałam wagi do tych słów.

Ot, normalne zdanie dwojga kochających się osób.

Muszę panu powiedzieć, że te słowa do dziś mają oddźwięk w naszych pożegnaniach. Nie zawsze mąż je wypowiada, kiedy mnie podwozi do pracy, ale ilekroć tak się zdarzy, mam taki „klik" w pamięci i od razu mi się przypomina tamta chwila. To już we mnie pozostanie ze względu na wszystko, co się wydarzyło w tamtym dniu.

Jak dostawała się pani na 82. piętro?

Wieże miały 7 pięter pod ziemią i 110 nad ziemią. Wchodziłam do holu na poziomie ulicy. Minoru Yamasaki, amerykański architekt japońskiego

eprasa.pl 7c2c025ac3

Leokadia Głogowska

pochodzenia, autor projektu bliźniaczych wież WTC, zaprojektował w nich dwa rodzaje wind: ekspresowe i lokalne. Winda lokalna staje na każdym piętrze, natomiast ekspresowa jedzie bez zatrzymywania się na określone piętro przesiadkowe.

Ile było wind w każdej z wież?

99. To było niesamowite, że w dwóch wieżach mogło się mieścić prawie 200 wind. Aby dostać się na 82. piętro, wsiadałam najpierw do jednej z 12 wind ekspresowych, które jechały na 78. piętro. Tam znajdował się duży hol. W jednym z jego segmentów były windy, które wyjeżdżały na piętra od 79. do 86. Wsiadałam do takiej windy i docierałam na 82. piętro. W innych segmentach znajdowały się windy, które jechały na wyższe piętra. Podobnie było podczas jazdy w dół. W każdym segmencie było po sześć takich wind. Było to wszystko mądrze pomyślane, dzięki czemu transport osób na poszczególne piętra odbywał się bardzo szybko. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby winda zatrzymywała się na każdym piętrze i bez przerwy ktoś do niej wsiadał i z niej wysiadał.

Ile czasu zajmował wjazd z dołu na 78. piętro?

Zależało to od... wiatru na zewnątrz. Windy były tak zsynchronizowane z prędkością wiatru, że w przypadku, gdy na zewnątrz silnie wiało, winda ekspresowa automatycznie zwalniała swoją prędkość.

Ze względów bezpieczeństwa.

To na pewno. Ale chodziło także o to, że te wieże były tak skonstruowane, iż wykonywały pewne ruchy, lekko się odchylały. Myśmy to często odczuwali. Kiedy wiał silny wiatr, kołysała się woda w ubikacji. Ale to normalne. Taka konstrukcja musi „pracować". Gdyby była sztywna, byłoby to bardzo niebezpieczne. Pamiętam, że kiedy zostałam przyjęta do pracy w biurze, miałam swój boks przy ścianie nośnej. Podczas silnego wiatru, kiedy odczuwaliśmy lekkie kołysanie wieży, słyszałam w ścianie zgrzytanie konstrukcji. Na początku bardzo się denerwowałam, dlaczego wieża tak skrzypi, później jednak zrozumiałam, że tak musi być.

Kiedy nie było wiatru, winda ekspresowa wyjeżdżała na 78. piętro w 45 sekund. W przypadku, gdy mocniej wiało, wjazd trwał minutę, półtorej dłużej.

O której pani dotarła do biura?

Kiedy wjechałam na swoje piętro, była 7.30 czasu nowojorskiego. Do uderzenia samolotu w moją wieżę była jeszcze ponad godzina. Pracowałam już wówczas w innej części biura – po kilku miesiącach moje biurko zostało przeniesione na miejsce przy samym oknie na ścianie wschodniej. Kiedy wchodziłam do swojego boksu, biurko miałam po prawej stronie. Krótszym bokiem przylegało do okna. Kiedy siedziałam przy biurku, po lewej stronie miałam długie okna, prawie od podłogi do sufitu. Często patrzyłam przez okno, bo widok był niesamowity.

Okna na wschód, to znaczy w kierunku Europy.

W tym dniu przez kilka minut kontemplowałam widok z okna, który niezmiennie mnie fascynował i – choć pracowałam tam prawie osiem lat – nigdy mi się nie znudził. Czasami powtarzałam, że ze swojego biura mogę zobaczyć nawet Polskę. To był oczywiście żart, choć przy dobrej pogodzie widoczność wynosiła do 80 km. Ale to bardziej z drugiej strony biura. Z mojej, wschodniej strony, widziałam Brooklyn, Queens, lotnisko Kennedy'ego, a dalej rozciągał się ocean. Miałam też piękny widok na East River, szczególnie zimową porą, kiedy – zwłaszcza wcześnie rano lub wieczorem – było ciemno. Przepięknie było wtedy widać oświetlone mosty na Rzece Wschodniej.

Przy takim widoku ciężko się skoncentrować na pracy.

[śmiech] Pewnie dlatego na początku dali mi miejsce przy ścianie.

Po takiej kilkuminutowej kontemplacji zapierającego dech w piersiach widoku przychodzi jednak moment, kiedy trzeba się zabrać do pracy.

Pamiętam jeszcze, że rano rozmawiałam chwilę z koleżanką. Później już tylko siedziałam przy biurku i pracowałam nad jednym z projektów. Tego dnia miałam go skończyć i przesłać do druku. Byłam zadowolona, że wreszcie go zrealizowałam. Na marginesie, w wyniku ataku cała ta praca poszła na marne, łącznie z tzw. backup files, czyli kopiami zapasowymi, które archiwizuje się ze względów bezpieczeństwa – były one zgromadzone w biurze. Co zresztą nie było takie ważne w obliczu tego, że w zamachu zginęli ludzie. Faktem jest jednak, że nasze biuro straciło wtedy wszystko, nad czym pracowaliśmy. Później musieliśmy zaczynać od zera. To nas nauczyło ostrożności

eprasa.pl 7c2c025ac3

Co było dalej? Pani Leokadia rzuciła się do ucieczki. Na korytarzu zobaczyła ścianę gęstego, czarnego dymu. Myślała, że to koniec. Wtedy przypomniała sobie o dzień wcześniejszego e-maila od siostry z Polski, która pisała, że właśnie 11 września w Zielonej Górze zostanie odprawiona msza św. dziękczynna za ocalenie pani Leokadii z wcześniejszego wypadku w windzie w wieży WTC, do którego doszło 15 sierpnia. Ten e-mail dodał jej siły, by rzucić się w gęsty dym. Kiedy po 17 minutach dotarła na 44. piętro, samolot uderzył w drugą wieżę. Zbiegnięcie na dół zajęło jej ponad godzinę. Uciekając pieszo przez Brooklyn, widziała, jak zawaliły się obie wieże. Dopiero po czterech godzinach znalazła czynny telefon, z którego zadzwoniła do męża. Pan Marek powiedział później, że były to cztery najdłuższe godziny jego życia. Dziś pani Leokadia raz w tygodniu oprowadza po terenie WTC wycieczki, dzieląc się świadectwem swojego ocalenia.

O niesamowitej historii Polki z Nowego Jorku, która 11 września 2001 r. przeżyła atak na WTC, opowiada książka Jaromira Kwiatkowskiego „Drzewo przetrwania. Ucieczka z 82. piętra", która ukazała się nakładem wydawnictwa Sumus. Patronat medialny nad książką objęły tygodnik „Sieci" i portal wPolityce.pl.

i dlatego obecnie wszystkie backup files trzymamy poza siedzibą biura.

Feralna godzina 8.46 była coraz bliżej...

O 8.45, a więc na minutę przed uderzeniem samolotu, w naszym biurze panowała idealna cisza. Wspominam o tym, bo amerykańskie biura to otwarta przestrzeń poprzedzielana boksami. Dlatego jeżeli ludzie rozmawiają z sobą, śmieją się, to gwar tych rozmów słychać w całym biurze.

A tu nic, żadnych rozmów. Kompletna cisza...

O 8.46 tę ciszę zakłócił niesamowity hałas, a potem huk. Uderzenie nastąpiło od strony północnej. To było jak „betonowy sztorm". Wybuch betonu z potężną, syczącą masą powietrza. Wieża odchyliła się w stronę południową. Im wyżej, tym odchylenie było większe. Wystraszona, wyskoczyłam zza biurka. Zarejestrowałam jeszcze, że z półek spadają książki. Byłam przekonana, że lecimy w dół. Że wieża właśnie się przewraca na bok. Proszę sobie wyobrazić, jakich dodatkowych spustoszeń na Manhattanie dokonałaby taka ponad 400-metrowa wieża, gdyby rzeczywiście się przewróciła. Budynek przechylił się w jedną stronę, a następnie „odbił" w drugą i wrócił do pozycji wyjściowej. Strach związany z przechyleniem się wieży i niesamowity huk pozostały w mojej pamięci do dziś. 82. piętro to naprawdę wysoko.

REKLAMA

RMF FM
Numer 1
wśród mediów opiniotwórczych
wg Instytutu Monitorowania Mediów
Rano...
2 625 000 słuchaczy Poranna Rozmowa RMF
1 337 000 słuchaczy Gość Radia Zet
541 000 słuchaczy Salon Polityczny Trójki
241 000 słuchaczy Gość Poranka (Tok FM 7:45)
Robert Mazurek zapraszam o 8:02
... i po południu
1 291 000 słuchaczy Popołudniowa Rozmowa RMF
326 000 słuchaczy Puls Trójki
286 000 słuchaczy Debata Jedynki
98 000 słuchaczy Wywiad Polityczny Tok FM
Marcin Zaborski zapraszam o 18:02
Źródła:
– Raport IMM – najbardziej opiniotwórcze media pierwszej połowy 2018 roku
– Radio Track, Kantar MillwardBrown, 04-06.2018, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie

eprasa.pl 7c2c025ac3

Przedsiębiorca w banku

Fot. Shutterstock | 47/0718/F

Być sobie sterem, żeglarzem, okrętem – to bardzo kuszące. Praca na własny rachunek ma oczywiście swoje plusy i minusy. Tych plusów jest jednak coraz więcej: widać je w nowelizacjach ustaw, ułatwieniach dla przedsiębiorców i zachętach w postaci ulg finansowych. Specjalną ofertę dla firm mają także banki

PO CO DZIŚ POTRZEBNY BANK

Jakich produktów i usług oczekują przedsiębiorcy sektora małych i średnich firm od banku? Świadomość i wymagania bardzo się zmieniły. Już nie można powiedzieć, że małe przedsiębiorstwo ograniczy się wyłącznie do założenia rachunku, zapewnienia finansowania obrotowego i prostego finansowania inwestycyjnego. Właściciele – bez względu na wielkość firmy – interesują się tym, jak prowadzić e-biznes, i na tym polu szukają wsparcia ze strony swojego banku. Zmiana oczekiwań tak ważnych klientów pociąga za sobą zmiany w bankach. Na potrzeby przedsiębiorców powstają specjalne dedykowane strategie i piony obsługi biznesu.

CENTRA BIZNESOWE BANKU PEKAO S.A.

Oczywiście, podobnie jak i w innych instytucjach finansowych, także w Banku Pekao S.A. przygotowana jest oferta przeznaczona zarówno dla małych, jak i średnich firm. W czym więc leży przewaga Banku Pekao S.A. nad konkurencją pod względem obsługi sektora małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP)? Bank oprócz samej oferty chce konkurować sprawnością procesów, dużą wiedzą i doświadczeniem doradców i specjalistów produktowych zlokalizowanych w całej Polsce w specjalnie wydzielonych centrach biznesowych. Niedługo do użytku zostanie oddane również biuro Customer Services, do którego klient będzie mógł zadzwonić lub napisać maila w sprawie bieżących spraw operacyjnych związanych z obsługą firmy.

eprasa.pl 7c2c025ac3

OFERTA PRODUKTOWA

Zanim powstała nowa strategia odpowiadająca na zapotrzebowanie polskich przedsiębiorców, bank miał do zaoferowania wąską paletę produktów. Podobnie jak u konkurentów firmom proponowano rachunek bieżący z bankowością elektroniczną, kredyt inwestycyjny oraz kredyt w rachunku bieżącym. Teraz ofertę wzbogacono o produkty do finansowania handlu, wspierające transakcje skarbowe oraz produkty wspierające transakcyjność, m.in. takie jak rachunki escrow, płacowe, płatności masowe (Pekao Collect) czy możliwość połączenia systemu księgowego firmy z bankowością elektroniczną (Pekao Connect). Warto wspomnieć o ciekawym programie certyfikacji systemów finansowo-księgowych. Jeżeli producent oprogramowania, z którego korzysta klient MŚP, ma dostosowane swoje oprogramowanie do bankowego Pekao Connect, może otrzymać certyfikat Pekao Ready. Sprawia on, że klient automatycznie i bez pomocy banku będzie mógł w pełni korzystać z możliwości, jakie płyną z integracji, optymalizując swoje procesy w firmie.

KREDYTY DLA POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Na klientów Pekao czeka kompleksowa oferta kredytowa dla firm: finansowanie działalności bieżącej, potrzeb inwestycyjnych, udzielanie gwarancji i wsparcie eksporterów. Oferta dla małych i średnich przedsiębiorstw jest przygotowana w taki sposób, aby zapewnić możliwość pełnego zaspokojenia potrzeb klientów biznesowych. W ramach niej dostępne są produkty pozwalające na finansowanie potrzeb obrotowych, np. kredyt rewolwingowy i kredyt w rachunku bieżącym (które oferowane są nawet na trzy lata), inwestycyjnych oraz finansowanie dowolnego celu związanego z działalnością gospodarczą za pomocą pożyczki hipotecznej. Dostępne jest również finansowanie wielocelowe, m.in. gwarancje i akredytywy. Elementem komplementarnym są produkty tresury, np. IRS-y zabezpieczające ryzyko stopy procentowej.

INDYWIDUALNE TRAKTOWANIE

Dzięki tak zbudowanej ofercie bank jest w stanie obsłużyć zarówno te podstawowe, jak i bardziej złożone potrzeby małych i średnich przedsiębiorstw. Nie ma dwóch przedsiębiorstw w identycznej sytuacji. Tak więc bardzo ważne jest to, że bez względu na rodzaj produktu jego parametry są zawsze indywidualnie dopasowywane do rodzaju i struktury finansowania oraz uzależnione od rodzaju przyjętego zabezpieczenia. W pakiecie z indywidualnym podejściem klient otrzyma nowy przejrzysty regulamin kredytowy i czytelne umowy. Bank postawił sobie za punkt honoru, by w nowej strategii wprowadzić kilka rozwiązań, dzięki którym klienci w łatwy sposób mogą zrozumieć swoje prawa i obowiązki wynikające z udzielenia im finansowania.

TERAZ ŁATWIEJ O KREDYT

Przedsiębiorcom zależy, aby proces kredytowy był szybki i sprawny, bez zbędnej straty czasu. Poszukują takich ofert, które nie zakłócą im płynności działania. Starania, aby czas do wypłaty środków z kredytu był możliwie krótki, podjął Bank Pekao S.A. W tym celu w proces kredytowy angażuje ekspertów z różnych jednostek banku, dbających o prawidłowy przebieg i jakość procedury. Udzielenie kredytu składa się z kilku standardowych kroków, w ramach których przede wszystkim dokonywane jest rozpoznanie potrzeb klienta. Do nich dopasowuje się produkty. Następnie ocenia się klienta, wnioskowaną transakcję i zaproponowane zabezpieczenie. Ocena ta dokonywana jest na podstawie standardowych dokumentów firmy (m.in. w oparciu o dane finansowe, dokumenty założycielskie oraz informacje zawarte we wniosku kredytowym). W ramach optymalizacji działań dla transakcji o mniejszym stopniu złożoności bank wprowadził również tzw. proces uproszczony, skracając tym samym czas potrzebny na podjęcie ostatecznej decyzji i zawarcie umowy kredytowej. Specjaliści nie ustają w pracach nad usprawnieniami procesu kredytowego, jego digitalizacją w bankowości elektronicznej oraz automatyzacją.

AR

Stawiamy na małe i średnie przedsiębiorstwa, dlatego też Bank Pekao S.A. wydzielił pion odpowiedzialny za ten segment. Zaczęliśmy od budowy i wdrożenia modelu biznesowego, przygotowania oferty oraz zorganizowania sieci sprzedaży dedykowanej dla MŚP właśnie.

Oprócz podstawowej obsługi bankowej firmy oraz produktów związanych z finansowaniem firmy wdrażamy produkty, które wesprą przedsiębiorców w ich rozwoju i wdrażaniu do firm nowych technologii. Takim przykładem jest Kredyt z gwarancją EFI COSME (od września br.).

Pracujemy nad jakością obsługi naszych klientów. Dla naszych klientów mamy dedykowanych menedżerów klienta MŚP, którzy są wspierani przez specjalistów produktowych.

Jakość to nie tylko ludzie, choć moim zdaniem są najważniejsi, bo od rozmowy, zbudowania relacji i zaufania się zaczyna. Na jakość obsługi wpływają również przyjazna i czytelna dokumentacja oraz sprawny proces obsługi wewnątrz banku.

Przygotowaliśmy krótszą i przejrzystą dokumentację oraz ograniczyliśmy liczbę dokumentów, które klient musi podpisać. Efektem naszych prac jest nowoczesna i przyjazna dla klienta dokumentacja, która składa się z:

- nowej umowy uniwersalnej dla produktów transakcyjnych i wymiany walut,
- nowych wzorów umów kredytowych,
- regulaminu świadczenia usług kredytowych, stanowiącego integralną część umowy kredytowej.

Nowa dokumentacja kredytowa została przygotowana w oparciu o najnowsze trendy w bankowości przedsiębiorstw i docelowo w połączeniu z projektowanym systemem do obsługi procesu kredytowego przyczyni się do zwiększenia efektywności obsługi klientów. Jesteśmy pewni, że takie działania znacząco wpłyną na wzrost poziomu satysfakcji klientów ze współpracy z Bankiem Pekao S.A.

Jolanta Ciskowska – dyrektor Departamentu Rozwoju Produktów w Pionie Małych i Średnich Przedsiębiorstw w Banku Pekao S.A.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Chore ego człeka złego

Janusz Szewczak

Były premier Józef Oleksy proces prywatyzacji w Polsce w chwili przypływu szczerości opisał niezwykle trafnie: „Kosmopolityczne gangi rozkradły Polskę, przekręty w bankach szły". Gdy ponad 20 lat temu alarmowałem o rabunkowej wyprzedaży majątku narodowego kilku pokoleń Polaków, o zbrodni ekonomicznej dokonywanej na naszej substancji majątkowej, produkcyjnej czy handlowej, sojuszników nie było zbyt wielu, a ówczesny guru tzw. prywatyzacji Leszek Balcerowicz nazywał moje słowa ignorancją ekonomiczną i zacofaniem. Dziś to już oczywista oczywistość, jak wielkie szkody w zamożności naszego narodu i perspektywach rozwojowych polskich rodzin poczynili ten proceder oraz jego autorzy z rządów SLD, PSL, AWS-UW i wreszcie PO-PSL. Zwłaszcza tacy ludzie jak Leszek Balcerowicz, Janusz Lewandowski, Emil Wąsacz, Alicja Kornasiewicz czy Wiesław Kaczmarek – wątpliwi „spece" od tzw. prywatyzacji. Dziś premier Mateusz Morawiecki również zwraca uwagę, i słusznie, na wielomiliardowe straty spowodowane tzw. prywatyzacją, choćby w sektorze przetwórstwa rolno-spożywczego.

Trzeba mieć nie lada tupet i całkowitą amnezję, by nie pamiętać wyczynów w ramach wyprzedaży majątku narodowego

Według „ojca chrzestnego" tej tzw. prywatyzacji, prof. Balcerowicza: „Sztandarowe kłamstwo PiS: prywatyzacja to złodziejstwo, to plagiat z Łukaszenki. Ten niczego nie sprywatyzował i w ten sposób zamroził na Białorusi socjalizm. Prawdziwe złodziejstwo można uprawiać na państwowym. Zobacz PiS w państwowych firmach i co się działo w PRL". Problem w tym, że złodziejstwo niewątpliwie można uprawiać nie tylko na państwowym, lecz również na prywatnym, a zwłaszcza w ramach złodziejskiej prywatyzacji.

Trzeba mieć nie lada tupet i całkowitą amnezję, by nie pamiętać wyczynów w ramach wyprzedaży majątku narodowego, jakże często za bezcen, w atmosferze afer i skandali, kiedy prywatyzowano firmy dochodowe, z dużymi perspektywami, monopolistów rynkowych za niewielką cząstkę ich prawdziwej wartości, często za cenę niższą niż wartość gruntu, mniejszą niż wynosiły roczny zysk i podpisane kontrakty. Prywatyzowano oczywiście na rzecz kapitału zagranicznego i tzw. przyjaciół królika. Fatalnych przykładów nie brakuje. W 1999 r. PZU SA spece z UW i KLD wraz z AWS sprzedali za zaledwie 3 mld zł, gdy dziś roczny zysk netto ubezpieczyciela to 4,5 mld zł. PZU odkupione zostało w ramach repolonizacji za bagatela 11 mld zł po 20 latach od włoskiego UniCredit, który dał mu zarobić ok. 20 mld zł na polskich firmach i Polakach. Kolejny przykład i kolejna afera prywatyzacyjna. Sprzedaż w 1998 r. Domów Towarowych Centrum przez ministra Wąsacza za zaledwie 106 mln zł (choć realnie sprzedano łącznie aż 32 Domy Towarowe w 22 największych miastach Polski wraz z gruntami) już wówczas była skandalem, a cena rażąco zaniżona. W 2018 r. znów sprzedano Domy Towarowe Centrum zagranicznemu funduszowi za olbrzymią kwotę 1,3 mld zł, a przecież przez 20 lat sporo pohandlowały. Tacy to spece od prywatyzacji mają dziś czelność krytykować polski rząd. Z pewnością prezydent Białorusi Łukaszenka takich prywatyzacji by nie dokonał, bo i słusznie trzeba dbać o własną rację stanu oraz majątek.

Łączne straty na tej tzw. prywatyzacji w Polsce od połowy lat 90. można szacować na setki miliardów złotych. Ciekawe, czy Leszek Balcerowicz i jego ferajna oddadzą Polakom co najmniej 40 mld zł za nieudane i kosztowne prywatyzacje.

Balcerowicz surowo ocenił zgasłą już gwiazdę Nowoczesnej i swego bliskiego współpracownika Ryszarda Petru, mówiąc, że „rozdęte ego potrafi zaćmić umysł". Ale też chorobliwe ego może zupełnie odebrać rozum i wyeliminować przyzwoitość. „Totalna głupozycja" w Polsce rusza właśnie w ramach kampanii wyborczej z tzw. konwojem wstydu, ale oczywiście nie swojego. Bo oni sami najwyraźniej tego wstydu nie mają, zapominając o 260 mld zł wyłudzeń z VAT, 150 mld zł zagarniętych z OFE czy 150 mld zł straconych w ramach CIT, akcyzy czy hazardu.

Z pewnością bylibyśmy dziś materialnie w innym miejscu, gdybyśmy nie wyprzedali 70 proc. wartościowych przedsiębiorstw i przyszłościowych sektorów, nie tylko banków, lecz również firm przetwórstwa rolno-spożywczego. A przecież wówczas też obowiązywała konstytucja RP, która mówiła w preambule o trosce o byt i przyszłość ojczyzny, o zobowiązaniu, by przekazać przyszłym pokoleniom wszystko, co cenne. Przecież ta konstytucja mówi o społecznej gospodarce rynkowej, o zasadach sprawiedliwości społecznej, o chronieniu interesów skarbu państwa. Jakoś wówczas nie było obrońców konstytucji, nie było obrońców wyprzedawanych „sreber rodowych". Do dziś też nikt z autorów tej rabunkowej wyprzedaży majątku narodowego nie poniósł żadnej kary. Wprost przeciwnie – ci sami ludzie nadal pouczają, obrażają i kreują się na tzw. autorytety i elity, ale na szczęście nie mają już realnego wpływu na polską rzeczywistość polityczną i gospodarczą.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Hit tygodnia

Japoński gran turismo po włosku

Nissan GT-R50 by Italdesign został pokazany na Festiwalu Szybkości w Goodwood w Chichester w Anglii. Prototyp upamiętnia 50-lecie modelu GT-R, które przypada w przyszłym roku, oraz pracowni Italdesign (2018 r.). Mówi się o wersji dla klientów w limitowanej liczbie egzemplarzy. Cena? Co najmniej 900 tys. euro, ale każdy egzemplarz byłby wykańczany zgodnie z wymaganiami nabywcy.

Nissan GT-R50 by Italdesign powstał na bazie najnowszego Nissana GT-R NISMO. Jego napęd to silnik V6 VR38DETT o pojemności 3,8 l. Jednostka po zmianach ma 720 KM mocy i 780 Nm momentu obrotowego. Zmieniono oczywiście nadwozie (w końcu to Italdesign), m.in. wydłużono reflektory LED, obniżono linię dachu i mocno zarysowano wloty powietrza za przednimi kołami. Pojawił się też duży, regulowany tylny spojler podtrzymywany przez dwa wsporniki.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Dość rzadko trafiają nam się informacje ze wschodu, ale ta jest całkiem ciekawa. Kałasznikow (a konkretnie IŻ należący do tego koncernu) zajmie się zbudowaniem motocykla dla rosyjskich sił bezpieczeństwa. Maszyna będzie całkiem pokaźna – ma ważyć ponad pół tony. Do setki będzie potrzebować 3,5 s, prędkość maksymalna to 250 km/h. Silnik ma mieć 150 KM i 180 Nm. Podobno motocykl trafi też na rynek, ale zapewne nie od razu. Sama nazwa IŻ w Polsce nie jest zbyt znana, zwłaszcza obecnie, ale dla Rosjan to spory kawałek ich historii motoryzacji. W latach 1933–2008 w Iżewsku produkowano motocykle o tej właśnie nazwie (ros. Иж).

W Polsce cały czas rośnie rynek nowych samochodów. W lipcu tego roku – w porównaniu z lipcem ub.r. – zarejestrowano 25,7 proc. więcej aut. Najczęściej kupowane samochody w ostatnim miesiącu to: Škoda Octavia, Opel Astra, Škoda Fabia, Fiat Tipo, Volkswagen Golf.

Koncern Bridgestone w dalszy rozwój swojej poznańskiej fabryki, do 2020 r. ma zainwestować 700 mln zł. „Do 2022 r. zainwestujemy przede wszystkim w rozwiązania technologiczne umożliwiające produkcję opon nowej generacji, będziemy także modernizować i optymalizować obecnie działające linie oraz procesy produkcyjne" – mówi Roman Staszewski, dyrektor zarządzający Bridgestone Poznań. Fabryka w Poznaniu powstała w 1998 r. i jest obecnie jednym z największych pracodawców w regionie.

Mercedes ma problem – musi serwisować ponad 300 tys. aut z powodu usterki: wycieku glikolu z chłodnicy systemu odprowadzania spalin. To o tyle poważna sprawa, że może grozić zapaleniem pojazdu. Według koreańskich mediów doszło do ok. 30 takich przypadków, w Europie nie odnotowano żadnego.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 7c2c025ac3

Europa się zmienia, na horyzoncie pojawiają się nowe wyzwania. Podczas XXVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy dyskutowano o większości z nich. Forum z zasady nie dzieli, ale łączy stanowiska i poglądy. I w takim duchu starano się szukać rozwiązań

Coraz ważniejsza część Europy

W tym roku Krynicę odwiedziło niemal 5 tys. gości z całego świata. Wzięli oni udział w prawie 250 panelach i dyskusjach. Człowiekiem Roku został premier Litwy Saulius Skvernelis, a Firmą Roku 2017 – Polski Fundusz Rozwoju. Tytuł Organizacji Pozarządowej Roku przypadł Polskiej Akcji Humanitarnej, a Krzysztof Penderecki został uhonorowany nagrodą Nowa Kultura Nowej Europy im. Stanisława Vincenza.

Szefowi rządu Litwy nagrodę wręczył premier Mateusz Morawiecki. „Bądźmy razem, rozmawiajmy z sobą, a wtedy zostaniemy usłyszani" – mówił Saulius Skvernelis, odbierając nagrodę Człowieka Roku.

Podczas forum (4–6 września) rozmawiano o gospodarce, przyszłości europejskich społeczeństw, wiele uwagi poświęcono kulturze i komunikacji społecznej. W centrum uwagi znajdowała się – jak co roku – Europa Środkowo-Wschodnia, której reprezentanci byli obecni podczas wielu paneli oraz dyskusji.

Przedstawiciele największych polskich spółek nie tylko mówili o swoich strategiach i przedstawiali plany na przyszłość, lecz również inaugurowali konkretne przedsięwzięcia, mające wpływ na nasz region Europy i na polską gospodarkę. Na przykład PKP Cargo, największy w Polsce i jeden z największych w Europie operator kolejowych przewozów towarowych, podpisał w Krynicy listy intencyjne dotyczące współpracy z Kolejami Litewskimi i z włoską spółką kolejową Mercitalia Rail. Przewoźnicy będą wspólnie rozwijali przewozy towarowe na paneuropejskim korytarzu transportowym Północ–Południe.

Współpraca regionalna była jednym z ważniejszych tematów forum. Rozmawiano zarówno o kooperacji gospodarek i firm, jak i rynków kapitałowych. Wiele uwagi poświęcono kluczowym dla Polski oraz dla regionu projektom, w tym Centralnemu Portowi Komunikacyjnemu, którego znaczenie wykracza poza granice naszego kraju.

W licznych dyskusjach pojawiał się temat Trójmorza jako nowej koncepcji budowania siły nie tylko regionu, lecz całej Unii Europejskiej. Koncepcja opiera się na rozwijaniu infrastruktury i sieci energetycznej na osi Północ–Południe, uzupełniającej dominujący obecnie kierunek Wschód–Zachód.

Ciekawe opinie pojawiły się na temat nowego jedwabnego szlaku, który ma się przyczynić do wzrostu wymiany handlowej między Chinami a Europą. Duże nadzieje z trasą z Chin wiążą zarówno spółki kolejowe i drogowe, jak i polskie porty, które w nowej, powstającej osi mają szanse znacznie zwiększyć obroty.

Wspólnym mianownikiem licznych projektów regionalnych jest bezpieczeństwo, rozumiane głównie w kontekście energetyki i komunikacji. Centralny Port Komunikacyjny zwiększy możliwości transportowe kraju, co jest z oczywistych powodów związane z naszym bezpieczeństwem. Terminal LNG w Świnoujściu i budowa jego odpowiednika na wyspie Krk w Chorwacji oznacza z kolei poprawę naszego bezpieczeństwa energetycznego, opartego na dywersyfikacji dostaw gazu do Polski i regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Brama Północna, która umożliwi dodatkowo transport gazu z Norwegii, jeszcze zwiększy możliwości dywersyfikacji dostaw tego surowca.

Forum – poza możliwością konfrontacji poglądów i koncepcji – daje przede wszystkim okazję do licznych spotkań i rozmów. Niemal 40 proc. uczestników forum to goście z zagranicy. Spotkanie w Krynicy stwarza możliwość skonfrontowania się z postrzeganiem przez nich spraw polskich i europejskich. Zagranicznym gościom daje zaś szansę spojrzenia na nasz kraj jako na część coraz bardziej liczącego się regionu Europy.

SK

eprasa.pl 7c2c025ac3

Wsparcie firm oraz transformacja cyfrowa – o tym dyskutował Bank Pekao w Krynicy

Jak wspierać przedsiębiorców działających na zagranicznych rynkach, co zrobić, aby polska gospodarka była bardziej cyfrowa, jak mądrze finansować start-upy – to tylko niektóre tematy, o których dyskutowali przedstawiciele Banku Pekao S.A. podczas XVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy

fot. Pekao SA | 37/0818/F

Prezesi polskich spółek nie mieli wątpliwości, że wyjście na zagraniczne rynki jest jednym z kluczowych etapów rozwoju spółki. Z jednej strony pozwala dywersyfikować popyt na rynku krajowym, z drugiej pozwala rosnąć, gdy wewnętrzy rynek staje się za mały i nie ma już odpowiedniej perspektywy wzrostu.

Michał Krupiński, prezes Banku Pekao S.A., zapowiedział, że Pekao będzie wspierać polskich przedsiębiorców przy wchodzeniu na zagraniczne rynki. – Zdajemy sobie sprawę, że nie jest wcale tak łatwo rozpocząć współpracę z nowym bankiem w obcym kraju – tłumaczy Michał Krupiński.

– Obsługujemy w Pekao co drugą dużą polską firmę. Chcemy wspierać naszych partnerów w rozwoju ich biznesu poza Polską, dlatego zachęcamy ich do starannego zabezpieczenia transakcji międzynarodowych – dodaje Andrzej Kopyrski, wiceprezes zarządu, nadzorujący obsługę największych firm w Pekao.

Jednym z produktów w ofercie banku, które ułatwiają wejście na zagraniczny rynek, jest kredyt eksportowy.

– Kredyt eksportowy to dużo bogatszy produkt niż standardowy kredyt inwestycyjny. W znaczący sposób ułatwia polskiemu przedsiębiorcy działalność zagraniczną, ale też zwiększa bezpieczeństwo zawieranych transakcji, w szczególności na rynkach charakteryzujących się wyższym ryzykiem – tłumaczył Piotr Stolarczyk, dyrektor departamentu bankowości międzynarodowej i finansowania eksportu w Pekao.

MUSIMY SIĘ STAĆ GOSPODARKĄ CYFROWĄ

Temat transformacji cyfrowej polskiej gospodarki był szeroko dyskutowany zarówno na oficjalnych panelach krynickiego forum, jak i podczas dziesiątków mniej oficjalnych spotkań. Dyskusję na ten temat zainicjowały właśnie banki, które taką transformację mają już za sobą, a oferowane przez nie rozwiązania należą do najnowocześniejszych na świecie. Nawet w słynnej Dolinie Krzemowej nikt nie przesyła pieniędzy na numer telefonu, co w Polsce nie tylko jest możliwe, lecz staje się pewnym standardem.

– Patrząc przez pryzmat innowacji, banki w Polsce nie mają się czego wstydzić przed swoimi zachodnimi konkurentami, a pod wieloma względami są nawet bardziej zaawansowane w procesie cyfryzacji – podkreśla Marek Tomczuk, wiceprezes Pekao, który nadzoruje pion bankowości detalicznej.

Co istotne, polskie instytucje finansowe nie zamierzają stać w miejscu w tym technologicznym wyścigu, ponieważ działają w wysoce konkurencyjnym środowisku. Dlatego szukają innowacji tworzonych przez start-upy. Czego konkretnie szukają?

– Bardzo ważna jest zaawansowana analiza danych – chcemy wiedzieć, jak często klient odwiedza bank, w jaki sposób korzysta z platformy mobilnej. Szukamy rozwiązań, które oszczędzają czas w codziennej obsłudze klienta, usprawniają proces kredytowy – wyjaśnia Tomasz Styczyński, wiceprezes Pekao S.A. odpowiedzialny za współpracę z małymi i średnimi firmami.

O konieczności szybszej cyfryzacji gospodarki przekonywał prezes Pekao. – Widzimy, że jest luka w produktywności między gospodarkami polską a europejską. Odpowiedzią na to jest dużo szerzej zastosowana cyfryzacja, możliwości korzystania z e-faktur, elektronicznego obiegu dokumentów – przekonywał Michał Krupiński.

eprasa.pl 7c2c025ac3

PKN Orlen aktywnie angażuje się w promocję polskich produktów

Współpraca z polskimi producentami to dla PKN Orlen przejaw patriotyzmu gospodarczego. Ale nie tylko, bo z biznesowego punktu widzenia niesie ona korzyści dla obu stron

PKN Orlen ma 1 771 stacji paliwowych, w tym 1330 własnych. W części tych placówek, poza konceptem gastronomicznym Stop Cafe, wprowadzana jest także możliwość szybkich zakupów w sieci działających tam sklepów O!Shop, które oferują m.in. towary spożywcze. Obecnie zdecydowana większość towarów sprzedawanych na stacjach PKN Orlen to produkty pochodzące od polskich producentów.

Jak przyznają przedstawiciele Orlenu, zwiększenie udziału polskich produktów w ofercie stacji koncernu to przede wszystkim odpowiedź na oczekiwania klientów.

Polscy konsumenci chcą rodzimych produktów. PKN Orlen nim zdecydował się na wprowadzenie polskich soków na półki w swoich stacjach paliwowych, przeprowadził wiele analiz. Z badań zrobionych przez instytut Kantar wynika, że dla aż 87 proc. respondentów krajowe pochodzenie produktu stanowi zachętę do zakupu. Dla 80 proc. biorących udział w badaniu polskie produkty są lepsze i bardziej ekologiczne od zagranicznych.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Dla polskich producentów, zwłaszcza małych firm, współpraca z Orlenem to szansa na szybki rozwój.

– „Pij polskie soki" to przełomowa kampania. Po raz pierwszy tak duża firma jak Orlen zaczęła zwracać uwagę na tak małe firmy jak Sok z Gór. Mam nadzieję, że nasze produkty trafią dalej, bo dzięki tej współpracy mamy już wiele pytań o możliwość kooperacji i wiele propozycji. Cieszymy się, że Orlen wspiera takie firmy jak my – powiedział Wojciech Majka, prezes firmy Sok z Gór.

Jednakże to, że PKN Orlen, a więc firma gigant jak na polską skalę, wybrał do współpracy również znacznie mniejsze podmioty, ma uzasadnienie ekonomiczne. Okazuje się, że Polacy nie tylko lubią produkty krajowe, lecz także te pochodzące z małych firm. Ponad 70 proc. respondentów – wynika z badania Kantaru – świadomie wybiera towary, które zostały wytworzone w małej rodzinnej firmie, wspierającej lokalny rozwój. Na dodatek klienci w naszym kraju wręcz wymagają od Orlenu, aby wspierał mały polski biznes. 75 proc. ankietowanych przez Kantar uważa, że duże narodowe koncerny powinny odgrywać aktywną rolę we wsparciu drobnej przedsiębiorczości.

Oczywiście, wśród podmiotów, u których Orlen zamawia produkty spożywcze, są i duże koncerny, jak choćby Maspex, jednak przeważają znacznie mniejsze podmioty, takie jak Bracia Sadownicy, Owocowe Smaki, Sad Sandomierski czy Sok z Gór. Nie tylko korzystają ze zwiększonego popytu na rynku krajowym – zakupy soków ze strony Orlenu dzięki całej akcji mają wzrosnąć o 150 proc. – lecz mają szansę na współpracę także poza Polską.

– Jesteśmy otwarci na współpracę z nimi, chcemy także, aby ich towary trafiły na stacje w Czechach, na Litwie i w Niemczech – powiedziała Patrycja Klarecka, odpowiadająca w PKN Orlen za sprzedaż detaliczną

W tych krajach Orlen ma ok. 1 tys. stacji benzynowych. Są one łącznie niewiele mniejsze od sieci krajowej i oferują polskim producentom spore możliwości sprzedaży ich towarów.

fot. Orlen | 55/08158/F

Wyjście za granicę to zwykle jedna z najtrudniejszych do zrealizowania decyzji biznesowych, zwłaszcza dla stosunkowo małych firm. Obecnie wiele podmiotów publicznych lub instytucji rozwojowych prowadzi różnego rodzaju programy, które mają ułatwić polskim firmom ten pierwszy krok na innych rynkach. Wsparcie, jakie oferuje PKN Orlen, jest niebagatelne, zwłaszcza że na każdym z tych trzech rynków koncern ma bardzo silną pozycję, a więc wielu konsumentów odwiedza stacje koncernu.

Jest szansa, że ekspansja zagraniczna Orlenu jeszcze przyspieszy. Trwają przygotowania do przejęcia przez koncern firmy Lotos, drugiego w Polsce koncernu paliwowego. To przejęcie ma poprawić pozycję koncernu w walce o inne rynki.

– Fuzja może dać olbrzymie synergie przychodowe, olbrzymie synergie operacyjne oraz przede wszystkim coś, co nazywam synergiami strategicznymi – to połączenie daje obu podmiotom opcję na zupełnie inny wzrost niż dotąd, choćby pod względem możliwości ekspansji globalnej – powiedział Wojciech Hann, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, podczas jednego z paneli w Krynicy.

Szybsza i szersza ekspansja Orlenu oznacza, że polscy producenci dostaną dzięki temu „wejściówkę" na kolejne rynki. Tu warto dodać, że wszystko to odbywa się w bardzo wyjątkowym dla branży momencie – wiadomo bowiem, że funkcjonowanie takich firm jak Orlen w najbliższym czasie ulegnie zmianom. Pojawiają się szacunki, że w najbliższych dekadach zapotrzebowanie na benzynę i olej napędowy spadnie, jako że na drogach w Europie znacząco wzrośnie liczba aut elektrycznych oraz pojazdów napędzanych w inny sposób.

– Przygotowujemy się do tych zmian. Chcemy na przykład postawić 150 ładowarek w miastach i przy trasach tranzytowych, aby ci, którzy zdecydują się na auta elektryczne, przy nas pozostali – mówił Jarosław Dybowski, dyrektor wykonawczy ds. energetyki w PKN Orlen.

MS

eprasa.pl 7c2c025ac3

KGHM: miliardy w rozwój gospodarczy

Duże polskie firmy mają zobowiązania wobec regionów, w których działają. Dzięki ich inwestycjom pojawiają się nowe miejsca pracy, rozwijają się start-upy, zwiększają się możliwości ochrony środowiska naturalnego, ochrony zdrowia i rozwoju edukacji

Regiony mają swoją specyfikę, którą powinny rozwijać w miarę własnych możliwości. Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego, mówił podczas panelu „Inteligentne specjalizacje szansą na rozwój i inwestycje w regionach", który odbył się 5 września w ramach XXVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy, że Podkarpacie postawiło na lotnictwo, kosmonautykę, motoryzację, informatykę. Każda z tych dziedzin jest sobie bliska, a wartością dodaną pracy w regionie jest ekologia i atrakcyjne środowisko naturalne.

Region i jego rozwój powinien być ważnym element strategii dużych firm, które w nim działają. Uczestniczący w panelu Marcin Chludziński, prezes KGHM Polska Miedź, mówił o społecznej odpowiedzialności zarządzanej przez niego firmy. Spółka kreuje ją w regionie swojej działalności, czuje się za niego odpowiedzialna. – Społeczna odpowiedzialność to część naszego biznesu, inwestujemy w rozwój społeczności lokalnej – mówił Marcin Chludziński.

INNOWACJE W GÓRNICTWIE

Według ministra Jerzego Kwiecińskiego, szefa resortu inwestycji i rozwoju, z pożytków rozwoju gospodarczego powinno korzystać całe społeczeństwo. – Byliśmy przeciwnikiem paradygmatu polaryzacyjno-dyfuzyj-

eprasa.pl 7c2c025ac3

fot. Fratria | 65/0818/F

nego, który preferował koncentrację wysiłków rozwojowych w wybranych regionach i czekanie na to, aż rozprzestrzeni się on na sąsiednie regiony. Uważamy, że to było błędne podejście – powiedział. Nie jest tak, że te same branże, takie same gałęzie gospodarki mają identyczne szanse rozwoju w całym kraju. – Widzimy bardzo wyraźnie, że różne regiony specjalizują się w różnych obszarach – mówił.

Znaczną część panelu poświęcono innowacjom i fin-techom, a także ich znaczeniu dla rozwoju gospodarczego regionów i całej polskiej gospodarki. Na ich temat mówił m.in. Marek Chrzanowski, przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego. – Jesień, mam nadzieję, będzie mocna, jeżeli chodzi o Urząd Komisji Nadzoru Finansowego w zakresie wsparcia fin-techów – powiedział.

Z kolei Marcin Chludziński przypomniał, jak bardzo oblicze górnictwa zmieniało się na przestrzeni ostatnich lat, przechodząc od branży opartej głównie na wysiłku fizycznym do innowacyjności i nowych technologii. – Obecnie przemysł wydobywczy w świecie, w Polsce również, jest prekursorem nowoczesnych rozwiązań. Ludzie cały czas są w nim bardzo ważni, bez nich branża nie może funkcjonować, jednak nowe technologie mają coraz szersze zastosowanie. Wydobycie miedzi schodzi coraz głębiej – KGHM eksploruje na poziomie 1,3 tys. metrów – szukamy więc rozwiązań, które zwiększają zarówno bezpieczeństwo, jak i efektywność – mówił Marcin Chludziński. Spółka ma oddział – Centralny Ośrodek Przetwarzania Informacji, zatrudniający 300 osób – który zbiera dane związane z wydobyciem. 400 km światłowodów znajdujących się pod ziemią służy nie tylko do transmisji danych, lecz są też czujnikami informującymi o ruchach górotworu. Spółka ma systemy wprost związane z przemysłem 4.0, wykorzystywane do zbierania i analizowania danych w czasie rzeczywistym. – Oczywiście przed nami jest jeszcze długa droga, system nie jest przecież skończony. Jednak już teraz Big Data, przemysł 4.0 daje nam przewagę konkurencyjną. Nasze rozwiązania są kreowane przez popyt, powstają, ponieważ ich potrzebujemy – powiedział.

ODDZIAŁYWANIE NIE TYLKO W REGIONIE

Podczas panelu wiele mówiono o znaczeniu rynku pracy w rozwoju zarówno regionu, jak i całego kraju. Jerzy Kwieciński poinformował o pracach rządu, który przygotowuje rozwiązania skłaniające Polaków, którzy wyjechali z kraju, zarobili pieniądze, ale przede wszystkim zdobyli nowe kwalifikacje i nowe doświadczenie, do powrotu. Biznes już wraca, na przykład w postaci swoich pomysłów na własne przedsięwzięcia biznesowe, zakłada start-upy. – Cieszy nas, że te talenty zaczynają do Polski wracać. Bardzo zależy nam też na takich ludziach, którzy dorobili się znaczących majątków, by postawili w Polsce swoją drugą nogę – powiedział. Jerzy Kwieciński przypomniał, że kończy się era taniej siły roboczej przyciągającej do Polski inwestorów. – Chcemy konkurować jej jakością. Chcemy tworzyć warunki, żeby eksperci pozostawali w naszym kraju. Ważne jest to, by fin-techy stały się polską specjalnością – mówił.

Jerzy Kwieciński zwrócił uwagę na rolę dużych firm w rozwoju przedsiębiorstw nastawionych na innowacje. Za granicą liczące się korporacje, wykorzystując tzw. corporate venture capital (CVC), wspierają finansowo firmy znajdujące się na początkowym etapie rozwoju i często to one są nabywcą ich pierwszych produktów. Według niego w Polsce również następują korzystne zmiany w tym kierunku.

Marcin Chludziński mówił o wpływie KGHM Polska Miedź na gospodarkę i na rynek pracy. W grupie kapitałowej zatrudnionych jest ponad 33 tys. pracowników, jednak zasięg jej oddziaływania – licząc firmy kooperujące czy osoby ekonomicznie z nią związane – liczy setki tysięcy. KGHM wydaje rocznie ok. 7 mld zł na zakup usług, w tym wsadów obcych, potrzebnych do prowadzenia działalności. Te kwoty trafiają do gospodarki i do działających w niej firm. – Wpływ ekonomiczny KGHM Polska Miedź jest ogromny, nie tylko w ramach regionu. Wpływ dużej grupy kapitałowej znacznie przekracza granice regionalne. Siła popytowa każdego większego biznesu powoduje rozwój firm funkcjonujących na jego obrzeżach jako kooperantów czy dostawców technologii – mówił Marcin Chludziński.

Według Marka Chrzanowskiego charakterystyczne dla fin-techów jest to, że nie generują one licznych miejsc pracy, natomiast tworzą wysoką wartość dodaną. W Polsce funkcjonuje 750 firm fin-tech, zatrudniają one z reguły po kilku, kilkunastu pracowników. Nie jest to wysoki potencjał, ale w dzisiejszej gospodarce problemem nie jest stworzenie kolejnych miejsc pracy, tylko przeniesienie ich na wyższy poziom pod względem tworzenia wartości dodanej.

Oprac. sk

eprasa.pl 7c2c025ac3

PASCAL BRODNICKI

KUCHARZ, PREZENTER TELEWIZYJNY, AUTOR KSIĄŻEK KULINARNYCH

Smak to taka pointa

Fot. Kurnikowski/AKPA

Byłoby nudno, gdybyśmy mieli wciąż te same ulubione smaki. I takie same jak inni. Ja lubię kwaśne, lubię słodkie, lubię ostre i delikatnie słone. Z tym ostatnim smakiem najbardziej uważam. Poza tym smak może być z dobrej ryby, z owoców morza, z dobrego owocu, z dobrej zupy... Trzeba tylko chcieć smaków poszukać. I nie bać się prób.

Byłem dzieckiem, kiedy się zorientowałem, że kuchnia może być miejscem znakomitej przygody. I zabawy. Miałem zacięcie do eksperymentowania. Jak mały chemik. Lubiłem coś z czymś wymieszać, coś dodać, sprawić, by coś wyrosło, a potem wstawić do gorącego piekarnika i zmienić konsystencję. A także smak.

Wiadomo, że surowa cebula, gdy ją podsmażymy, a nawet tylko wypłuczemy pod bieżącą wodą, to już coś innego niż na początku. Poddając ją działaniu ciepła, możemy wybrać jej wersję ostrzejszą lub łagodniejszą.

Wydaje mi się, że im mniej mamy lat, tym jedzenie może bardziej odstraszać. I zrazić, już na etapie zapachu i wyglądu. Z doświadczenia wiem, że w nieudanej potrawie często nie jest winny składnik, tylko przepis. Dam przykład: nie lubię podrobów. Kiedy byłem mały, moja mama gdzieś wyczytała, że podroby są bardzo zdrowe i karmiła mnie nimi, mimo że sama miała do nich wstręt. Ja zresztą też czułem ten wstręt. I to mi zostało. Ale... z drobiowych wątróbek mogę zrobić naprawdę fajny pasztet. Obróbka termiczna, plus przepis, plus odpowiednie dodatkowe składniki wiele mogą zmienić. Czasem wystarczy baza: sól i pieprz. Mój ulubiony to Timut z Nepalu, ma trochę grejpfrutowy smak, ale każdy znajdzie coś dla siebie. Wybór jest bardzo duży tylko zasada jedna: pieprz mielimy na bieżąco.

Dzięki mediom społecznościowym trafia do mnie sporo pytań, staram się na nie odpowiadać. Trochę też podpowiadam i opowiadam (na kanale Tuba Smaku pojawiają się kolejne propozycje m.in. w ramach poradnika dla studenta czy cyklu „Pascal w domu", jest też „Pascal na tropie jakości"). Ludzie chcą wiedzieć, jak przygotować tradycyjną japońską zupę ramen, ale też jajecznicę czy sos boloński.

Dobrze, że próbują swoich sił, szukają przepisów, chcą poznawać nowe potrawy i ulepszać znane. W każdym z takich działań warto pamiętać, że jemy też innymi zmysłami: pierwsze w percepcji człowieka są oczy, potem węch, słuch, dotyk. Dopiero na koniec smak. To ważne, jeśli mamy ochotę i odwagę spróbować czegoś nowego. Czyli smak to taka pointa.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Shutterstock

Szybki przepis na pasztet drobiowy

Wątróbki drobiowe macerujemy, czyli marynujemy chwilę w koniaku, winiaku albo jakimś innym alkoholu. Dodajemy sól, pieprz. Możemy to zmielić, możemy dodać do środka jedno żółtko albo mięso (np. wieprzowe), albo korniszony. Warto się pobawić smakiem. Potem wkładamy to do pieca – albo w kąpieli wodnej, albo nie, jak chcemy mieć bardziej suchy pasztet. Czas pieczenia zależy oczywiście od ilości mięsa i tego, co jest w środku. Po wyciągnięciu z piekarnika pasztet musi obowiązkowo ostygnąć, dopiero wtedy go odwracamy i cieszymy się smakiem.

eprasa.pl 7c2c025ac3

SŁODKO-SŁONY

Słodko-gorzki deser

ANNA MONICKA

Należę do tych smakoszy, którzy ze słodyczy najbardziej lubią śledzia z cebulką, ale nawet zatwardziali przeciwnicy cukru czasem mają ochotę zjeść jakiś porządny deser. Dla mnie taką odrobiną szaleństwa jest tiramisu. Może dlatego, że jego słodycz przełamana jest goryczą.

Pamiętam, jak pewien włoski kucharz pokazywał mi swój przepis na ten przysmak. Fakt – robił go dla gości w restauracji, więc „plac budowy" był sto razy większy niż mój – ale pracochłonność tego deseru mnie przeraziła. Nie widziałam szansy, żeby zrobić go w domowej kuchni. Pozostawały mi cukiernie, w których oczywiście tiramisu stoi zawsze, tyle że do prawdziwego, włoskiego, bardzo mu daleko.

Nie tak dawno temu koleżanka przyniosła na spróbowanie swoje tiramisu. Było boskie. A zrobiła je w pół godziny! W sobotę rano postanowiłam przepis wypróbować. Moje wyszło równie smaczne, co potwierdzili zadowoleni sąsiedzi.

Czego nam trzeba do tego deseru? Przede wszystkim dobrych biszkoptów. Moim faworytem są wcale nie te pieczone specjalnie do tradycyjnego włoskiego dania, lecz nasze tradycyjne Lady Fingers marki San dosładzane miodem. Dwie paczki na sporą blachę. Nasączamy je bardzo mocną kawą. Można do niej dodać likier amaretto, ale i bez niego będzie smacznie. Ja skrapiam ciastka ułożone na desce, a po kilku minutach delikatnie układam je w formie. Czas na krem – dwa opakowania mascarpone miksujemy z puszką gęstego słodzonego mleka skondensowanego. To wszystko. Jajka nie są wcale potrzebne. Smarujemy nim delikatnie pierwszą warstwę biszkoptów i posypujemy gorzkim kakao. Znów układamy ciastka, smarujemy i posypujemy. To wszystko. Po kilku godzinach w lodówce, gdy ciasto się ustoi, a krojenie przestanie być problemem, podajemy nasze dzieło i czekamy na okrzyki zachwytu. Ale jeśli ułożycie wszystko w pucharkach, zajadać można od razu, bo nie trzeba już dzielić delikatnej masy na porcje.

Krem, jeśli nie zużyjecie całego, doprawcie sokiem cytrynowym. Zamieni się w pyszny sos do sałatki owocowej lub naleśników.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Oglądanie rzeczy z sześciu stron

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata:
moreny, mureny i morza i zorze
i ogień i ogon i orzeł i orzech –
jak ja to ustawię, gdzie ja to położę?

Spojrzenie na świat przyrodnika i spojrzenie poety są w gruncie rzeczy bardzo podobne. I przyrodnik, i poeta (a w przypadku ww. fragmentu „Urodzin" Szymborskiej – poetka) patrzy na pozornie drobne szczegóły, przygląda im się, bada – każdy w sposób właściwy swojej profesji – i dostrzega niezwykłość, niecodzienność oraz zależności, zarówno w poezji, jak i w przyrodzie. Chce zrozumieć i szuka odpowiedzi. Dobre książki o przyrodzie są jednocześnie dziełami literatury pięknej. Spod naukowych faktów, opisu biologii i zwyczaju najrozmaitszych gatunków przebija niezaprzeczalne piękno. Nieprzypadkowo w „Lekturach nadobowiązkowych" Szymborskiej trafiały się książki stricte przyrodnicze i nieprzypadkowo w wierszu pojawiły się „mureny" i „leszcze".

Moim ulubionym działem w supermarketach jest dział z rybami. Stworzenia z morskich głębin, najmniej poznanego fragmentu naszej planety, leżą zwyczajnie – pozornie zwyczajnie. Jeszcze bardziej intrygujące są puszki z rybami i filety. Jeżeli spojrzeć na nie z innej strony – co zawierają, jaki fragment życia zakrytego na ogół przed naszymi oczami? Halibut atlantycki, którego znamy pod postacią kawałka zamrożonego fileta, zaliczany jest do flądrowatych. I wygląda jak flądra, tyle że nadnaturalnie wielka – dorastająca przeszło 4 m długości i 300 kg masy płaskiego ciała.
Tuńczyki trafiają do nas na ogół w metalowych puszkach. W sosie własnym, w oleju, w kawałkach lub rozdrobnione w niczym nie przypominają jednych z najszybszych ryb mórz i oceanów, o pełnokrwistych ciałach, gigantów ważących jak tuńczyk niebieskopłetwy nawet 700 kg. I nawet dorsz – to 50-kilogramowy drapieżnik ze szczytu drabiny pokarmowej.

W gruncie rzeczy i poecie, i przyrodnikowi chodzi o to samo – zrozumienie i opisanie świata i zainteresowanie odbiorców jego niepowtarzalnością.

Przeczytaj teksty Przemysława Barszcza w książce „Sekretny dziennik lasu", wydanej nakładem wydawnictwa Fronda

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl 7c2c025ac3

Era terroru

PIOTR SKWIECIŃSKI

Kiedy przeprowadziliśmy się do mieszkania większego, ale w gorszej dzielnicy, miałem siedem lat – opowiadał mi starszy (rocznik 1956) kolega. Syn, co trzeba podkreślić, nie żadnego tam marginesu, tylko małżeństwa intelektualistów z uniwersytetu. – Lataliśmy całymi dniami po gliniankach i innych niebezpiecznych miejscach. W szkole miałem w klasie kolegów zimujących trzeci rok. Starsi bracia niektórych siedzieli po więzieniach za ciężkie przestępstwa. Niektórzy przychodzili do szkoły z nożami. O konflikt z kimś, kto naprawdę może noża użyć, było łatwo. Królowała grypsera. Trzeba było w szkole i po szkole lawirować między różnymi grupami, wiedzieć, jak z kim gadać. Moich rodziców to wszystko nie obchodziło, nie zwracali uwagi na nasz świat, na zupełnie momentami realne zagrożenia. W ich optyce było i tak dobrze, spokojnie i bezpiecznie, bo przecież już kilkanaście lat nie było wojny! Mieli tylko oczekiwanie, że „będę się wyrabiał". Więc się wyrabiałem.

Ta opowieść przypomniała mi się, gdy w zeszłym tygodniu przeczytałem w gazecie historię o dziesięciolatku, który nożem poranił pięciolatka. A w zasadzie wtedy, gdy dotarłem do zdania mówiącego, iż ten pierwszy „na podwórko wychodził już bez opieki rodziców". Co, jak rozumiem, w oczach twórcy notatki prasowej jest karygodnym ewenementem.

Ja, dziecko inteligenckie i bynajmniej nieprzebojowe charakterologicznie, sam na podwórko wychodziłem, już chyba gdy miałem pięć lat. Do szkoły zacząłem chodzić bez odprowadzania od początku trzeciej klasy. Podobnie jak wszyscy moi koledzy. Dziś słucha się tego, jak bajki o żelaznym wilku. Praktyka jest inna: rodzice lub dziadkowie odprowadzają i przyprowadzają dzieciaki najczęściej do momentu, kiedy te poczują się nastolatkami i zaczynają przeciw temu procederowi buntować.

Tomasz Mann miał sześcioro dzieci. I dla nich wszystkich jednym z ważniejszych wspomnień z dzieciństwa był dźwięk zatrzaskujących się drzwi ojcowskiego gabinetu. Autor „Czarodziejskiej góry" zjadał z nimi śniadanie, krótko rozmawiał, po czym udawał się do swojego świata, w którym nie wolno było go niepokoić. Spędzał tam ileś godzin, wyłaniał się na krótko, przez moment obcował z synami i córkami, po czym znów zatrzaskiwał drzwi do gabinetu. Gdyby żył dziś, nazwano by go wyrodnym ojcem. Ale co więcej – on sam by się takowym czuł. Bo terror wymagań, pod jakim znajdują się współcześni rodzice, jest czymś bezprecedensowym w historii cywilizacji.

Dlaczego kiedyś ludzie mieli więcej dzieci? Może dlatego, że nie musieli im wszystkiego poświęcać?

A to wszystko jest tylko fragmencikiem większej całości. Kiedy z dzieckiem dzieje się coś nawet nie bardzo złego, ale kiedy zdarza się z nim jakiś problem (a któreż nie sprawia żadnych problemów?), cała współczesna kultura mówi rodzicom: to dlatego, że nie poświęciliście mu wystarczającej ilości czasu. Na pytanie, jaka ilość czasu byłaby wystarczająca, odpowiedź nie pada wprost, ale z wszystkiego, co na te tematy jest mówione, wynika, że w zasadzie dziecku należy poświęcić cały czas wolny od działalności zawodowej. Tę ostatnią zresztą, dodajmy, też należy ograniczyć. Żeby poświęcić się dzieciom, oczywiście.

Gdy się zastanawiamy nad przyczynami demograficznego dramatu, w którym pogrąża się cały świat białego człowieka, przychodzą nam do głowy różne przyczyny. Mówimy o charakterystycznej dla współczesności niestabilności materialnej i życiowej. O finansowych kosztach posiadania dzieci. O zjawisku infantylizmu i odkładania dorosłości na nieokreśloną przyszłość.

Co radykalniejsi konserwatyści załamują też ręce nad skłonnością do „życia ułatwionego" (nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co niby w dążeniu do ułatwiania sobie egzystencji ma być złego?). Także nad demoralizującym podobno wpływem emerytur – że niby kiedyś ludzie mieli więcej dzieci po to, żeby ich na starość utrzymywały. To, nawiasem mówiąc, bzdura, bo perspektywa starości w wieku, w którym ma się dzieci, jest odległa i nierealna, a w czasach uważanych przez załamujących ręce za Stary, Dobry Świat naprawdę mało kto dożywał zniedołężnienia, więc i nie kalkulował, co wtedy się z nim stanie. Ogromna wtedy liczba dzieci wynikała po prostu z braku antykoncepcji, a jeśli ktoś jakoś kombinował w kwestiach reprodukcyjnych materialnie, to w innym sensie – jak teraz będę miał dziecko, to już za pięć lat będzie pasało gęsi, a za siedem krowy, taka czasowa perspektywa początku odnoszenia materialnych korzyści z dzisiejszej decyzji o posiadaniu dziecka była dla ówczesnych ludzi uchwytna.

Zostawmy te dygresje. Przyczyn demograficznej zapaści jest z pewnością wiele. Nikt jednak nie mówi o pewnym czynniku, który, uważam, ma wpływ na decyzje części tych, którzy odchowali już jedno czy dwoje dzieci i zastanawiają się nad zwieńczeniem życia kolejnym potomkiem. A ten czynnik to obawa przed koniecznością totalnego poświęcenia się na ołtarzu rodzicielstwa. Obawa której, dodajmy, dziadkowie, a nawet rodzice zastanawiających się nie odczuwali. Bo po prostu nie mieli czego się obawiać.

Bo nie żyli w erze rodzicielskiego terroru.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7c2c025ac3

Allahu Akbar! – to nowy folklor zachodniej Europy

My tu sobie tańczymy poloneza, powiewamy biało-czerwonymi flagami i czcimy 100-lecie odzyskania niepodległości, a oni tam w Berlinie, Paryżu albo Londynie chowają się w swoich domach, wieczorami przemykają ulicami, rozglądając się, czy za rogiem nie czyha na nich jakiś czciciel Allaha z nożem w ręku. Odwołują mecze, imprezy rozrywkowe, policjanci unikają słynnych już stref „No Go", a kobiety boją się wychodzić z domu bez towarzystwa mężczyzny. Ale i to niewiele daje, bo młodzi oraz jurni przybysze zaczepiają je i namawiają do seksu i nic sobie nie robią z facetów, którzy uzbrojeni nie w nóż, ale w multikulti grzecznie proszą o pozostawienie towarzyszki w spokoju. A gdy ten Europejczyk jest zbyt zdenerwowany, to go „w mordę i nożem".

Na portalu Wirtualna Polska pewien internauta doszedł do wniosku, że to, co się dzieje, to „folklor zachodniej Europy". I trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić.

Właściwie nie ma dnia bez jakiegoś „incydentu" z udziałem muzułmańskich imigrantów. Tylko w jednym tygodniu mieliśmy do czynienia z co najmniej trzema wydarzeniami z repertuaru nowego zachodnioeuropejskiego folkloru. Ujawnionymi przez władze, bo nie daje się już ukryć wszystkich przestępstw popełnionych przez imigrantów z Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji, w tym zamachów terrorystycznych, z ofiarami śmiertelnymi włącznie, popełnianych w imię Allaha i Mahometa. Poza tym nie da się już wszystkiego ocenzurować, bo choć media są w swej większości posłuszne władzy, to internet wymknął się spod kontroli i przekazuje na portalach społecznościowych informacje znane świadkom wydarzeń, a te docierają błyskawicznie do całego świata.

I rośnie bunt przeciwko tolerowaniu „inności" cywilizacyjnej imigrantów muzułmańskich, coraz natarczywiej domagających się prawa do współdecydowania o polityce wewnętrznej kraju, którego są gośćmi, i traktowania ich ze szczególną troską i pobłażaniem, bo są uchodźcami, cierpią z powodu rozstania z rodziną i z ojczyzną, a także obyczajowością oraz ich kulturą. Stąd traktowanie europejskich kobiet jak niegodnych szacunku istot niższego rzędu. Inspiruje ich sposób ubierania się i swobodny styl życia europejskich kobiet, czyli rozwiązłość społeczeństwa świata zachodniego. Z tej rozwiązłości czerpią następującą naukę: tutejsze kobiety chcą seksu, więc trzeba je zaspokoić. I zaspokajają, co nierzadko, np. w Szwecji kończy się łagodnymi wyrokami za gwałt albo nawet uniewinnieniem. Oni tacy są – mówi broniące ich lewactwo – więc trzeba się z tym pogodzić.

W Paryżu całkiem niedawno obcokrajowiec narodowości afgańskiej ranił nożem i metalowym prętem siedem osób, w tym cztery ciężko. Wśród rannych dwoje obywateli Wielkiej Brytanii. Jeszcze nie ucichły demonstracje we wschodnioniemieckim Chemnitz po zamordowaniu przez imigranta 40-letniego mężczyzny, a już tydzień później dwóch Afgańczyków zamordowało 22-letniego Niemca, a za dwa dni mężczyzna o niepodanym do wiadomości publicznej pochodzeniu wjechał na płytę lotniska w Lyonie, wołając „Allahu Akbar!" i że jest wysłannikiem Boga. Zdołał umknąć policji, ale jeszcze próbował przejechać ludzi w okolicznych dzielnicach. Został na szczęście ujęty. To tylko kilka przykładów rozbestwienia imigrantów ekonomicznych w Europie Zachodniej.

Ludzie mają dosyć i reagują na przestępczość obcych z przerażeniem i wzbierającą wściekłością. Coraz większą popularnością cieszą się antyimigranckie partie prawicowe. Tak jest w Szwecji i w RFN. W internecie pełno jest dramatycznych wpisów: „Szwecja przestała istnieć!", „Francji już nie ma!", „Niemcy muzułmańskim kalifatem!". Unia Europejska staje się ze swoją bezradnością coraz bardziej niewiarygodna i zbliża się ku katastrofie.

Organizacja o nazwie ONZ po raz kolejny wykazała się głupotą połączoną z bezradnością. Oto Michelle Bachelet, nowa wysoka komisarz ds. praw człowieka, obywatelka Chile i dwukrotna prezydent tego kraju, powołała zespół do zbadania „aktów przemocy i rasizmu przeciwko migrantom" we Włoszech. Ta pani o wdzięcznym francuskim nazwisku najwyraźniej przybyła do Nowego Jorku z Marsa, to znaczy z Chile, gdzie się kondor pasa, ale nie ma muzułmańskich imigrantów. Wicepremier Włoch i szef MSW Matteo Salvini tak się na te zarzuty wściekł, że zagroził zmniejszeniem składek jego rządu na ONZ, przypominając tej damie od marsjańskich praw człowieka, co Włochy zrobiły dla muzułmanów. I że więcej już nie są w stanie, bo zginą.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl 7c2c025ac3

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Sprawcy wojny

Agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 r. nie ma w świadomości Rosjan

Wspominanie naszych tragicznych rocznic, a kolejna – 79. rocznica – sowieckiej napaści na Polskę przypada 17 września, winno mieć adekwatny sens. Po pierwsze, jesteśmy zobowiązani przekazać następnym pokoleniom Polaków naszą ocenę historycznych faktów, bo jest ona zgodna z obiektywną prawdą. Po drugie, trzeba odrobić zaległości, gdyż przez lata komuny ocena ta była zafałszowana. I po trzecie, Polskę i Rosję nadal dzielą poważne różnice na temat początku wybuchu II wojny światowej. Różnice te mogłem też zauważyć w rozmowach ze starszym pokoleniem Niemców do dziś przekonanych, że wojnę sprowokowali Polacy, ogłaszając w sierpniu 1939 r. powszechną mobilizację, a 1 września był z ich strony logiczną, konieczną odpowiedzią. Co ciekawe, tylko Polska, zgodnie z przepisami międzynarodowymi, ogłosiła publicznie mobilizację, ale dopiero 31 sierpnia 1939 r. Nasi agresorzy, Niemcy i Rosjanie, nigdy tego nie ogłosili, mając stale pod bronią gotowe dywizje.

Dla nas II wojna światowa rozpoczęła się 1 września 1939 r. od niemieckiej napaści z zachodu, północy i południa, a kolejna napaść, sowieckiej armii, nadeszła 17 września 1939 r. ze wschodu. Zatem wrzesień 1939 r. jest początkiem II wojny światowej, podobnie dla Francji i Anglii, które 3 września 1939 r. wypowiedziały Niemcom wojnę, ale realnie doczekały się jej później. Dla Rosji początek II wojny światowej to niemiecka agresja 22 czerwca 1941 r. Dla USA to 7 grudnia 1941 r. – po japońskim ataku na Pearl Harbor. Wtedy dopiero Amerykanie przystąpili do światowej wojny.

O ile datę niemieckiej agresji udaje się precyzyjnie, co do godziny i miejsca ataku opisać, i zgadzają się z tym Niemcy, o tyle agresja ZSRR na Polskę pozostaje poza świadomością Rosjan. Co prawda sowieckie kierownictwo ogłosiło już 18 września, że winę za rozpoczęcie II wojny światowej ponosi Polska, ale wielokrotnie zmieniano „winowajców". Byli nimi nawet Anglicy i Francuzi, którzy „napadli" na Niemcy, ale dopiero pod koniec maja 1941 r. uznano Niemcy za „sprawcę" wojny. Oczywiście po wojnie twierdzono ideologicznie, że za II wojnę światową odpowiadają „państwa kapitalistyczne".

Dla Rosji był tylko jeden agresor – Niemcy, sprawca II wojny światowej. Sama oficjalnie udziału w niej nie brała, zajmując z Niemcami, co przemilcza, połowę Polski. Była od początku do końca niemiecką ofiarą, która (co też przemilcza) zaatakowała wcześniej Finlandię, Litwę, Łotwę, Estonię i Rumunię. Tylko po to, aby „pokojowo zabezpieczyć swoje granice". Zajęte od 17 września 1939 r. do 22 czerwca 1941 r. wschodnie tereny Polski były według propagandy sowieckiej buforem, który miał zapewnić bezpieczeństwo zachodnich granic Rosji wobec agresywnych Niemiec. Terenem zamieszkanym przez ludność ukraińską i białoruską pozbawionym polskiej administracji. W końcu – byłą rosyjską własnością na zachodzie Rosji wyzwoloną od władzy burżuazyjnych polskich panów.

17 września 1939 r. kombrig NKWD (odpowiednik generała brygady) Iwan Bogdanow napadający na Polskę wydał rozkaz: „Dziś o świcie armie Frontu Białoruskiego rozpoczynają ofensywę, idąc z pomocą zrewoltowanym robotnikom i chłopom Białorusi".

Rosja do dziś trzyma się tezy, że we wrześniu 1939 r. nie była po stronie Hitlera, sprawcy II wojny światowej. Co prawda Władimir Putin 1 września 2009 r. podczas swojego wystąpienia na Westerplatte wspomniał o pakcie Ribbentrop-Mołotow, który wcześniej potępiła Państwowa Duma Federacji Rosyjskiej, ale dodał, że źródło II wojny światowej tkwiło w „niedoskonałościach traktatu wersalskiego". Ale nie tylko. Złem były „wszelkie wysiłki podejmowane od 1934 do 1939 r., aby uspokoić nazistów przez zawieranie różnych porozumień i paktów". W ten sposób Putin zrównał z sobą polskie i rosyjskie traktaty pokojowe zawarte z Niemcami, a przecież czym innym był pakt Ribbentrop-Mołotow, a szczególnie jego tajny okólnik. To było udokumentowane polityczne i militarne współdziałanie dwóch agresorów rozpoczynających wspólnie II wojnę światową, wymierzone w Polskę.

Zasługą Wiktora Suworowa, poczytnego pisarza rosyjskiego, jest wskazanie jeszcze innej daty rozpoczęcia II wojny światowej. Jest nią 19 sierpnia 1939 r., tuż przed zawarciem paktu Ribbentrop-Mołotow. Wówczas to Biuro Polityczne KC WKP(b) zatwierdziło tezy Stalina o wciągnięciu Europy do wojny przy zachowaniu własnej neutralności. „A kiedy wrogowie będą już dostatecznie wyczerpani walką, która przerasta ich siły – mówił Stalin – wtedy należy rzucić całą potęgę Armii Czerwonej". Stalin wciąż marzył o planie „wyzwolenia" całego kontynentu europejskiego i narzucenia mu komunistycznej dyktatury. Cóż takiego nowego powiedział? To samo, co mówili wcześniej Fryderyk Engels, Karol Marks i Włodzimierz Lenin. A Stalin był tylko ich „godnym" uczniem.

eprasa.pl 7c2c025ac3

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Vademecum szakala

Witold Gadowski

Jeśli jesteś młody, pozbawiony większych talentów i dysponujesz wysoce przeciętną inteligencją oraz zerowym doświadczeniem, nie popadaj w desperację. Przeciwnie – zaraz cię przekonam, że posiadasz wybitnie dobre kwalifikacje do tego, aby stać się pieszczoszkiem każdej władzy, dobrej zmiany niestety nie wyłączając. A jeśli do tego masz fizjonomię szczura, to czeka cię tylko radość.

Odnieśmy się zatem do władzy obecnej. Jeżeli pilnie przeczytasz ten miniporadnik, to daję ci gwarancję, że błyskawicznie zrobisz karierę i dobre... pieniądze.

Po pierwsze zatem, podczep się pod polityka, który pociągnie cię za sobą. Musisz tylko wyczuć, czyje notowania realnie rosną, a czyje spadają.

Po drugie, nie zwracaj uwagi na to, że nic nie potrafisz i jesteś – mówiąc najprościej – durniem. To może ci tylko pomóc. Wyczuj, na czym władzy zależy, i zaatakuj kogoś znanego, tak aby cała władza zobaczyła, jaki jesteś merytoryczny i jak „bezstronnie" bronisz pomysłów, na których władzy zależy. Za taką wazelinkę oraz gwarancję braku własnego myślenia natychmiast nagrodzą cię przynajmniej posadą w mediach, gdzie władza dzierży pakiet kontrolny.

Po trzecie, udawaj, że narodziłeś się wczoraj i głoś przekazy partyjne z gorliwością wskazującą, że to twoje własne miazmaty (jeśli nie wiesz, co znaczy to słowo, to sprawdź szybko, bo będzie istotne w twojej karierze).

Po czwarte, działaj grupowo. Jeśli już uwiesiłeś się posady np. w takiej TVP, to staraj się, aby rządowe posady chapnęli także twoja żona i grono kolegów od kieliszka.

Po piąte, wyczuwaj, skąd wieje wiatr, i natychmiast się angażuj w grupowe akcje szakali wspierających władzę. Im bardziej brutalnie i widowiskowo kogoś – najlepiej słabego i bezbronnego – rozszarpiecie, tym bardziej zapadniecie we wdzięczną pamięć władzuni.

Po szóste, natychmiast rozpraw się z tymi, którzy mają lepsze od ciebie życiorysy i przekonania. Ich musisz sflekować bezpardonowo, najlepiej obdarzając ich takimi epitetami, jakie władza najbardziej lubi stosować.

Po siódme, musisz mieć szybki refleks i wykonywać za władzę śmierdzącą robotę szybciej niż inni.

Po ósme, nigdy nie martw się tym, że porządni ludzie zatykają nos na twój widok. Ile oni mają w portfelu? Do czego doszli?

I wreszcie po dziewiąte, staraj się nie myśleć samodzielnie. Przyjmij założenie, że to władza myśli za ciebie.

To już właściwie wszystko. Aha, musisz jeszcze być nieco bezwstydny, mieć mocne łokcie, aby załatwić nimi innych – uprawiających podobną do twojej konkurencję. No i nie martw się o przyszłość. Hieny i szakale zawsze jakoś sobie poradzą.

17 września

Lech Makowiecki

Czy gdyby Armia Czerwona nie wkroczyła do Polski 17 września 1939 r., mielibyśmy szanse zatrzymać Wehrmacht i obronić naszą niepodległość? Stalin rzucił na Polskę siły większe niż wojska Hitlera i zajął nawet większe terytorium! Można przypuszczać, że wojna z samymi Niemcami trwałaby znacznie dłużej, byłaby dla nich bardziej krwawa i wyniszczająca. Być może na pewnym etapie działań wojennych Francuzi i Anglicy – ośmieleni zatrzymaniem blitzkriegu – uderzyliby na bezbronne tyły III Rzeszy i wymusili pokój. A wtedy uniknęlibyśmy totalnego rozgrabienia i zrujnowania naszego kraju. Nie byłoby Auschwitz, Katynia, Wołynia, rzezi Woli... Nie ponieślibyśmy kolosalnych strat wśród polskich żołnierzy na wszystkich frontach: od Lenino, przez Tobruk, Monte Cassino, Arnhem, po Londyn i Narwik. Nasi lotnicy nie ginęliby w bitwie o Anglię, a marynarze nie tonęliby w wodach Atlantyku. I nie doszłoby do ogromnej, powojennej emigracji Polaków.

Obaj agresorzy zgodnie zainicjowali trwającą pół wieku eksterminację polskich obywateli. Zrazu gestapo i NKWD w obozach koncentracyjnych oraz gułagach kompleksowo likwidowały nasze elity: naukowców, lekarzy, nauczycieli, księży, oficerów, ziemian, urzędników itp. – czyli najbardziej wartościową i patriotyczną część narodu. Po klęsce Niemiec zainstalował się u nas aparat komunistyczny, składający się z naturalizowanych politruków ze Wschodu i ich polskich kolaborantów. Żołnierze wyklęci byli ostatnią przeszkodą na drodze do zniewolenia Polaków. Po ich wyeliminowaniu uruchomiono potężną machinę propagandową. Kłamstwem, indoktrynacją i zastraszaniem społeczeństwa poszerzano krąg zwolenników „ludowej władzy", tworząc nowe „elity" w myśl zasady: „Nie matura, lecz chęć szczera...". I to skundlenie części rodaków przetrwało do dziś, objawiając się w manifestacjach w obronie niezreformowanych od czasów stalinowskich sądów, obronie ubeckich emerytur czy szczuciu na Rzeczpospolitą w PE.

eprasa.pl 7c2c025ac3

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Tamta okupacja

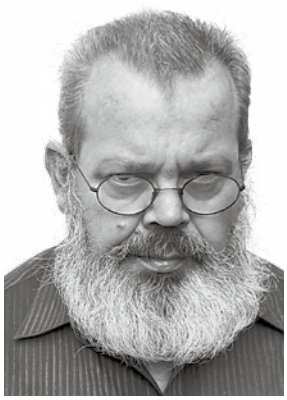

Aleksander Nalaskowski

17 września 1939 r. to dopiero od niedawna data niewyklęta. Moje pokolenie i wcześniejsze nie dowiadywały się w szkole prawdy o tym, co się wydarzyło tego dnia. Czciliśmy 1 września, a Niemcy byli jedynymi okupantami Polski i jedynymi agresorami. Pojęcie „pakt Ribbentrop-Mołotow" nie istniało. Było tak samo zakazane jak „Katyń". Tym samym w szkołach, w podręcznikach nie istniała okupacja sowiecka, która trwała na moim umiłowanym „małym Podlasiu" w okolicach Tykocina niemal dwa lata. Potem, latem 1941 r. wlały się hordy barbarzyńców mówiących po niemiecku. Tabuny znakomicie zorganizowane w komanda, kompanie, bataliony i armie morderców. O ile dzicz bolszewii była przekupna, a rozbudowany system łapówek mógł ocalić to czy owo, tego czy tamtego, to niemieccy rzeźnicy już w takim rozmiarze skorumpowani nie byli. A przez to pozostawali też całkowicie bezwzględni.

Jakże często zapominamy czy ignorujemy tamte dwa lata bolszewickiej okupacji. Wychowani na „Czterech pancernych" wyobrażaliśmy sobie, że czerwonoarmiści przynieśli pokój i bezpieczeństwo. Faszerowano nas takimi wspomnieniami: „Żydzi z Tykocina ze szczególną sympatią przyjęli i powitali Armię Czerwoną, poczuli się wolni, odetchnęli świeżym powietrzem i z wdzięcznością i uznaniem stawili się na służbę władzy sowieckiej, która przystąpiła do zaprowadzania porządku, opartego na zasadach miłości ludzi i narodów, równouprawnienia, wolności i równości" (Menachem Turek, źródło: Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. Z języka jidysz tłumaczyła Sylwia Szymańska).

„Miłość ludzi i narodów" to dwa lata rozkułaczania, rabunków, licznych gwałtów, bezczeszczenia kościołów i niszczenia dóbr narodowych. To także niebywała, donosicielska działalność żydowskich sąsiadów przeciwko polskim gospodarzom. Mój śp. teść, przedwojenny gospodarz, a od 17 września 1939 r. „kułak" i „polski pan", wspomniał tamten czas jak najgorszy koszmar. Sowieci powołali „milicję obywatelską", do której zgłosili się niemal sami miejscowi Żydzi. Milicjanci owi chętnie pokazywali sołdatom i NKWD schowki leśne, w których gromadzono zboże na siew czy ziemniaki. Wszystko bowiem, co było pod ręką, „wybawiciele" rekwirowali natychmiast. Ujawniali miejsca pobytu osób ściganych przez sowiecką bezpiekę i żandarmerię, chętnie informowali, kto był przed wojną urzędnikiem państwowym, sanacyjnym działaczem, prawicowym politykiem. Tak relacjonował to naoczny wszak świadek.

W 1939 r. sowieccy sołdaci dobrali się do krypty grobowej w miejscowym kościele, licząc na złupienie zwłok pochowanych tam „polskich panów"

Ale można też sięgnąć do opracowań historycznych, aby się dowiedzieć, że „w białostockim Urzędzie Sprawiedliwości (sądzie) w 1940 r. na 246 pracowników 67 osób było Białorusinami, 48 Żydami, 41 Polakami, 34 Rosjanami, 4 Ukraińcami, 1 Niemcem i 1 Tatarem. Pozostawieni w strukturach władzy sowieckiej przedwojenni urzędnicy polscy wykonywali najczęściej prace biurowe, stosunkowo luźno łączące się z aktywnym zaangażowaniem się w budowę nowego systemu władzy" (W. Śleszyński, „Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie 1939–41. Propaganda i indoktrynacja", 2001). Mniej więcej tak wyglądała ta „sielanka", równość i wolność pod patronatem Stalina.

Ale w tym kontekście byłoby błędem nie wspomnieć o roli mniejszości żydowskiej w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Nie wiedzieć czemu właściwie nie przywołuje się faktu, że mniejszość żydowska w latach 1918–1920 postulowała przekształcenie Białegostoku w wolne miasto i ustanowienie języka jidysz językiem urzędowym dla miasta. Pomysł ten skrytykował nawet Julian Marchlewski przybyły z Feliksem Dzierżyńskim i Feliksem Konem do Białegostoku celem proklamowania, przez Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Notabene ów komitet, ulokowany (a jakże!) w pałacu Branickich, powitała żydowska orkiestra. W tym okresie dokonywano też niekiedy zmian szyldów na urzędach i sklepach, zastępując napisy polskie napisami w jidysz, na drugim miejscu podając nazwy w języku polskim. Potwierdza to bogata literatura naukowa, powszechnie dostępna.

Bolszewicka agresja na Polskę 17 września 1939 r. miała swoje korzenie daleko wcześniej. Jeden z tykocińskich historyków opowiedział takie zdarzenie. W 1939 r. sowieccy sołdaci dobrali się do krypty grobowej w miejscowym kościele, licząc na złupienie zwłok pochowanych tam „polskich panów". Powstrzymał ich dowódca, informując, że wszystko, co było do zabrania z trumien, to oddział pod jego dowództwem już sobie wziął w czasie poprzedniej wojny...

Historia jest wszak pełna zakrętów i paradoksów. Otóż mój teść, śp. Jan, rozkułaczony przez (szczerze poinformowanych przez Żydów) bolszewików rolnik, gdy nastała okupacja niemiecka, był w AK, a ściślej w oddziale specjalnym karzącym szmalcowników i dostarczającym żywność do białostockiego getta.

Cóż, chwała bohaterom, na pohybel zdrajcom!

eprasa.pl 7c2c025ac3

PRZEZ ŚWIETLIK

Ludmiła przyjaźni

Znałem Ludmiłę Kozłowską! Może nie tak dobrze jak pan Muchtar Abliazow, były kumpel satrapy Nazarbajewa, który potem go okradł i stał się dysydentem, albo jak pan Kramek. Właściwie to zamieniłem z nią kilka zdań, ale w czasach twardej walki o odbiorcę i o rynek zakładam, że takie rozpoczęcie felietonu przyciągnie uwagę czytelników.

Wracając do wspomnianej damy. Ładnych parę lat temu, kiedy zajmowałem się pomocą dziennikarzom i sprawami związanymi z wolnością słowa, na jakiejś konferencji przedstawiono mi panią Kozłowską jako młodą, energiczną szefową organizacji walczącej o prawa człowieka, wcześniej na Ukrainie, a potem w Kazachstanie. Krótko później pojawiły się inne środowiska opozycji kazachskiej (była to zapewne Wspólnota Kazachska pani Marzec) i zaczęły panią Ludmiłę oskarżać o rosyjską agenturalność, a towarzystwo pani Ludmiły ich o to samo. W związku z tym postanowiłem Kazachów pozostawić samych sobie, szczególnie że na podwórku krajowym mieliśmy dość roboty, a swoje szanse na wpływ na politykę Nursułtana Nazarbajewa oceniałem jako raczej umiarkowane. Jak widać, grzechy zaniechania okazują się niekiedy zbawienne.

Dość szybko informacje, które potem dochodziły stąd i zowąd dotyczące finansowania i pomysłów na działanie organizacji Otwarty Dialog, powodowały, iż bardzo cieszyłem się z tego, że nie wtrącałem się nadmiernie w sprawy, o których miałem blade pojęcie. A to jakiś dżentelmen z WSI, a to jakiś handel bronią, a nad wszystkim wielki opozycjonista, który wcześniej był szefem banku państwowego i ze skromnej pensyjki uciułał gigantyczny majątek na finansowanie. Potem, wraz z tym jak pani Kozłowska z mężem podbili media, obalając tym razem rząd PiS, tych informacji pojawiało się coraz więcej i wyglądały one coraz gorzej.

Nie rozumiem, dlaczego polski wywiad, MSW czy MSZ nie mogą wyjaśnić przyczyn pożegnania się z panią Ludmiłą, skoro można w kilka minut znaleźć je w internecie. Ale jeśli to mnie dziwi, to chyba już niespecjalnie mnie zaskakuje, że nasi szacowni zachodni sąsiedzi właśnie tę panią zaprosili, by opowiadała w ich parlamencie o upadku polskiej demokracji. Zapewne jeśli Niemcy przeprowadzili kwerendę na temat wiarygodności świadka, to tylko ich ona musiała utwierdzić w tym, że jest to głos wartościowy. Kolejna śrubka do politycznego gazociągu Nord Stream 2 dokręcona. Pani Ludmiła na pewno pięknie im wszystko wyśpiewa. Kiedyś Leni Riefenstahl mówiła, że siłę daje jej epoka i miejsce, więc jakie czasy i miejsce, taka Leni.

Wiktor Świetlik

Teraz nie pozostaje nic innego, jak pójść za ciosem i zaprosić kolejnych świadków. Mateusza Piskorskiego, byłego posła oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji (też go kiedyś poznałem – jakieś 20 lat temu – pisząc reportaż o neopoganach). W jego sprawie już interweniowało ONZ, więc nadaje się idealnie. A lista jest dłuższa. Marek W., były pracownik Ministerstwa Energii, porucznik rezerwy Piotr C., jeszcze kilka innych osób. Wszyscy oni ostatnio byli prześladowani przez państwo polskie, bo informowali rosyjską agenturę o łamaniu praw człowieka w Polsce.

Na koniec takiego procesu mowę koronną powinien wygłosić w niemieckim parlamencie sam prezydent Putin, wskazując na rażące nieprawidłowości nad Wisłą. Wszak od kiedy poszczuł niemiecką kanclerz psem, państwo rozumieją się doskonale.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

42/0818/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

JAN POSPIESZALSKI

Homopropaganda i samorząd

W kampanii samorządowej większość kandydatów mówi o żłobkach, komunikacji, obiecuje walkę ze smogiem, pomoc dla niezamożnych rodzin. Tylko prezydent Adamowicz w Gdańsku szumnie obiecuje wprowadzenie programu, który, nawiasem mówiąc, istnieje i tak już w wielu miastach. Chodzi o tzw. zajęcia antydyskryminacyjne realizowane w szkołach. Na pozór wszystko brzmi niewinnie.

Edukacja antydyskryminacyjna ukazana jest jako dążenie do poszanowania godności, wolności i prawa do odrębności, a także jako przeciwdziałanie przemocy motywowanej uprzedzeniami. Zajęcia adresowane są do uczniów szkół podstawowych i ponadgimnazjalnych. Ile trzeba mieć złej woli – pomyśli wielu rodziców – by w tak szczytnych założeniach doszukiwać się groźnych treści.

Praktyka jednak pokazuje, że w ramach tych projektów, na które samorząd wydaje dziesiątki, a nawet setki tysięcy, do szkół wchodzą edukatorzy z genderową propagandą. Obowiązek szkoleń i zajęć antydyskryminacyjnych rzutem na taśmę wprowadzono w ostatnich miesiącach rządów PO/PSL. Rok później ogólnopolska akcja „Chrońmy dzieci" zainicjowana przez Ordo Iuris sprawiła, że minister Zalewska zmieniła rozporządzenie, uchylając ten obowiązek. Radość rodziców była jednak przedwczesna. Okazało się, że zniesienie obowiązku nie oznacza zakazu organizowania tego rodzaju zajęć w szkołach. Do dziś wiele samorządów (Katowice, Kraków, Łódź) wspiera edukatorów spod znaku LGBT. Lokalna władza bowiem ma nie tylko uprawnienia narzucania podległym placówkom takich programów, lecz również je finansuje. W wyborach będziemy więc rozstrzygać nie tylko budowę kładek dla pieszych i lokalizację targowisk, lecz także to, czy szkoły będą wolne od propagandy gender. Rodzice z inicjatywy „Stop seksualizacji" mówią wprost: dramat polega na niewiedzy, a często ignorancji rodziców, nauczycieli i samorządowców. Szkolne rady rodziców nie zdają sobie sprawy, że pod niewinnymi hasłami, np. „Kuźnia różnorodności", kryją się treści, których za żadne skarby nie chcieliby serwować swoim pociechom.

Stopniowe oswajanie, uporczywe nazywanie zaburzenia normą wywołuje w końcu znieczulenie, prowadzi do zobojętnienia i stopniowej akceptacji.

Jak działa ten mechanizm, można sprawdzić, przywołując doświadczenia zachodniej Europy, choćby naszych zachodnich sąsiadów. W Niemczech edukacja seksualna zawierająca propagandę LGBT, czyli treści, które zaburzają wrażliwość dzieci, prowadzona jest już od przedszkola. Sprzeciw konserwatywnej części opinii publicznej i tych rodziców, którzy widzą w tym zagrożenie, jest zupełnie ignorowany. To, co zawierają podręczniki i materiały dla nauczycieli, rodzice, z którymi rozmawiałem, określają jako proceder przestępczy. Obrzydliwe obrazy, obsceniczne rysunki instruktażowe, to jawne nadużycie, mające charakter molestowania seksualnego. Ta państwowa, perwersyjna, bo naruszająca zdrowe poczucie wstydu, edukacja seksualna w niemieckich przedszkolach i szkołach sprawiła, że rodzice zawiązali sojusz pod nazwą „Demo fuer alle". Postanowili walczyć, by chronić dzieci, ale na razie ich głos jest w zdecydowanej mniejszości. Reakcja obronna rodziców w Niemczech przyszła zbyt późno.

Patrząc na te doświadczenia, powinniśmy wyciągać wnioski. Bo przecież początki były dokładnie takie same. Zaczynało się niewinnie od postulatów tolerancji, równości, niedyskryminacji. Nie miejmy złudzeń. To nie społeczeństwo, nie żaden oddolny ruch obywateli postulował wprowadzanie perwersyjnych treści do programów szkolnych. To nie rodzice nalegali na uruchomienie lekcji tolerancji i równości. Od początku w Niemczech zajmowały się tym wyspecjalizowane organizacje pozarządowe, których zmutowane wersje widzimy też w Polsce.

Ta antycywilizacyjna rewolta idzie od góry, próbując zawłaszczać kolejne obszary życia – uniwersytety, kulturę, szkoły, harcerstwo, a nawet Kościół. Większość sejmowa i rząd jakoś niemrawo reagują na te zagrożenia, jakby nie widzieli, co się kryje za niewinnie brzmiącymi hasłami. W wojnie totalnej, jaka rozdziera Polskę, trudno o wyznaczanie kolejnego frontu. Ale lekceważenie tej agresji w perspektywie jednego pokolenia może sprawić, że wszystkie inne reformy okażą się niepotrzebne.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Jak tatuś latał linią syna

Jerzy Jachowicz

Nie mogłem pokazać notatki Bondaryka Donaldowi Tuskowi, bo to by go mogło zdenerwować. W tamtym czasie miał sporo innych kłopotów na głowie – mówi w szczerej ze mną rozmowie, wówczas szef kancelarii premiera Tomasz Arabski, odkrywając nieznane karty afery Amber Gold.

– Pan pozwoli, że relacjonując pewne wydarzenia, będę o panu premierze mówił „Donald". Tak mi będzie łatwiej. Muszę się panu przyznać, że z premierem byliśmy bardzo zżyci. Bardzo. Nazywanie go za każdym razem „Tusk" albo „premier" w moich ustach brzmiałoby sztucznie. A pan prosi, żebym był naturalny. Po prostu sobą. To dla mnie wiele znaczy. Bo pan mnie zachęca. Po raz pierwszy od dawna ktoś mnie tak ciepło traktuje.

– Jasne. Śmiało wal pan „Donald". To jak było z tą notatką?

– Jak wspominałem, zachowałem rzecz dla siebie. Wiedziałem, że w OLT Express pracuje Józek Bąk, tzn. Michaś, syn Donalda. To był wstrząs. Bo my z Donaldem lataliśmy tymi liniami z Warszawy do Gdańska i z powrotem. Donald twierdził, że musi oszczędzać. Zapowiadał, że dopiero za dwa lata zacznie przyzwoicie zarabiać...

– W Brukseli?

– Tego już nie mówił.

– Sorry, że potrącę o struny moralne. Jak pan mógł patrzeć w oczy premierowi, ukrywając przed nim pismo od gen. Bondaryka?

– Nie miałem żadnych wyrzutów, bo oszczędzałem Donaldowi zmartwień. Wiedziałem jednak, że rzecz jest pilna, więc szybko się spotkałem z Cichockim. Pochwalił mnie, że nie latam z każdą głupotą do Donalda. Zasugerował, żebym zrobił notatkę z informacji zawartych w raporcie Bondaryka. Doradził też, to dobrze pamiętam, abym w tytule notatki podkreślił, że jest przeznaczona dla premiera. Jednak nikomu jej nie pokazywał. Schował głęboko w zamkniętej szufladzie na wypadek, gdyby kiedyś chciała ją zobaczyć szefowa komisji Małgorzata Wassermann.

– Przepraszam najmocniej. Nie rozumiem. Skąd Jacek Cichocki w 2012 r. mógł wiedzieć, że za cztery lata powstanie w Sejmie komisja śledcza do zbadania sprawy Amber Gold? Teoretycznie to jeszcze możliwe. Ale kto będzie jej przewodniczącą?

– Mnie też to zastanawia.

CO MNIE BAWI

Prasówka

Katarzyna Łaniewska

„Prasówka" to dawne słowo oznaczające skrót wiadomości z różnych gazet. Pism było wtedy jak na lekarstwo. Tych, które by się chciało czytać, jeszcze mniej. Część była nie do zdobycia i czytało się tylko, jak się miało zaprzyjaźnionego kioskarza. Zakładał on teczkę, gdzie odkładał dla nas gazety. Podlizywaliśmy się kwiatkami, czekoladkami, winem lub po prostu pieniędzmi. Dzisiaj atakują nas wiadomości w przeolbrzymich ilościach. Telewizja z wieloma kanałami, radio z wieloma stacjami, internet (co tam się dzieje, to trudno mi starym umysłem ogarnąć). Ile jest tak zwanej prasy papierowej? I tej kolorowej – coraz ciekawszych tygodników – i tak zwanej prasy plotkarskiej. Nie wiem, kto czyta tę drugą, widocznie ma odbiorców, skoro wychodzi. Są takie, które czytam, oglądam i będę to kontynuować, ale są i inne, które przestałam śledzić, bo znakomicie wiem, co się w nich dzieje.

Ale chciałam się zabawić w polskie słowa kończące się na -ówka, jak owa „prasówka".

Było takie słowo „nówka", które oznaczało, że ktoś kupił sobie nowy samochód albo mało używany – prawie nowy. Niektóre słowa wyszły z użycia, inne są dalej w obiegu, tak jak „studniówka" czy „fuksówka". Chociaż może w żargonie studenckim to się zmieniło. Zawsze została nam „stołówka", chociaż przez parę lat w szkołach nie było. Z „wizytówką" jest trochę problem, bo teraz jest już rzadko używana. Ludzie porozumiewają się przecież z użyciem adresu mailowego z małpą w środku. Modna jest też bardzo „reklamówka" – czyli torba plastikowa. Słowo „aktówka" jest nadal w obiegu, ale „pedałówka" teraz może się źle kojarzyć. To była taka mała saszetka dla panów. „Drogówka" – wiemy, co oznacza. Nawet taki film powstał. „Domówka" zastąpiło słowo „prywatka". Żubrówka nadal stoi na półkach sklepu alkoholowego. Nie ma natomiast chyba już w Polsce jabłka antonówka, natomiast jest Antałówka w Zakopanem. Jest też dachówka i pyskówka, natomiast widokówka... już się jej raczej nie wysyła z wczasów. Peronówki – biletu upoważniającego do wejścia na peron – nie ma. Są jeszcze kartkówki w szkołach. A, i na szczęście w obiegu jest jeszcze polska złotówka.

Kończę szybciutko mój felieton, by czytelnicy nie posyłali mi wymówki, że takie głupoty piszę. Przekazuję również, zwłaszcza jednemu z polskich wybitnych polityków, że wszystkie te słowa piszą się przez „ó". Dziękuję.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Wykład z buntu

Wynurzeń profesora (?) Matczaka nie zdzierżył nawet student o lewackiej orientacji

Ryszard Makowski

Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego Zespołu Szkół Bednarska postanowiono uświetnić wykładem prof. Marcina Matczaka, znanego opluwacza dobrej zmiany, by młodzieży zapewnić ucztę intelektualną. Wyrafinowany spektakl odbył się 3 września w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. Tytuł profesorskiej kabałki miał rozgrzać młode umysły przed powakacyjnym powrotem do ław szkolnych: „Jak mądrze buntować się przeciw autorytetom i tradycji?”.

Niestety jeden z obecnych na sali studentów zupełnie nic nie zrozumiał. Co więcej, pozwolił sobie na nieodpowiedzialny bunt i dał odpór pustackim wywodom profesora na łamach Wyborcza.pl: „Nie mówcie nam, jak się buntować”. A w tekście takie kwiatki: „Przestańcie tylko nam wmawiać, Matczakowie, że wy wiecie za nas lepiej, za nas pomyślicie, udzielicie rady, bo »żyliście w komunie«”. Autorytet Matczak nie zniósł sponiewierania i dostał piany. W te pędy wysmarował ripostę do tego samego portalu: „Zmierz się ze mną, wyjdźmy na intelektualne solo i pokaż, że jesteś lepszy... Jest tylko moja głowa i Twoja, i nasz spór, który moim zdaniem przegrywasz. Nie stałeś się dla mnie autorytetem, ale możesz się stać. Tylko musisz lepiej argumentować”.

Ten student nie musi wychodzić na żadne solo. Niejaki Matczak tak się zamachnął, że sam się znokautował i leży na deskach. W tym przypadku można z satysfakcją skopać leżącego. Oczywiście argumentem, wyłącznie.

eprasa.pl 7c2c025ac3

Zawistowski prezentuje: ACTA 2

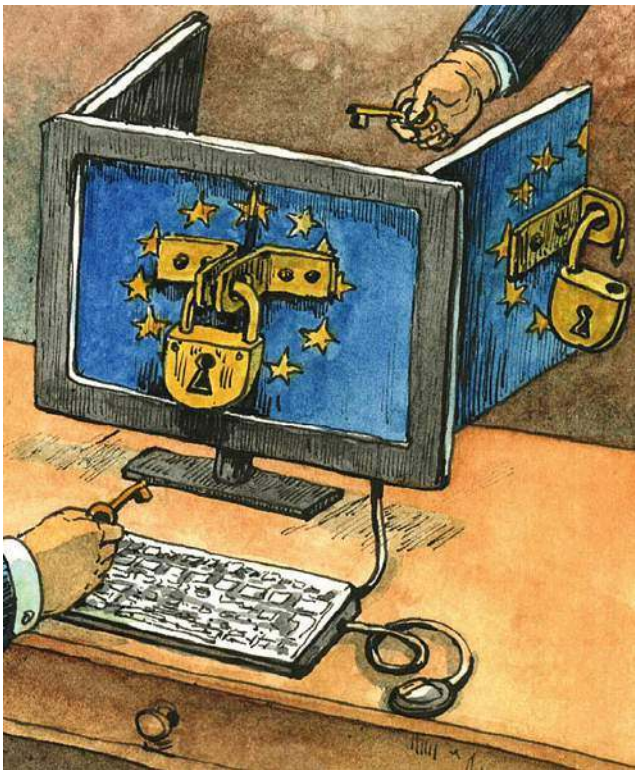

Wycinki z przeszłości

Okładka tego „Tygodnika Ilustrowanego" z połowy 1932 r. jest niestety nieco uszkodzona (wydrapana twarz jednej z postaci), ale mimo wszystko postanowiliśmy ją opublikować, gdyż jest ważnym świadectwem historycznym. Oto podpis pod zdjęciem:

„Przez granicę rumuńsko-sowiecką przekradają się ustawicznie całe rodziny chłopskie, uciekające z raju proletariackiego. Straże sowieckie bezlitośnie mordują całe grupy nieszczęsnych zbiegów. Niekiedy ciężko raniony uciekinier zdoła się jeszcze przedostać na terytorium rumuńskie, ale już po to tylko, by na nim skonać. Te masowe mordy graniczne wywołały odruch gwałtownego protestu cywilizowanego świata".

Dziś wiemy, że te masakry zdesperowanych ludzi próbujących uciec z Sowietów do Rumunii były jednym ze skutków Wielkiego Głodu, który w latach 1932–1933 celowo wywołały władze sowieckie. Chodziło o wyniszczenie ukraińskiego chłopstwa, które sprzeciwiało się kolektywizacji i wiążącym się z nią zbrodniom i nędzy. Ukraiński Instytut Demografii kilka lat temu oszacował liczbę ofiar tej zbrodni na 4 mln ludzi. Niektórzy eksperci mówią nawet o 6 mln. Ukraiński i polski parlament uznały te wydarzenia za zbrodnię ludobójstwa na narodzie ukraińskim. Ale pamiętajmy – zbrodnia ta dotknęła także mieszkających tam Polaków.

(mk)

Wrześniowe daty

Leszek Długosz

17 września 39 r. Mam nadzieję, że ta tragiczna gorzka polska data mocno jeszcze wpisana jest w to „domowe polskie pamiętanie". I że Małgosie i Jasie z dzisiejszego wiersza Herberta, wtedy dzieci z tamtej klasy, wystarczająco mocno przekazali w domach przeżytą lekcję. Niespodziewanie żywe zainteresowanie historią tamtego czasu wśród dzisiejszych „późnych wnuków" takie wnioskowanie wielce uprawdopodobnia.

Zbigniew Herbert 1924–1998

17 IX

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
a droga którą Jaś Małgosia dreptali do szkoły
nie rozstąpi się w przepaść

Rzeki nazbyt leniwe nieskore do potopów
rycerze śpiący w górach będą spali dalej
więc łatwo wejdziesz nieproszony gościu

Ale synowie ziemi nocą się zgromadzą
śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności
będą czyścili swoje muzealne bronie
przysięgali na ptaka i na dwa kolory

A potem tak jak zawsze – łuny i wybuchy
malowani chłopcy bezsenni dowódcy
plecaki pełne klęski rude pola chwały
krzepiąca wiedza że jesteśmy – sami

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco
i da ci sążeń ziemi pod wierzbą – i spokój
by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu
najtrudniejszego kunsztu

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 7c2c025ac3

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zasada podczepienia

FOZZ nie miał transformacji zapobiec, miał jedynie opóźnić jej demokratyczny, praworządny i uczciwie rynkowy charakter

Ukraść. To potrafi każdy idiota. Ukraść i nie zostać raz, dwa złapanym – to udaje się nawet półidiotom. Nieco trudniej zapewnić sobie bezkarność, gdy już zostanie się złapanym; to potrafią niektórzy średnio inteligentni przestępcy. To cały czas niższa szkoła jazdy w kumulacji nienależnych korzyści.

Szkoła średnia jest wtedy, gdy potrafi się ukraść tyle i w taki sposób, by... się uwłaszczyć. By zostać legalnym posiadaczem, tak mieć porządek w papierach, by nikt nam się do majątku nie dobrał. Szkoła wyższa (ale jeszcze nie ta naj-, najwyższa) jest wtedy, gdy złodziej nie tylko jest zalegalizowanym właścicielem, lecz w dodatku żyje sobie w aurze szanowanego biznesmena i zacnego członka wspólnoty obywatelskiej. Na tym poziomie nie wystarcza już „zwykła" kradzież, tu potrzebne są złożone, przemyślne przedsięwzięcia aferowe, w które zaangażowani są także przedstawiciele organów władzy oraz mediów.

TWORZENIE ESTABLISHMENTU

A szkoła najwyższa? Jest wtedy, gdy tworzenie się grupy właścicielskiej zostaje skojarzone z władzą polityczną, która daje efekt establishmentowy. Efekt trwałego przynależenia do systemu nadzwyczajnych korzyści, który jest odporny na kolejne zawirowania wyborcze.

W historii nieraz przy okazji przełomów ustrojowych coś takiego potrafiono zbudować. To m.in. przypadek III RP. Oczywiście III RP nie była jedynie systemem patologicznych, zakulisowych, postagenturalnych powiązań, których właściwym symbolem jest sprawa FOZZ, czyli Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Dla wielu milionów Polaków III RP była romantyczną przygodą odzyskiwania niepodległej, budowania przestrzeni wolności, tworzenia nowych instytucji rynku i demokracji. Tymczasem w tle działał...

FUNDUSZ OPÓŹNIANIA TRANSFORMACJI

Bo taką właśnie funkcję pełniło FOZZ. To była złożona – prawnie, biznesowo, koordynacyjnie – operacja uwłaszczająca przeprowadzona przez ludzi tajnych służb. Network do tworzenia networków. Ważny element szerszego procesu uwłaszczania nomenklatury.

FOZZ nie miał transformacji zapobiec, miał jedynie opóźnić jej demokratyczny, praworządny i uczciwie rynkowy charakter.

Zważmy: operacje uwłaszczeniowe przeprowadzono błyskawicznie – w latach 1989–1991. A procedury śledcze i sądowe zabrały polskiemu państwu – naszej III RP – lat aż kilkanaście. Po drodze dla uchronienia sprawców afery prowadzono liczne złożone przedsięwzięcia dezinformacyjne, opóźniające, odwracające uwagę, najprawdopodobniej włącznie z zabójstwami. Niewyjaśnione śmierci przyczyniały się do braku determinacji nie tylko części funkcjonariuszy, lecz także polityków III RP.

Pełne wyjaśnienie afery FOZZ i jej gospodarczych, politycznych oraz prawnych konsekwencji jest zaś dopiero przed nami.

Właśnie ta przewlekłość, podobnie jak trwające latami procesy osób odpowiedzialnych za śmierć górników kopalni „Wujek" i niezdolność do osądzenia Wojciecha Jaruzelskiego, to poważne argumenty na rzecz reformy sądownictwa, która przeprowadzana jest dopiero teraz.

ZASADA PODCZEPIENIA

Badając patologie naszej transformacji ustrojowej, sformułowałem ongiś koncepcję ARGI – AntyRozwojowych (czyli pasożytniczych) Grup Interesu. Opisałem kluczowe zasady, według których grupy takie działają. Chyba najważniejszą z nich jest zasada podczepienia. Mówi ona, że nielegalne interesy należy włączać w działania oficjalnych instytucji mających duży prestiż w taki sposób, by ewentualne rozliczanie afer groziło narażeniem na szwank wizerunku owych instytucji.

W wersji „pełnej", wyrafinowanej podczepienie ma trzy warstwy: (1) legalne i jawne działania uprawnionych instytucji państwowych; (2) wplecione w warstwę pierwszą nadal legalne, ale już niejawne operacje uprawnionych instytucji (np. którejś z tajnych służb zajmujących się tzw. kontrwywiadowczą osłoną obrotu bronią lub surowcami strategicznymi); (3) wplecione w warstwę drugą, realizowane pod jej osłoną transferowanie zasobów publicznych w ręce prywatne.

UWAGA!

Żadna władza nie jest w pełni odporna na zastosowanie zasady podczepienia. Żadna!

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 42/0118/F, 44/0118/F, 58/0118/F, 62/0118/F, 28/0218/F

eprasa.pl 7c2c025ac3

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Pilnujmy Polski" o wartości 44,90 zł otrzymasz gratis!

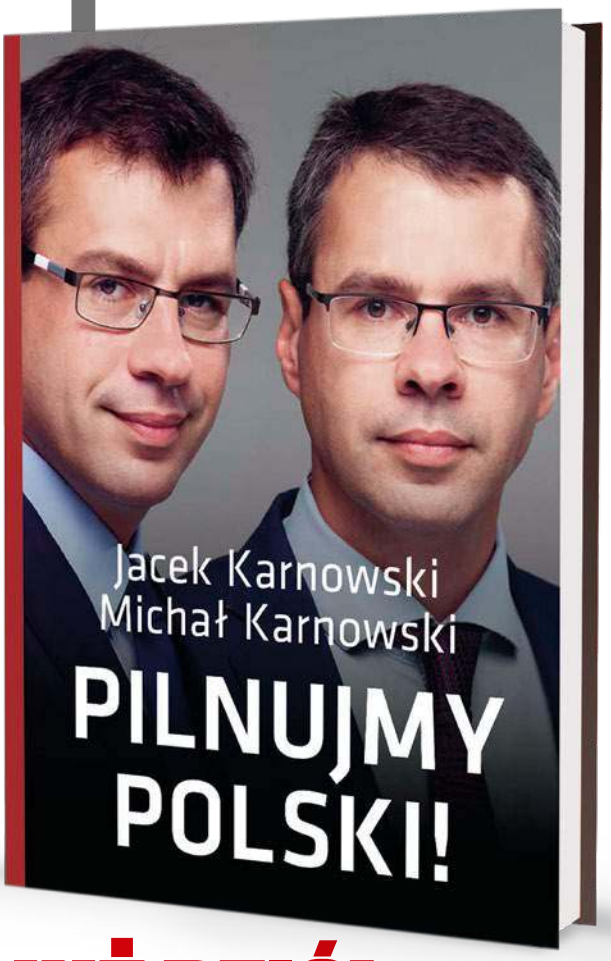

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 7c2c025ac3

JUŻ 24 WRZEŚNIA W TYGODNIKU **SIECI**
I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • Janusz Kusociński • Wincenty Witos • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty • Władysław Grabski • Jan Kiepura • gen. Józef Haller • Wojciech Kossak • Walery Sławek • gen. Kazimierz Sosnkowski • Ks. Adam Sapieha • Wojciech Kwiatkowski • Eugeniusz Kwiatkowski • inż.

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Bohaterowie Niepodległej" to opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci.

TOMASZ ŁYSIAK
pisarz, dziennikarz, publicysta

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PZU

PARTNERZY DODATKU

ALIOR BANK

Bank Pekao

LOTOS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 7c2c025ac3